

październik
- grudzień 2013

28

częstochowski magazyn literacki
Literackiego Towarzystwa Wzajemnej Adoracji „Li-TWA”





„Votum separatum!” , Budesti (Maramuresz, Rumunia, 2012), foto: Jacek Konieczny



„M(n)isie radości”, pod klasztorem w Humorze (Bukowina, Rumunia, 2012), foto: Jacek Konieczny

SŁOWO OD REDAKCJI

[***Najsmutniejsze są hale odlotów...]3

POCZTYLION

Jurij Andruchowycz, *Drodzy przyjaciele...*4

POŻEGNANIE

Barbara Strzelbicka, *Wspomnienie o Mariannie Falkowskiej*7

Marianna Falkowska, *Słonecznikowy tata*8

WYDARZENIA

Kalendarium: wrzesień 2013 – listopad 20139

Mała proza i siedem fotografii9

Ludmiła Marjańska – 90. rocznica urodzin10

Narodowy Program Rozwoju Czytelnictwa10

WSPOMNIENIE

Jarosław Kapsa, *Zaduszki*11

Wersy (za)duszne, Wiesław „Kardynał” Wyszyński, *Kopa Knopa* (limeryk)13

POEZJA – DEBIUT

Monika Bula, *Wiersze*14

Agnieszka Złota „(...) *Rozpusta jest walutą cukierkowa apokalipsa nadchodzi*”
- o debiucie prasowym Moniki Buli15

POEZJA

Piotr Kasjas, *Wiersze wybrane*18

Agata Grochowska, *Samotna pośród miasta – wiersze*21

Jacek Gierasinski, *Ze szkoły*22

Lech Grochulski, *Wiersze*23

Izabela Kołdej-Ptak, *Wiersze*25

Jan Łączewski, *Wiersze dla przyjaciół*26

Olga Bąkowska, *Rendez-vous w deszczu*27

Kazimierz „Stolorz” Kowalczyk, *Kazimierza „Stolorza” Kowalczyka zakład przetwa-
rzania i utylizacji słów i myśli „Stara Wierszownia”. Seria druga – Basi Strzelbic-
kiej*29

PRZEKŁADY

Ihor Pawluk, *Męskie wróżby* (w przekładzie Tadeusza Karabowicza)32

PROZA – DEBIUT

Michał Wilk, *Meander* (cykl opowiadań)35

Janusz Mielczarek, *O prozie Michała Wilka. Nie wybijaj oka... piórem*39

PROZA

Janusz Mielczarek, *Ślady historii cynamonowych*40

Elżbieta Gola, *Zawsze miej przed oczami coś pięknego*49

Zbigniew Myga, *Kotek*58

CONVERSATIO

- „[...] to [...] chwytanie strąconej ze stołu szklanki” – o widzeniu świata
przez obiektyw z Jackiem Koniecznym rozmawia Aleksandra Keller60

SZKICE, ESEJE, RECENZJE

- Jarosław Kapsa, *O Drohobyczu*64
Michał Wilk, *Teatr Imaginarium w prozie Brunona Schulza*66
Tomasz „Aztenty” Barański, *Ptaku mojego serca – objaw się!* (fragmenty)73
Adam A. Zych, *Śmierć w cyklu życiowym człowieka*81
Paulina Piasecka, *Z granic człowieczeństwa. „Żywica” Ludmiły Marjańskiej*83
Jarosław Cieślak, *Zamiatanie pióropuszem*85
Alicja Nowak *Podziękowania*87

Z NOTATNIKA MAŁGORZATY N-K

- Małgorzata Nowakowska-Karczewska, *Roman Brandstaetter (1906 – 1987)*88

Z PODRÓŻY

- Ida Jadwiga Łubińska, *Moje Camino*92

HISTORIA W GALERII

- Jan Łączewski, *Jana Łączewskiego przyczynki do historii Częstochowy*107
Bóg nas kocha. Refleksje w Dzień Zaduszny108

RELACJE

- Aleksandra Keller, *Ciało w Ratuszu*111
Za dusze literackie wspomnienie111
Radomska omerta112
Janusz Mielczarek, *VI Festiwal „Monodram 42-200”. W pieśnocy pian*113
Jubileuszowa Gala Andrzeja Kalinina – fotorelacja114
Danuta Polak, *Na jubileusz*115
Nasztazja Lewinsky (pseudonim), *Limeryk do sztambucha literata*115

NOTY O KSIĄŻKACH

- Adam A. Zych, *Pomiędzy wiarą a zwątpieniem. Wprowadzenie do psychologii religii* 116
Stanisław Dziedzic, Tadeusz Skoczek, *Teatr 38. Grupa Piotra Szczerskiego*116
Agnieszka Złota, *Raport o zieleni*117
Agnieszka Złota, *Częstochofskie szkice krytycznoliterackie 2011-2013*117
Szkice i recenzje – wokół „Dojrzwania” Barbary Strzelbickiej, pod red. A. Złotej ...118
Wokół twórczości Andrzeja Kalinina – szkice i recenzje, pod red. A. Złotej, A. Keller 118
Anna Grzanka, *Tobie*119
Ihor Pawluk, *Męskie wróždy*119

NOTY O AUTORACH

- Monika Bula15
Piotr Kasjas20
Ihor Pawluk34
Tadeusz Karabowicz34
Michał Wilk38
Jacek Konieczny63
Jarosław Cieślak87



Foto: Janusz Mielczarek

Najsmutniejsze są hale odlotów, perony dworców, benzynowe stacje na odludziu – wyspy bytu. A mimo to pulsują życiem te ludzkie mrowiska, rozsnuwając pajęczą sieć dróg, niczym nerwowy układ pomiędzy przestrzeniami czasu. Czym jest podróż? I jaki jej sens? Czy chodzi w niej także o to, by poczuć jeszcze raz przemożne uczucie radosnej beczności, towarzyszące zawsze zawieszeniu w niebycie miejsc, do których się w żaden sposób nie przynależy? Podróż jest jedyną chwilą, kiedy przestaje się istnieć naprawdę i niczym Schulzowski demiurg można się unieść ponad świat, obłąskawiony codziennym obrachunkiem spraw. Prawdziwe życie toczy się w nieistnieniu... W podróży zawiera się granica prowincji i terytorium, gdzie kierunek dróg wyznacza mapa własnego „ja” odbitego w twarzy obcego [zob. *Mapa i terytorium* – powieść Michela Houellebecqa – przyp.red.].

Galeria 28 proponuje namiastkę podróży, wbrew zimowej aurze, do sierpniowego Drohobycza *Śladami historii cynamonowych* [Janusz Mielczarek], wędrówkę traktem pielgrzymów, zdążających do grobu Jakuba Apostoła [*Moje Camino* Idy Jadwigi Łubińskiej], wreszcie błędzenie pomiędzy zaułkami bram i podwórek jasnego miasta, znaczone wersami pamięci o tych, którzy odeszli losu koleją w tajemne uskoki wspomnień [*Zaduszki* Jarosława Kapsy; Jana Łączewskiego *Bóg nas kocha. Refleksje w Dzień Zaduszny*]. Stąd

i stamtąd jednak blisko do Paryża, by *zawsze mieć przed oczami coś pięknego* [Elżbieta Gola].

W mikrop przestrzeni podróży, tej najbliższej – do pracy, po dzisiejszą gazetę i poranny chleb – może się zdarzyć wszystko, nawet nieoczekiwane *tête-à-tête* ze sprzedawcą parasoli, który zupełnie bez powodu, ale z kurtuazją zechce przekonać do kupna rzeczy zbędnej jak romans nie w porę, bo w deszcz [Olgi Bąkowskiej *Rendez-vous w deszczu*], Kazimierz „Stolorz” Kowalczyk w dedykowanej tym razem Barbarze Strzelbickiej drugiej serii *Starej wierszowni* żegna się ze Smutkiem – *po męsku, bez żalu! W kapeluszu na bakier i w jedwabnym szalu*; Jacek Gierasinski wraca *Ze szkoły*, Piotr Kasjas śle strofy z mglistego Birmingham, a Ihor Pawluk powróży po męsku i szczerze (w przekładzie Tadeusza Karabowicza) o swoim miejscu na ziemi – *W kraju chabrowego lata*.

Więc zostaniemy jeszcze na trochę w lecie, upał unosi zapach morskiej trawy i fale rozkraplały się w pył, co osiada na twarzy chłodną smugą. Jastarnia 1961 roku. Do Gdyni wpływa Batory z rejsu przez Atlantyk. Haśka postanowiła wrócić. Wbrew zdrowemu rozsądkowi, *ale nikt się takowego po Haśce nie spodziewał*. W opowiadaniu brata Haliny Poświatowskiej – Zbigniewa Mygi – trwa w beztrosce wakacyjna kanikuła i polowanie na *Kotka*, choć już nad linię horyzontu podpełza zmrok. I jeszcze Tomasz „Aztetny” Barański woła ponad czasem – *Ptaku mojego serca – objaw się!*

Podróż nie musi mieć wyznaczonego celu. Czasem przypomina rzekę – *Meander* zdarzeń, który rządzi się autonomiczną logiką. Warto przyrzeć mu się z bliska w prozatorskim debiucie Michała Wilka. A jeśli mowa o debiutantach – w poetyckich chimerach Monika Bula zabłądzi w świecie lalek.

Na sztalugach: fotografie Jacka Koniecznego z podróży realnej i możliwej dla każdego z nas – przez frenetycznie barwne pejzaże rumuńskich wiosek.

Więc czym jest podróż? I jaki jej sens?

A może to ona jest sensem wszystkiego?

W imieniu Redakcji

Olga Winiarska

PS ...w sekwencji zdarzeń – list-apel Jurija Andruchowicza z kijowskiego Majdanu...

Дорогі друзі,

і передусім закордонні журналісти й редактори,

цими днями я отримую від вас дуже багато запитань із проханнями описати поточну ситуацію в Києві та в Україні загалом, виразити свою оцінку того, що відбувається, і сформулювати бачення хоча б найближчого майбутнього. Оскільки я просто фізично не зможу написати окремо для кожного з ваших часописів розлогу аналітичну статтю, я вирішив підготувати це стисле звернення, що ним кожен із вас може користуватися в залежності від своїх потреб.

Найважливіші речі, про які я маю вам сказати, такі.

За неповні чотири роки свого правління режим pana Януковича довів країну та суспільство до крайньої межі напруженості. Що гірше – він запер себе самого у безвихідь, за якої він мусить утримуватися при владі вічно і будь-якими засобами. Інакше для нього настане суворі кримінальна відповідальність. Масштаби розікраденого та узурпованого перевищують будь-які уявлення про людську захланність.

Єдиною відповіддю, що їй цей режим ось уже третій місяць стосує щодо мирних протестів, є насильство, при цьому ескалююче, при цьому «комбіноване»: атаки поліцейських спецпідрозділів на Майдан поєднуються з індивідуальним переслідуванням опозиційних активістів і простих учасників протестних акцій (стеження, побиття, спалення автомобілів, будинків, вторгнення у помешкання, арешти, конвейери судових процесів). Ключовим словом є залякування. Оскільки воно не спрацьовує, й люди протестують дедалі масовіше, влада робить дедалі жорсткішими репресії.

«Законодавчу базу» під них вона створила 16 січня, коли цілком залежні від президента парламентські депутати з усіма можливими порушеннями регламенту, порядку денного, процедури голосування і нарешті Конституції руками (!) протягом кількох хвилин (!) проголосували цілу низку законодавчих змін, які реально запроваджують у країні диктатуру й надзвичайний стан навіть без оголошення останнього. Наприклад, я,

Дродзь przyjaciele,

i przede wszystkim zagraniczni dziennikarze i redaktorzy...*

w tych dniach otrzymuję od was bardzo dużo zapytań i prośb o opisanie obecnej sytuacji w Kijowie, i ogólnie na Ukrainie, wyrażenie swojej opinii o tym, co się dzieje i wyartykułowanie prognozy chociażby najbliższej przyszłości. Ponieważ fizycznie nie jestem w stanie napisać osobno dla każdego z waszych czasopism wyczerpującego analitycznego artykułu, postanowiłem przygotować ten krótki apel, z którego każdy z was może skorzystać w zależności od swoich potrzeb.

Najważniejsze rzeczy, o których chcę wam powiedzieć, są następujące.

W ciągu niespełna czterech lat sprawowania władzy reżim pana Janukowycza doprowadził kraj i społeczeństwo do granic wytrzymałości. Co gorsze – doprowadził do sytuacji bez wyjścia, w której musi utrzymywać się przy władzy przez cały czas i za pomocą wszelkich środków. W przeciwnym wypadku czekają go poważne karne sankcje. Skala kradzieży i uzurpatorstwa przekraczają jakiegokolwiek wyobrażenia o ludzkiej zachłanności.

Jedyną odpowiedzią na pokojowe protesty, jaką od trzech miesięcy daje ten reżim, jest przemoc, do tego eskalująca i „kombinowana”: ataki policyjnych sił specjalnych na Mайдan połączone z indywidualnymi prześladowaniami opozycyjnych działaczy i zwykłych uczestników akcji protestacyjnych (śledzenie, pobicia, podpalenia samochodów, budynków, wtargnięcia do pomieszczeń, areszty, seryjne sądowe procesy). Kluczowym słowem jest zastraszanie. Ponieważ ono nie działa i protesty ludzi się nasilają, władza zwiększa surowość represji.

Ich „prawną podstawę” władza stworzyła 16 stycznia, kiedy w pełni zależni od prezydenta parlamentarzysty, z wszystkimi możliwymi naruszeniami regulaminu, porządku obrad, procedur głosowania i wreszcie Konstytucji, rękami (!) w przeciągu kilku minut (!) przegłosowali cały szereg prawnych zmian,

пишучи й поширюючи ці рядки, вже підпадаю під декілька кримінальних статей за які-небудь «наклепи», «розпалювання» і т. п.

Коротко кажучи, якщо визнати ці «закони», то слід вважати: в Україні заборонено все, що не дозволено владою. А владою дозволено тільки одне – коритись їй.

Не погоджуючись із такими «законами», українське суспільство 19 січня вже вкотре масово виступило на захист свого майбутнього.

Сьогодні в кадрах телевізійних новин із Києва ви можете бачити протестувальників у різного типу шоломах і масках на обличчях, часом із дерев'яними кийками в руках. Не вірте, що це якісь «екстремісти», «провокатори» чи «праві радикали». Я і мої друзі й самі тепер виходимо на наші маніфестації в такому й подібному екіпуванні. У цьому сенсі «екстремістами» нині є я, моя дружина, донька, наші друзі. У нас немає виходу: ми захищаємо життя та здоров'я себе і своїх близьких. По нас стріляють бійці поліцейних спецпідрозділів, наших друзів убивають їхні снайпери. Кількість протестувальників, убитих лише в урядовому кварталі протягом останніх двох діб, за різними даними сягає 5 – 7 осіб. Кількість пропалих без вісти по всьому Києву сягає десятків людей.

Ми не можемо припинити протести, бо це означатиме, що ми погоджуємося на країну у формі довічної в'язниці. Молоде покоління українців, які виросли і сформувались у післярадянські часи, органічно не сприймає жодної диктатури. Якщо диктатура переможе, Європа муситиме рахуватися з перспективою Північної Кореї на своєму східному кордоні та, за різними оцінками, від 5 до 10 мільйонів біженців. Я не хочу вас лякати.

У нас – революція молодих. Свою неоголошену війну влада веде перш усього проти них. З настанням темряви в Києві починають пересуватися невідомі угруповання «людей у цивільному», які виловлюють головним чином молодь, особливо із майданівсько-євросоюзівською символікою. Вони викрадають їх, вивозять у ліси, де роздягають і катують на лютomu холоді. Дивним чином жертвами таких затримань найчастіше стають молоді

które w rzeczywistości zaprowadzają w kraju dyktaturę i stan wyjątkowy nawet bez ogłoszenia tego ostatniego. Na przykład ja, pisząc i rozpowszechniając te słowa, już łamię kilka kryminalnych paragrafów za „oszczerstwa”, „podżeganie” itp.

Krótko mówiąc, jeśli przestrzegać tych „praw”, to należy uznać, że na Ukrainie zabronione jest wszystko, co nie podoba się władzy. A władza pozwala tylko na jedno – ukorzenie się przed nią.

Nie godząc się na takie „prawo”, ukraińskie społeczeństwo 19 stycznia kolejny raz wystąpiło masowo w obronie swojej przyszłości.

Dzisiaj w relacjach telewizyjnych wiadomości z Kijowa możecie zobaczyć protestujących w różnego rodzaju kaskach i maskach, czasem z drewnianymi pałkami w rękach. Nie wiercie, że to jacyś „ekstremiści”, „provokatorzy” czy „prawicowi radykałowie”. Ja i moi przyjaciele sami teraz wychodzimy na nasze manifestacje w takim i podobnym ekwipunku. W tym sensie „ekstremistami” jestem i ja, moja żona, córka, nasi przyjaciele. Nie mamy wyjścia: bronimy swojego życia i zdrowia, i swoich bliskich. Strzelają do nas żołnierze policyjnych oddziałów specjalnych, zabijają naszych przyjaciół ich snajperzy. Liczba demonstrantów, zabitych jedynie w rządowej dzielnicy w ciągu ostatnich dwóch dni, według różnych źródeł sięga 5 – 7 osób. Liczba zaginionych bez wieści w całym Kijowie sięga dziesiątek ludzi.

Nie możemy zrezygnować z protestów, bo to oznacza, że zgodzimy się na kraj będący wiecznym więzieniem. Młode pokolenie Ukraińców, które dorastało i kształtowało się w czasach postsowieckich, w sposób naturalny nie akceptuje żadnej dyktatury. Jeśli dyktatura zwycięży, Europa będzie musiała się liczyć z perspektywą Północnej Korei na swojej wschodniej granicy oraz, według różnych szacunków, z 5 do 10 milionami uciekinierów. Nie chcę was straszyć.

To rewolucja młodych. Swoją niewypowiedzianą wojnę władza prowadzi w pierwszym rzędzie przeciwko nim. Z nastaniem

митці – актори, художники, поети. Складається враження, що в країну допущено якісь «ескадриони смерті», завданням яких є винищити все найкраще.

Ще одна характерна деталь: у лікарнях Києва поліцейні сили влаштовують засідки на поранених протестувальників, вони захоплюють їх там і (повторюю – поранених!) вивозять на допити в невідомому напрямі. Звертатися до лікарні навіть випадковим перехожим, зачепленим випадковим осколком від поліцейної пластикової гранати, стало вкрай небезпечно. Лікарі тільки розводять руками і віддають пацієнтів до рук т. зв. «правоохоронців».

Підсумовуючи: в Україні повним ходом здійснюються злочини проти людяності, відповідальна за які нинішня влада. Якщо в цій ситуації справді присутні якісь екстремісти, то це найвище керівництво країни.

Тепер щодо двох ваших традиційно найскладніших для мене запитань: я не знаю, що буде далі, як і не знаю, що можете нині ви для нас зробити. Втім ви можете в міру можливостей і контактів поширювати це моє звернення. А ще – співчуйте нам. Думайте про нас. Ми все одно переможемо, хоч як вони лютуватимуть. Європейські цінності вільного та справедливого суспільства український народ нині вже без перебільшення відстоює власною кров'ю. Я дуже сподіваюся, що ви це оціните.

Юрій Андрухович

zmroku po Kijowie zaczynają poruszać się niezidentyfikowane ugrupowania „ludzi po cywilnemu”, którzy wylapują przede wszystkim młodzież, szczególnie z symbolami Majdanu czy Unii Europejskiej. Porywają ich, wywożą do lasu, gdzie rozbierają i torturują na srogim mrozie. Dziwnym trafem zaskakująco często ofiarami takich zatrzymań stają się młodzi artyści – aktorzy, malarze, poeci. Odnosi się wrażenie, że po kraju grasują „szwadrony śmierci”, których zadaniem jest niszczenie wszystkiego, co najlepsze.

Jeszcze jeden charakterystyczny szczegół: w szpitalach Kijowa siły policyjne organizują zasadzki na rannych demonstrantów, chwytają ich i (powtarzam – rannych!) wywożą na przesłuchania w niewiadomym kierunku. Szukanie pomocy w szpitalach nawet przez przypadkowych przechodniów ranionych przypadkowo odłamkiem plastikowego policyjnego granatu stało się skrajnie niebezpieczne. Lekarze tylko wzruszają ramionami i oddają pacjentów w ręce tak zwanych „stróżów prawa”.

Podsumowując: na Ukrainie bez zahamowań popełniane są zbrodnie przeciw ludzkości, za które odpowiada obecna władza. Jeśli w tej sytuacji rzeczywiście uczestniczą jacyś ekstremiści, to są to najwyżsi przywódcy kraju.

Teraz odnośnie waszych dwóch tradycyjnie najtrudniejszych dla mnie pytań: nie wiem, co się wydarzy, jak i nie wiem, co moglibyście dla nas zrobić. Ale możecie w miarę możliwości i kontaktów rozpowszechnić ten mój apel. I jeszcze – współczujcie nam. Myślcie o nas. My bez względu na wszystko zwyciężymy, chociaż oni się srożą. Ukraiński naród, mówiąc bez przesady, broni europejskich wartości wolnego i sprawiedliwego społeczeństwa własną krwią. Mam nadzieję, że to docenicie.

Jurij Andruchowycz



* Tekst listu przekazany i przetłumaczony przez Wojciecha Pestkę.

Barbara Strzelbicka

WSPOMNIENIE O MARIANNIE FALKOWSKIEJ

Marianna Falkowska była nietuzinkowa i niepokorna. W literackim życiu Częstochowy pojawiła się około 2000. roku, kiedy to postanowiła stworzyć miejsce dla siebie i innych ludzi, tak jak Ona piszących wiersze. Była już wtedy kobietą w pełni dojrzałą i, jak sama mówiła, nigdy wcześniej nie myślała o tym, że mogłaby pisać. Jej potrzeba pisania pojawiła się późno, ale z wielką siłą, która sprawiła, że wiersze, jak mówiła, „posypały się”. Opisywała bliski sobie świat: rodzinną okolicę, znajomych ludzi, zdarzenia z codziennego życia. Jej ulubionym tematem była miłość, o której pisała z wielką otwartością i odwagą. Burzyła stereotypy, dotyczące ludzi w późnym wieku, przyznawała się do potrzeby miłości i bliskości – nie tylko psychicznej czy duchowej, czym być może niektórych zawstydzała, a wielu imponowała.

Chcąc stworzyć miejsce dla twórczości własnej i innych, udała się do OPK „Gau-de Mater”, gdzie w 2000. roku powstał Klub Literacki „Złota Jesień” – nazwany tak z powodu pory roku, a nie z powodu czyjegós wieku bynajmniej, bo Marianna Falkowska kompleksów w tej materii nie miała. Drwiła sobie z wypowiedzi typu: „siedemdziesięcioletnia staruszka”, padających z ust ludzi młodych. „Co oni wiedzą o starości?!” – pytała wtedy z szelmowskim uśmiechem. Dodawała czasem, że nie bardzo wierzy w śmierć i żyje tak, jakby jej nie było.

Klub „Złota Jesień” istnieje do dziś i ma się dobrze. Dobrze się mają także inne kluby, stworzone przez tych, którzy w „Złotej Jesieni” terminowali. Marianna Falkowska miała duże zacięcie społecznikowskie, dlatego też postarała się o merytoryczne wsparcie – by ktoś ocenił, jak mówiła, ile jest warte to nasze pisanie. Dzięki Jej determinacji teksty członków klubu były publikowane na łamach częstochowskiej prasy, ukazały się także



Fotografia z albumu rodzinnego

dwa tomy antologii wierszy i inne zbiorowe wydawnictwa. Zachęcała wszystkich i sama uczestniczyła w literackich wydarzeniach, czytała swoje utwory na Turniejach Jednego Wiersza – czy to się komuś podobało, czy nie. „Niech wiedzą, że istniejemy!” – mawiała. Parafrazując tytuł filmu o Marinie Abramowicz – była „poetką obecną”. Imponujące w Jej postawie było to, że ludzi piszących wiersze, w tym także siebie, bez kompleksów nazywała poetami.

Sama wydała trzy tomiki poetyckie – skromne książeczki z tą samą okładką i tym samym tytułem – „W moim świecie”. Jej wiersze są ciepłe, melodyjne, czasem sentymentalne, pełne siły i wiary w moc poezji, a nade wszystko – prawdziwe. Pisała tradycyjnie, wiersze bez rymów były dla Niej „prozą”. Prawdopodobnie po jakiejś poetyckiej konfrontacji napisała tekst, będący poniekąd Jej manifestem: „Będę pisać wiersze!” Nigdy nie publikowała w „Galerii”. Ufam, że zamieszczenie Jej tekstu nie byłoby wbrew Jej woli.

Marianna Falkowska zmarła 8 listopada 2013 roku.

Barbara Strzelbicka

Marianna Falkowska

SŁONECZNIKOWY TATA

Lubiłam patrzeć na niego,
Bo był niezwyklej urody.
Potężniał i rósł w pośpiechu.
Codziennie pił dużo wody.

Nie wyrósł jednak wysoki,
Lecz krępy z liśćmi dużymi.
Głowa mu nie urosła duża.
Chociaż z płatkami złotymi.

Liść gruby nie bez znaczenia
I niski wzrost też coś znaczy.
Udźwignąć musi rodzinę.
Bo jakże można inaczej?

W dość grubej nasadzie liści
Małutkie główki się rodzą.
I zanim te podorastają,
Następne na świat przychodzą.

Mnożą się główki dość szybko,
A tacie potrzebne siły.
Przybyło ich aż tak dużo,
Że tata stał się pochyły.

Cieszą się z taty maluchy
I bardzo liczna rodzina,
Że tata, chociaż pochyły,
To dzieci swoje utrzyma.

Dumny ze swych dzieci tata,
Jeszcze łodygę przystroił.
A w młodych liści nasadach
Niejeden maluch się zrodził.

Teraz przeżywa tortury,
Gdy wiatr łodygę nagina,
Dźwigając na niej swe dzieci,
Lęka się, czy je utrzyma.

KONDOLENCJE

8 listopada 2013 r. odeszła

Marianna Falkowska

założycielka Klubu Literackiego „Złota Jesień”,
społeczniczka, poetka, osoba o otwartym sercu

Rodzinie

wyrazy szczerego współczucia

składa

Zarząd oraz Członkowie
Literackiego Towarzystwa Wzajemnej Adoracji „Li-TWA”

KALENDARIUM WRZESIEŃ 2013 – LISTOPAD 2013

- 15 września** – „GALERIA” trafiła do księgarń sieci DOM KSIĄŻKI Sp. z o.o.,
- 28 września/6 października** – VII Przegląd Przedstawień Istotnych „Przez Dotyk” w Teatrze im. Adama Mickiewicza w Częstochowie,
- 2 października** – wieczór autorski Janusza Mielczarka i promocja książki „Ciało twojego snu” w Ratuszu Miejskim,
- 4/20 października** – 3. edycja Festiwalu Dekonstrukcji Słowa „Czytaj!”,
- 12-13 października** – XI Jurajska Jesień Poetycka w Złotym Potoku,
- 18 października** – wieczór autorski Mieczysława Wyględowskiego i promocja książki „Alfabet Wyględowskiego” w Ratuszu Miejskim,
- 24-27 października** – XVII Targi Książki w Krakowie,
- 2 listopada** – *Zaduszki Literackie* w Domu Poezji – Muzeum Haliny Poświatowskiej,
- 11 listopada** – 79. urodziny Tadeusza Chabrowskiego,
- 14 listopada** – ukazała się „GALERIA” 27,
- 16 listopada** – III Sympozjum Historyków Ziemi Częstochowskiej,
- 20 listopada** – wieczór autorski Wojciecha Pestki, połączony z promocją książki „Powiedźcie swoim” (w Ośrodku Promocji Kultury „Gaude Mater”),
- 25 listopada** – 80. urodziny Andrzeja Kallina,
- 28 listopada** – rozpoczęcie prac redakcyjnych nad 28 numerem „GALERII”.

Rafał Socha

MAŁA PROZA MISTRZÓW I ... SIEDEM FOTOGRAFII

...pod tak intrygującym tytułem ukrył się projekt wieczorów literackich połączonych z prezentacją fotografii, których premiera nastąpi na początku 2014 roku – dokładnie 4 lutego o godzinie 18 w Domu Kawiarniano-Barowym „Słodko-Gorzki” przy ul. Kilińskiego 5.

Literackim bohaterem pierwszego ze spotkań będzie Bohumil Hrabal, a prezentowane fotografie należeć będą do Małgorzaty Kozakowskiej – fotografiarki uznanej w środowisku i niedawno wyróżnionej w ogólnopolskim konkursie fotograficznym „Portret” w wielkopolskiej Trzciance II nagrodą za cykl „Prawie święty I, II, III”.

Inicjatorem i pomysłodawcą projektu jest wielokrotnie nagradzany fotografik i prozaik, autorytet i sprawca wielu artystycznych przedsięwzięć na terenie miasta – Janusz Mielczarek.

Literackie Towarzystwo Wzajemnej Adoracji „Li-TWA” zamierza wspierać go w realizacji pomysłu, który ma szansę stać się atrakcyjnym sposobem na prezentację klasyków literatury światowej. Wieczory, pomyślane jako swoiste lekcje czytania małych form prozatorskich z subiektywnym ko-

mentarzem uczestników, mają na celu przybliżenie autorów, których nazwiska brzmią dla młodego pokolenia obco lub ich twórczość niesłusznie została uznana za anachroniczną. Próba nowego odczytania powiązana z wymianą refleksji, własnych doświadczeń ze stylem czy sposobem kreacji świata przez danego pisarza ma stanowić swoisty eksperyment koncepcyjny także dla samego grona; będzie przymiarką do odbudowania dyskusji o literaturze na poziomie nie tylko historyczno-literackich badań, ale także nieprofesjonalnej krytyki literackiej i interpretacji, obcowania z tekstem w wymiarze emocji i intelektu.

Jako kontrapunkt dla literatury pojawiają się fotografie – ilustracyjny komentarz lub samoistne i niezależne od tekstu medium znaczeń.

O dalszych szczegółach redakcja „częstochowskiego magazynu literackiego GALERIA” będzie informowała zainteresowanych czytelników na bieżąco, ale już dziś zapraszamy do udziału w wieczorach poświęconych małej prozie mistrzów i siedmiu fotografiom.

A.Keller

LUDMIŁA MARJAŃSKA – 90. ROCZNICA URODZIN

Urodziła się 26 grudnia 1923 roku w Częstochowie. Tutaj także uczęszczała do Gimnazjum im. Juliusza Słowackiego (obecnie I Liceum Ogólnokształcące), co stało się kanwą powieści „Pierwsze śniegi, pierwsze wiosny” (1985). W roku 1945 wyszła za mąż za Janusza Marjańskiego, a w 1961 ukończyła filologię angielską na Uniwersytecie Warszawskim. Debiutowała jako poetka w 1953 roku w miesięczniku „Twórczość”, a jako tłumaczka trzy lata później tomem „Wierszy szkockich” Roberta Burnsa. Przekłady literatury angielskiej w jej wykonaniu, m.in. Emily Dickinson, Włata Whitmana, Williama Butlera Yeatsa, Richarda Wilbura i Marianne Moore są do dziś wysoko cenione.

Twórczość poetki Ludmiły Marjańskiej to siedemnaście tomików, m.in. debiutanckie „Chmurne okna” (1958), „Blizna” (1986), „Stare lustro” (1994), czy jedno z ostatnich: „Córka bednarza” (2002), „A w sercu pełnia” (wybór wierszy; 2003) i „Otwieram sen” (2004).

W swojej działalności artystycznej nie ograniczała się wyłącznie do poezji czy tłumaczeń. W latach 1957–1979 redagowała audycje poetyckie w Polskim Radiu. A w latach 1993–1996 pełniła funkcję prezesa Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. Uhonorowana została Medalem im. Anny Kamieńskiej, Nagrodą Literacką im. Władysława Reymonta, a także została odznaczona Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski.

Zmarła 17 października 2005 roku w Warszawie.

26 grudnia 2013 roku minęła 90. rocznica urodzin poetki i tłumaczki, która w pamięci wielu osób zapisała się nie tylko ze względu na twórcze dokonania, ale także z uwagi na wewnętrzne piękno, pogodę ducha i serdeczności, jakimi obdzielała otaczających ją ludzi. Z tej okazji w murach I Liceum Ogólnokształcącego im. Juliusza Słowackiego odsłonięto pamiątkową tablicę poświęconą Ludmił Marjańskiej i ufundowaną przez Stowarzyszenie Absolwentów i Przyjaciół I LO im. J. Słowackiego „Z tradycją w XXI wieku”. W ramach rocznicowych obchodów – 21 grudnia – zaplanowano także Salon Poezji i wernisaż wystawy poświęcone poetce w Teatrze im. Adama Mickiewicza w Częstochowie.

Ludmiła Mariańska

SZARA RENETA

Życie – szara reneta:
wbić w nią zęby na dużej przerwie.
Lekcja śmierci to nietakt,
Nitka sama się zerwie.

Zjeść jabłko i zatrzymać
na gałęzi w ogrodzie?
Choć zmroziła je zima,
nie umiemy odchodzić.

I trwa daremny przetarg.
Patrzysz na jabłoni z bliska:
zwiędła, szara reneta
znienacka złotem błyska.

red.

NARODOWY PROGRAM ROZWOJU CZYTELNICTWA

Od 1 stycznia 2014 rusza realizacja programu pod auspicjami Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego, który swoim zasięgiem czasowym obejmie lata 2014 – 2020.

W założeniach programowych znalazły się nowe rozwiązania systemowe, a ich celem jest uporządkowanie i rozbudowanie dotychczas podejmowanych w tym zakresie działań. Zasięg prac obejmie najistotniejsze obszary związane z książką, rynkiem wydawniczym i czytelnictwem: promocję i upowszechnianie czytelnictwa, wspieranie wydawania wartościowej literatury i czasopism kulturalnych, szkolenie księgarzy oraz regulacje prawne dotyczące rynku księgarskiego.

W ciągu sześciu lat na ten cel zostanie rozdysponowany miliard złotych: 650 mln zł ze środków MKiDN i 350 mln zł od beneficjentów programu, m.in. od samorządów i instytucji.

Celem NPRCz jest stworzenie warunków dla wzrostu czytelnictwa w Polsce poprzez realizację 15 programów prowadzonych przez Bibliotekę Narodową, Instytut Książki oraz Narodowe Centrum Kultury.

[za: www.institutksiazki.pl] red.

Jarosław Kapsa

ZADUSZKI LITERACKIE

Miroslaw Falco Dąsal

Można rzec, postać z innej bajki, nieznana w częstochowskim środowisku ludzi kultury.

Był himalaistą, człowiekiem gór, takim yeti, który chciał zostawić swój ślad tam, gdzie nie sięga ludzka wyobraźnia. Pozostawił po sobie dwie książki: „Mniej-wiecej niż Dhaulagiri” oraz „Każdemu jego Everest”, świadectwa niesamowitego talentu władania słowem jako narzędziem mierzenia rzeczywistości. Moim prywatnym zdaniem: były to najlepsze książki napisane przez polskiego pisarza o górach wysokich...

Falco był z Chrzanowa, na studiach wsiąkł w krakowskie środowisko taterników. Do Częstochowy ściągnęła go swoim sprytem i uporem Ela, czyniąc go swoim mężem. Życie, wówczas speleologiczne i taternicze, kwitło w wynajmowanej przez Dąsław (i spółkę) chałupie w Olsztynie, a Falco stawiał się guru owego środowiska... Było bowiem w latach 70-80-tych tak, jak to pisał przed ponad 100 laty Walery Eliasz: „w góry, w góry, miły bracie, tam swoboda czeka na cię”. Góry dawały wolność, uczyły, czym jest przyjaźń, na czym polega odpowiedzialność za partnera, z którym na ścianie łączy nas lina. Dla Falca wspinaczka nie była sportem, była poezją, metafizyką, religią. Miał przy tym wrodzony talent pedagogiczny lub może rodzaj charyzmy, potrafił młodym adeptom sztuki wspinania przekazać nie tylko wiedzę o technice asekuracji, ale przede wszystkim uczył ich, że góry wysokie są wyzwaniem w poszukiwaniu prawdy o życiu.

Zginął 4 czerwca 1989 r. pod Everestem, idąc na pomoc kolegom; była to największa katastrofa w dziejach polskiego himalaizmu, lawina zabrała czterech wspinaczy. I nikt już

po nim z takim sercem nie potrafił wznieść do gwiazd wołania: „Krywaniu, Krywaniu wysoki, leć, płyną nad tobą obłoki...”.

Tadeusz Miśkiewicz

Odszedł niespodziewanie w 1997 roku, odbierając Częstochowie swoją barwną postać. Był w PRL-u jak Tyrmand w Warszawie, jak ptak egzotyczny wyróżniający się z szarości realnego socjalizmu.

Modne dziś określenie „kultowe” mogło dotyczyć spotkań prowadzonych przez Tadeusza w klubach studenckich, gdy prezentował najnowsze płyty jazzowe i rockowe, przesyłane zza „żelaznej kurtyny”. Dla wielu z nas były to lekcje wolności; bo dla młodych, wtłoczonych w mundurki szkolne, marzenia o wolności były obrazem Woodstock, z „gwieździstym sztandarem” Hendrixa i drwiącą frazą Janis Joplin: „hej, panie, kup mi Mercedesa Benz...”.

Zaprzyjaźniliśmy się w burzliwym roku 1980. Tadeusz, wiadomo – mistrz plastyki, dobrowolnie i społecznie, rysował dla „Solidarności”; jego dziełem była winieta Biuletynu Informacyjnego i szereg innych ulotek. Jedną mi sprezentował jesienią ‘81, antycypując rzeczywistość. Na kartce podpisanej z Konopnicką „w polskiej ziemi między swemi”, był skutny kajdankami młodzieniec prowadzony przez dwóch panów w prochowcach... Piękniejszy dar sprawił mi w 1989 roku; list opatrzony kolorowym znaczkiem z moją podobizną.

Mówienie, że Tadeusz był plastykiem, znacznie zubaża rzeczywistość. Był wszystkim, co zawiera się w słowie artysta. Jemu zawdzięczam systematyczne dostawy „Zeszytów Historycznych” paryskiej „Kultury”. On wymyślił wspólne oglądanie przemycanych, zakazanych filmów, w tym „Przesłuchanie” Bugajskiego i „Łowcy jeleni” Cimino. Dzięki

temu w konspirze lat 80. żyło się, jeśli nie lepiej, to przynajmniej kulturalniej.

Jacek Mikołaj Olszewski

Mikołaj był wikingiem, z wyglądu, z charakteru, z tęsknoty za odkrywaniem obcych lądów. W związku z powyższym ciasno mu było na świecie, gdzie samoloty wyparły drakkery, a garnitury zastąpiły zbroje.

Mikołaj tworzył sam siebie i było to równie interesujące (a może bardziej) niż jego twórczość plastyczna lub literacka. Kontrowersje mogłyby nas podzielić, gdybym próbował zaszufladkować Jacka do wybranej ścieżki twórczej. Wydawał pismo satyryczne „Jorik”, wcześniej zaś klasycznie polityczny, polonijny dziennik w Toronto. Jako chyba pierwszy w Częstochowie na swoim zdobionym jabłuszkiem „Mc Intoshu” tworzył grafikę komputerową; ale też ze średniowieczną cierpliwością rzeźbił w metalu szkaplerze i odtwarzał portrety trumienne. Właściwie to mógł być wszystkim, nawet prekursorem częstochowskiego jazz-rocka (poświadczyć to może Ziut Gralak); sęk w tym, że natura wikinga zmieniła mu życie w podróż i poszukiwanie swojego Pacanowa.

Wolę pamiętać to, co dobre, to, co rodzi uśmiech. W młodości zawiązaliśmy „jaczekę” Ruchu Młodej Polski i z powagą traktowaliśmy misję samokształcenia. Siedzimy więc u Olszewskich, nudzę zebranych bardzo poważny wykładem o różnicach politycznych między Piłsudskim a Dmowskim, a Mikołaj mi karteczkę podsuwana. Na karteczce obraz pt. „Organy w oliwie”: otwarta puszka sardynek, a w środku organy... męskie... W konspiracji nauczyliśmy się trudnego słowa „inwigilacja” i metod jej unikania. Jacek rzecz spointował przekonująco: jak oni nas śledzą, to my ich też śledziem.

Była wiosna 1982 roku: Mikołaj z Krzyśkiem spięci kajdankami maszerowali do sądu. Podjęli wtedy absolutnie bezrozumną i z góry skazaną na przegraną próbę ucieczki. Bo wiesz,

tłumaczył Jacek, słoneczko, lekki wiaterek, dziewczyny na ulicach..., co więcej potrzeba, by rozum odebrało.

Odszedł nagle, gdy już jego życie zaczęło się stabilizować, gdy z żeglarza stawał się klasykiem.

Waldek Gaiński

Książę duński Waldemar, przybyły z ponurych odmętów stołecznych dzielnic, stał się na częstochowskim bruku poetą miejskim, opiewającym podróż tramwajem. Natura obdarzyła go precyzją słowa, stał się więc poetą znanym, bez mała klasykiem, cenionym (przynajmniej przeze mnie)... i słusznie.

Dwie rzeczy go gubiły. Pierwsza to temperament, powodujący, że precyzję słowa zamieniał z lekkością na siekiery argumentów. Druga to utożsamianie siebie z własną poezją. To było gorsze, bo co innego *image* poety przekłętego, a co innego zmieniać własne życie w przekleństwo upadku. A Waldemar był jak kamień rzucony w kierunku słońca, który swój wzniosły lot kończy bolesnym rąbnięciem o głębę.

Moje dziecko kiedyś ze zdziwieniem obserwowowało scenę z teatru absurdu. Zaczepia nas pewien człowiek o wyraźnej fizjonomii lumpa, oferując nabycie podejrzenie wyglądających pisaków lub zamiennie użyczenie 5 zł, na piwo. I moje dziecko ze zdumieniem widzi, że zamiast pozbyć się natręta, zaczynam z nim rozmowę o jakiś tajemniczych tomikach, wersach, postaciach, metaforach... Po czy, gdy już kontynuujemy nobliwy spacer po Alejach, dopowiadam latorośli: wiesz, to był jeden z najlepszych poetów z Częstochowy... I był jednym z najlepszych bez względu na poziom, do jakiego się stoczył.

Pamięć o upadkach niech uleci z wiatrem, pozostaną wyrzeźbione przez Waldka słowa.

Twarze z redakcji

Mikołaj, Waldemar... Widzę ich twarze przy zsuniętych stołach w redakcji „24 godzin. Dziennik częstochowski”. Przy tym piśmie, tworzonemu od zera przez Mariana Rawinisa zagnieździła się liczna kolonia kulturalna, taka swoista konfraternia ludzi pióra. Pomieszało się tam młode ze starym, doświadczenie z wariactwem, poważność ze sztubackością.

Łącznikiem z przeszłymi tradycjami Częstochowy był nestor Tadeusz Gierymski, z siwym włosiem, nobliwym wyglądem i wiecznie młodym charakterem, podkreślanym diabelską iskierką w oczach. Dla mnie był guru od młodości, gdy jako ojciec mojego szkolnego kolegi przyszedł do liceum Kopernika jako żywa klasyka. Jedno wejście, a w „czerwonym Koperniku” powstał odlatujący klub poetów. Nauczyłem się od niego, że w czasach rewolucyjnych trzeba pisać rzeczy marginalne (notatki z czasu), bo tylko takie mają wartość ponadczasową. Trudne to do pojęcia; tego się nie rozumie, do tego się dojrzewa. Potrzebny jest siwy włos, by stać się leniwym spacerowiczem po olsztyńskich wzgórzach, odkrywającym wciąż na nowo piękno świata.

Drugim naszym (nieobecnym ciałem) nestorem był Andrzej Grądzman. Smakosz muzyki, trzeba było widzieć jego twarz zadowolonego starego kocura, gdy delektował koncert fortepianowy Ludmiły. Bywalec, bez którego tracił sens wszelki muzyczny festiwal; bo po co mają grać muzycy, skoro nikt nie potrafi ich słuchać...

Andrzejki były wielkim świętem redakcyjnym: mieliśmy wyborową kadrę Andrzejów (Grądzman, Kalinin, Kawka, Błaszczyk). Z nich odszedł także Andrzej Błaszczyk, Sarmata z urody, charakteru i pióra, twórca niezapomnianej postaci Genowefy Pigwy.

Starość bywa spełnieniem... Bardziej boli, gdy obietnica młodości przeniesie się w pustkę. Marcin Rumiński był u mnie tuż przed wyjazdem na Rajd Dakaru, w naszej rozmowie aż buzowało od planów. Drobiazg wielkości komara, błąd lekarzy, którzy nie

uwierzyli w możliwość występowania malarii w mieście pod Jasną Górą. I tak dziewięć lat temu straciliśmy „oficera najlepszych nadziei”, najzdolniejszego z literackiego bractwa młodego pokolenia.

Jarosław Kapsa

WERSY (ZA)DUSZNE

Kopa Knopa
(limery)

Z Częstochawy jeden chłop,
co ma lat ciut mniej niż Kof-
-a się trzyma jak trzydziestak:
-Proze życia to jest pestka -
mecie chłopów, Bogus Knop.

~~Leśna~~

~~Knopa~~ Kopa Knopa
Pawna Jodkie z Bonawenturą
ma za męża Knopa, który
alkohole npi i
żonę swą otrucię dawał.
Ależ kocha ma perumy!
Kardynał
Joduleski

Wiesław „Kardynał” Wyszynski



Fotografia ze zbiorów Autorki

Monika Bula

WIERSZE*

Świątynia Milionów Lat

Chłodne już ściany oplakują cicho jej upadek,
kiedyś była piękna
Swoim zapachem ożywiała wszystkie dusze
Teraz pragną jej zgniętego ciała
Lub wcale
W pustym pałacu wita tylko cichy szloch
Zapomnianej królowej
niekochanej
Pozostał jeszcze piękny cmentarz
Bawiła się tam popiołem i ukrytymi skarbami
Wrażeniami ziemskich słodczy
Żywiła się kawałkami lodu w ustach
Piła swoją krew z sączących się ran
Zdjęła suknię z koronki
Chodząc w bladuróżowej halce
tańczyła ekstazy
W krainie snu powracała do świątyni
milionów lat
Puste przestrzenie wypełnione smutkiem
Pustynny piach zamienia w zimny lód
I rażący blask lateksowej farby na ścianach.
Na peronie niewidzialnego piekła tworzył
budowniczy zrezygnowany
Czekał na pociąg, który nie nadjedzie.
Uwięziona w plastikowej trumnie.
Marna imitacja królowej
Zielone oczy patrzyły na jej ciało
Na plecach czarny krzyż. I stygnące skrzydła.
Codziennie rozbierała ją do snu. Topiąc
w czarnej wodzie.

Ukrywała płaczące lalki w ogrodzie
Świat pełen latających w powietrzu chorych
fantazji.
Tworzyła eksperymenty
Stał z boku. Widział ją przez mgłę. Patrzył na
składane ofiary.
Rude włosy oświeślał szyderczy księżyc.
W czarnym płaszczu utkany z grubych
koronek a w
poranionych dłoniach krwawy sztylet. Zadając
ciosy uśmiercała jęczące w okrzykach prądkawne
ideały.

Forever yours

Ku pamięci pierwszej miłości

O miłości nieskończona
przereklamowana
zapakuję Cię w reklamówkę z hipermarketu
zasługujesz na szlachetną folię
Modliszko
Sprawczyni naszej tragedii
Nauczycielko
Matko Afrodyty
potrafisz tylko ślepo kusić
niewiniątka ciągniesz na rzeź
poddana twojej wizji
obgryzam skórki i palce
zniszczyłaś dziecięcą fantazję
Różany domek
lalki
przedstawiłaś mi księcia o schizoidalnej naturze
drepczy nas choroba wrażeń
i on porzucił moje ciało

2355

Czarne komory
pożeracze otchłani
łowcy zwierzyń
i bohaterowie
zdeformowane twarzoczaszki
klony z zielonymi oczkami
ukrywają prawdy o naszym gatunku
rozpusta jest walutą
cukierkowa apokalipsa
nadchodzi

Transfiguration

Porozmawiaj za mną o Kancie
 filozofii Platona
 niezasadności Bushido
 świecie antymaterii
 i
 czarujących androidów
 opowiedz mi o miłości
 o poświęceniu, które nie istnieje

Nieskończoność

Brutusie
 opuściłeś ostatni posterunek
 Piotruś Pan
 odfrunął
 została mała dziewczynka
 z zapalką w dłoni
 porozrzucane kawałki metalu na schodach
 kilka narzędzi w nieistniejącym garażu
 wspomnienie psa na rękach
 idylliczny mit współczesnej rzeczywistości

Choroba

niewidoczna dusza
 zagubione ciało
 słodycz limfy
 czerwona
 maskowana choroba
 wyjątkowo
 trzymała się za rączkę
 nie zapomniała melodii Orffa
 jadłem zatrute zaręczyny
 wyblakła matka
 gasi pragnienie
 cicho
 patrzy i jęczy

Monika Bula

Monika Bula – urodziła się 03. 07. 1987 roku w Częstochowie. Z wykształcenia jest psychologiem, studia ukończyła na Uniwersytecie Śląskim w Katowicach. Pasjonują ją podróże, literatura i eksplorowanie ludzkiej *psyche*. Związana z klubem literackim „Anafora”.

Wyboru dokonała Agnieszka Złota*Agnieszka Złota**

„(...) ROZPUSTA JEST WALUTĄ CUKIERKOWA APOKALIPSA NADCHODZI” - O DEBIUCIE PRASOWYM MONIKI BULI

Czytając wiersze debutantki, Moniki Buli, doznaje się nieodpartego wrażenia, że wkraczamy do innego świata?, równoległej rzeczywistości?, alternatywnego życia?, w którym cytując Miguela de Unamuno: „(...) nieustające napięcie prowadzi do duchowych roztrząsań, do ciągłego analizowania siebie, do stałego przekopywania własnej duszy”¹. Świat wykreowany przez autorkę jest elitarny, frapujący i bezwzględny zarazem. Jego istotnymi rysami stają się hermetyzm, wizyjność

i groza. Kraina, do której wkraczamy, to królestwo iluzji, sennych wyobrażeń, gdzie kompasem wskazującym kierunek staje się miłość, a jego strzałkami jest zmieniająca się stale amplituda. Zależnymi od niej uczuciami (doświadczeniami) towarzyszącym podmiotowi lirycznemu stają się radość lub cierpienie. Przestrzeń świata przedstawionego tych wierszy uwikłana jest w symbole, których nośnikami są słowa-klucze. Ponadto stanowi miejsce gry, „swoiste laboratorium”, w którym osoba mówiąca w wierszach skutecznie swe poetyckie eksperymenty.

¹ M. de Unamuno, *Dziennik intymny*, Kraków 2003, s. 36.

Do krainy wyobraźni podmiot liryczny powraca stale, podczas snu. W tej perspektywie staje się przewodnikiem, który wykonuje gest symbolicznego przeprowadzenia czytelnika na „drugą stronę”. Tym, co zaciekawia, jest współuczestnictwo w doświadczeniu onirycznym. Sen stanowi odmianę rytuału ze względu na swą powtarzalność. Rytuał wiąże się w tej poezji ze strategią zaklinania czasu i staje się sposobem zahamowania żywiołu destrukcji, który wkrada się do świata przedstawionego. Poprzez powtarzalność pewnych czynności destrukcja traci swe moce, pojawiają się nowe możliwości konstrukcyjne, a ich efektem odmienna wizja świata ocalająca to, co wartościowe. Rytualnym charakterem obdarzone są gesty podmiotu lirycznego, takie jak: zdjęcie sukni, składane ofiary, picie krwi (asocjacja wampiryczna), czy samookaleczenie. Z tego tropu interpretacyjnego wywodzą się dalsze komplikacje, będące konsekwencjami (metafizycznymi). Podmiot liryczny posiadający dwojaki status uczestnika oraz świadka-obszernika, wydaje wyrok szczególny, gest w duchu arlekinatycznym – chodzi o wyrok na wyobrażeniu o sobie samym (które nie musi być prawdziwe, co wynika z dalszego oglądu), wyrok na „części duszy”, „na podświadomości”. Zastanawiające staje się stwierdzenie o „plastikowej trumnie” („Świątynia milionów lat”), być może chodzi tutaj o fizyczny nośnik metafizycznego gestu uśmiercenia materii – ciała, które nigdy nie przestaje być złym, a przez to gnijącym. Ze snem powiązana jest „zmiana skóry”, przejawiająca się jako „zdjęcie ubrania” (w znaczeniu dosłownym) oraz symboliczne „zanurzenie w wodę” jako transpozycja motywu akwaticznego. Symboliczną wymowę posiada związany z nim motyw lunarny, księżyc bowiem stanowi ważny komponent scenerii budującej nastrój tych wierszy. Przynosi on odmianę percepcyjną, uwolnienie wyobraźni, zwiększa receptywność podmiotu poznającego.

Realna rzeczywistość ukazana jest w tej poezji jako miałka i grzęźnię w fałszu, try-

wializacji form przekazu, rozpuście i pozornej cukierkowatości prezentowanych treści, w których autorka dopatruje się swoistej mitologii wyczerpania i przepowiada jej rychły upadek. Jego figurą staje się „cukierkowa apokalipsa”. Podmiot liryczny odczuwa świat realny jako stan totalnej degrengolady, w którym zło zdeprawowało wszelkie struktury, panoszy się w swej bezkarności i ciągle namnaża. Pewna formuła wyczerpała się, czego wyrazem staje się nastrój abulii, przypominający atmosferę udzielającą się widzowi podczas oglądania filmu Larsa von Triera „Melancholia”. W wierszu „2355” pojawia się przecucie katastroficzne, uderzające trafnością i prawdą recepcji, dobitnie oceniające „rzeczywistość z plastiku”. Opozycją dla „plastikowego uniwersum” staje się „świat imaginacji”, wyobrażony jako „kraj najwyższych wież”. Bez wątpienia jest to rzeczywistość „pewniejsza”, bo podlegająca kreacji podmiotu lirycznego. Można stwierdzić, że autorka czyni tę przestrzeń uprzywilejowaną, przede wszystkim ze względu na jej mocne uwikłanie epistemologiczne.

Demaskatorskie strategie zastosowane przez poetkę obejmują niemal wszystkie poziomy semantyczne tekstu. Nieobce są tej poezji szyderstwo i ironia. Są to zjawiska umotywowane, umocowane celowościowo w strukturze świata przedstawionego: „O miłości nieskończona przereklamowana zapakuję cię w reklamówkę z marketu zasługujesz na szlachetną folię” („Forever yours”). Krytyce poddane zostają zarówno zjawiska fasadowe, jak i odwieczne przekonania. Materia natomiast ujawnia się w tej poezji jako „nieuleczalna skaza”, zło, które zdeterminowało byt i udzieliło się człowiekowi. W tego typu obrazowaniu rzeczywistości autorka chętnie posługuje się ironią rozumianą jako szczególnie, uwikłana epistemologicznie strona tej rzeczywistości, podobnie jak u J. P. Sartre’a w „Drogach wolności”.

Doniosłą wartość ma w tej poezji „doświadczenie nihilizujące”, rozumiane jako nihilistyczny kryzys wartości, wyrażony po-

przez dialektykę ludzkiej skończoności oraz odczucie oczywistości zła. W tej perspektywie człowiek staje się tym, co wybiera, dobrem lub złem. Narzędziem-rekwizytem pozwalającym na zastosowanie demaskatorskich strategii jest „niepozorna” lalka rozumiana jako forma, pewien kształt pusty wewnątrz, który staje się synonimem ciała, a konkretnie „skóry”. Podobnie jak skóra podlega łuszczeniu, tak i forma się wypacza. Forma rozumiana tym razem jako pewna strona rzeczywistości zastanej, dostępnej obserwacji. U Moniki Buli wypaczeniu ulega tzw. „plastikowość”. Formę, która się wyczerpała, należy uśmiercić, podlega ona tzw. „linieniu” jak u węży – zostaje sam duch wolny od akcydentalnej niedoskonałości wszelkiej materii. Świat postrzegany jest w tej poezji w perspektywie choroby (zła), podobnie jak relacje międzyludzkie, w tym najistotniejsza miłość, co widać choćby w stwierdzeniu: „(...) przedstawiałaś mi księcia o schizoidalnej naturze dręczy nas choroba wrażeń i on porzucił moje ciało” („Forever yours”).

Istotnym rysem tej poezji jest motyw cierpienia, który przenika wiersze „podskórnym dreszczem”, konwulsją niemalże. Ujawnia się w tym ujęciu jako niezbędne *continuum* istnienia. W kontekście tej refleksji można byłoby powołać się na słowa Bierdiajewa: „(...) cierpię więc jestem. Jest to bardziej słuszne i głębsze stwierdzenie, niż *cogito* Kartezjusza”² i nie byłoby to zapewne nadużyciem z tożsamą refleksją Prokopskiego: „(...) cierpię, stając się kimś, cierpię w samotności wyboru, w bezustannym odnajdywaniu własnej godności”³. W poezji Moniki Buli cierpienie posiada moc ocalającą, choć w istnienie człowieka wkomponowany jest tragizm, staje się emblematem i jedyną dostępną poznaniu, rozumianemu jako przeżycie (=forma współuczestnictwa), formą rzeczywistości. Z cierpieniem powiązany jest motyw okaleczenia oraz rany, świadczące o po-

głębianiu wiedzy, kumulowaniu doświadczeń. Pogłębienie samowiedzy natomiast pociąga za sobą ofiarę ciała i wiąże się z rytmem inicjacji.

Cioran twierdził, że „(...) w każdym doświadczeniu wieczności jest skok i transfiguracja”⁴. Podobnie rzecz się przedstawia w wierszach Moniki Buli. Prawdy żywe stanowią bowiem owoce niepokoju wewnętrznego podmiotu a „ból istnienia” zostaje pokonany dzięki wymienności skóry, który to gest staje się nośnikiem wiedzy niemal alchemicznej. Ostatecznie, choć poznanie jest dla życia utrapieniem, sprawia, że staje się ono bardziej ludzkim w swej autentyczności. Mimo że świadomość stanowi otwartą ranę w rdzeniu życia, heroizm jest możliwy. Realizuje się w tej poezji poprzez uśmierzenie tragizmu istnienia w procesie transgresji, rozumianej jako przekroczenie życia.

Oddając w ręce czytelników wiersze stanowiące debiut prasowy autorki, ufam, że zostaną one docenione za swój eksperymentalny charakter i bogate *imaginarium*, którego stajemy się świadkami. Zachęcając do lektury i dyskusji nad poezją Moniki Buli, chciałoby się powtórzyć za autorką znakomite frazy: „porozmawiaj ze mną o Kancie filozofii Platona niezasadności Bushido świecie antymaterii i czarujących androidów opowiedz o miłości o poświęceniu, które nie istnieje” („Transfiguration”).

Agnieszka Złota

² M. Bierdiajew, *Egzystencjalna dialektyka Boga i człowieka*, Kęty 2004, s. 52.

³ J. A. Prokopski, *Egzystencja i tragizm. Dialektyka ludzkiej skończoności*, Kęty 2007, s. 119.

⁴ E. Cioran, *Na szczytach rozpacz*, Kraków 1992, s. 102.



Fotografia ze zbiorów Autora

Piotr Kasjas

WIERSE WYBRANE

Jesteśmy

Jesteśmy duszą myślącą na progu życia,
w otwartych drzwiach własnych słabości.
Jesteśmy tymi, którzy nie mają nic,
nic prócz miłości i myśli na kształt wierszy.
Jesteśmy częścią historii i w nas jest ta
pamięć,
która tworzy tożsamość po wieki.
Nie posiadamy wolności, lecz walczymy
o nią każdego dnia,
mając dekalog za oręż obrony własnej
moralności.

Miłość jesieni życia

Gdy mgła świtem zdyszana na polach roś
leniwie się kładzie,
ja w zmęczonej pamięci słów
niewybrednych szukam
i w krótki poemat misternie układam.

Jesień życia naszego, zmarszczki jak liście
na twarzach szeptem nam układa
i jak trawy żółtą, pasemka białe we włosy
wplata.
Lecz ja ciągle widzę młodość, w naszym
wnętrzu ukrytą
i wciąż czuję miłość prawdziwą, za każdym
razem,
gdy oczy mimowolnie w twoją biegną
stronę.
Za każdym razem, gdy blisko jestem ciebie
i gdy usta pragnieniem ust twoich drgają
spragnione.
Spragnione i głodne, pocałunków
delikatnych
i w dotyku subtelnych, jak jedwabne
skrzydła motyla.
I pocałunków dzikich, łapczywością
płomiennych,
co cichym krzykiem wzbijają się do lotu
i budzą rozkosz w sercu uśpioną.

Ciemność duszna okrywa nasze ciała
i rośnie w nas, burzową nocą naszych
pragnień.
Chłonę twoją uległość i wdycham wszystkie
twoje słowa,
gorące słowa, które echem eksplodują
w mej głowie
i rozniecają ogień, co ogarnia mnie pożogą.

Każdego wieczoru stajemy się ubożsi
o kolejny dzień naszego życia,
lecz nie ważne, co zabiera nam czas, nie
trwoniemy łez.
Odrzucmy rzeczywistość i ukryjmy się
pod kocem zamyślanej ciszy,
przed nami jeszcze wciąż to,
co najpiękniejsze -
najpiękniejsze chwile wspólnie spędzonych
dni.

Ułóżmy nasze sekrety obok siebie,
pod nieba gwiazdzistym parasolem
i trwajmy tak, niepokonani w zmysłów
symbiozie.

Miłość i słowo

Jestestwo nasze - miłość i słowo –
 dwa ludzkie narzędzia,
 które są fundamentem naszej egzystencji.
 Świadomi wielkich trudności kochania
 siebie,
 przyjeśliśmy w zamysł wieczny naszą miłość,
 która odcisnęła w nas swą pieczęć.
 I przyjeśliśmy nasze słowo, wspólne słowo –
 echo własnych myśli - sensu stricto

I choćby usta nasze milczeniem się zaszyły,
 zachowamy w sobie tę miłość i to słowo.
 Niech przemawiają do nas,
 w ciszy naszych wiecznych myśli.

Przemijanie

Niczym niezawinione przemijanie,
 skazuje nas na ciężar zimnej ziemi,
 która wkrótce przytłoczy myśl stygnącą
 - urwaną niczym watek kłębka świadomości.

Dobrobyt ostateczny ogarnie nasze ciało,
 i to bezimienne wspomnienie duszy naszej,
 która z listem skrucy w błogosławioną
 wybierze się drogę.

W tym żałobnym spokoju,
 przesiąkniętym fizjologicznym zapachem
 śmierci,
 ludzie będą wchodzić i wychodzić,
 i w ostatnim pożegnalnym geście,
 dotykać zimnej, alabastrowej dłoni.

A na ich smutnych twarzach nie będzie nic,
 nic prócz martwej ciszy,
 która zaschnie woskowymi łzami,
 na gasnących świecach katafalku.

Jesień

Jesień kolorowa przynosi kosze pełne jabłek
 i mokry zapach trawy, rosą wilgotnej
 o poranku.
 Zasnęły na ziemi opadłe już liście,
 którym czas bezlitosny, soczystą wyssał
 zieleni.

Mgła swym tchnieniem białym,
 park po brzegi wypełniła
 i niczym dym z ogrodów sennych,
 leniwie na ścieżkach się układa.
 A my, słuchając szumu drzew nagich
 przemykamy w tej mgłę, odrętwiali,
 w zimnym świetle dnia szarego,
 w słodkim uniesieniu, w czułym geście,
 w drobnej mżawce naszej miłości.
 I przemoknięci aż do szpiku serca,
 chowamy się, pod parasolem ze słów
 ciepłych,
 co przed smutkiem chroni nas.

Wiosna

Zima potokami z gór spływa
 i niesiona szeptem rozkołysanej wiosną fali,
 płynie w dal, kry kawałkami.

Słońce grzeje coraz mocniej,
 rozmazując na szybach orientalne wzory,
 naniesione ręką władcy krainy mrozu.

Zniżają lot powracające do gniazd ptaki,
 i krzykiem budzą pogrążone w letargu miasto,
 które w chaosie topniejącego śniegu,
 sopłami zrzuca resztki zimowego snu

A nam miłość zakwita w głowach,
 wiąże dłoni uściskiem
 i paruje swą wonią zaraźliwą.

Jest takie miejsce

Jest takie miejsce na mapie świata,
wokół którego myśli moje krążą aureolą.
Jest tam melodia ukryta w klawiaturze

fortepianu

i ta stara pieśń bliska memu sercu,
która jest miarą wnętrza i bezmiarem
sumienia.

Są tam drogi, którymi chodziłem tyle lat,
i miejsca, w których narodziły się słowa,
co zapęłniły pierwszą pustą kartkę białego
papieru.

Tam spłotem ramion spętałem swoją
przyszłość,
a ustami pożądania zapaliłem iskry
pierwszej miłości,
które wiatr pragnień rozdmuchał
w nieśmiertelny ogień.

Dziś, rzucony na obczyznę, w niezłomnego
deszczu krainę,
w przeblaskach słońca dostrzegam szron
na mych skroniach
- tęskniąc za młodością burzliwą,
którą zabrała losu mego wieczna zawilość.

I oczy zamykam częściej niż bym chciał,
by zachować formę i treść myśli,
i dłonie kładę na uszy,
by zagłuszyć smutek, który dźwiękiem
przeraźliwym
wydobywa się z głębi mojej duszy.

Uczucie gorącego lata

Często łapię się na tej chwili,
która układa myśli na kształt twojej twarzy
i ukazuje głębie twoich oczu,
w której widzę blask spadających gwiazd,
z nieba, pod którym leżeliśmy zapłątani
w dzikie słowa.

W twoich włosach czułem zapach lasów
zielonych
i gorącego lata, które przeżyliśmy radośnie,
w nagłym przypływie uczucia,
bez odpowiedzialności za swoje czyny.

Płonął w nas dziewiczy ogień, zmysłów
rozpalonych
i mieszał się z rozgrzanym od lipcowego
słońca powietrzem.

Mówiłaś, że jestem światem,
w którego ramionach masz swoje miejsce.
A ja w milczeniu, łapczywie czerpałem
oddech,
z twojego cichego krzyku, subtelnego
nienasycenia.

Piotr Kasjas

Piotr Kasjas (urodził się 3 lipca 1969 roku w Pabianicach koło Łodzi) – polski poeta, animator polskiej kultury, uczestnik międzynarodowych wydarzeń kulturalnych i festiwalu poetyckich na terenie Europy. Obecnie mieszka w Wielkiej Brytanii, w mieście Birmingham (2005).

Jeden z pierwszych charyzmatycznych członków legendarnej londyńskiej grupy literackiej „PoEzja Londyn”. Jego twórczość literacka tłumaczona była na język angielski, niemiecki, rosyjski, białoruski i obejmuje ponad 100 utworów prezentowanych w radio, publikowanych w prasie, w czasopiśmie literackich, w zbiorach poezji oraz w kilku almanachach i antologiach poezji polskiej wydanych w kraju i za granicą.

Współtwórca i prezes Organizacji Polonijnej Na Rzecz Rozwoju i Promocji Kultury Polskiej w Wielkiej Brytanii „GŁOS POLSKIEJ KULTURY”.

Działa w skupiskach polonijnych, m.in. na terenie szkół i parafii, organizując warsztaty poetyckie i spotkania z twórcami. Jest również organizatorem znaczących imprez i wydarzeń kulturalnych promujących kulturę polską na terenie Europy. Członek zarządu „Domu Polskiego” w Birmingham.

Agata Grochowska

SAMOTNA POŚRÓD MIASTA

– WIERSZE

Samotna w mieście

Szukałam ciebie
w miasta dziwności
wśród wykrzywionych twarzy
czekając nieśmiało
na nagły uścisk dłoni
ale ty ręce miałeś w kieszeniach
po drugiej stronie
ulicy Rozpaczliwej
stałeś wpatrzony
w ciągle czerwone światło
czasem tylko na skrzyżowaniu
Naczyj i Bezsensownej
przemknęła
niepokojąca karetka pogotowia
dlaczego wciąż stoimy?...
chcę zobaczyć zielone światło
światło nadziei

Bieszczadzki krajobraz

Ogrom zieleni
spływa spokojnie
majestatycznie
po wzniesieniach
jak z dzbana obfitości
bez dna
rozlewa się
aż po horyzont
gdzie złota tarcza
od zarania dziejów
układa się do snu
patrzę ostatni już dzisiaj raz
na rudawą przestrzeń połonin
za chwilę
otuli ją niebiański
chłodny szal
pozwólcie mi
przykryć się nim

i zaśpiewać razem z nierzeczywistością
czułą kołysankę
dla gór
lasów
sennego świata

Prostota miłości

Wszystko
skryte
wyścielane
miękkim pluszem czułości
matka nuci
do ucha małego synka
piosenkę-
tajemnicę tych dwojga
płacz utonął w cieple miłości
prostej
białej
z urwanym guzikiem

Względność nieba

Kryształki łez
zastygły na granatowym kawałku nieba
nie dosięgnę ich
moja dłoń nic tutaj nie znaczy
na innym skrawku nieboskłonu
spotykają się czyjeś gwiazdy przeznaczenia
złote punkciki zaczynają swój szalony taniec
pulsują jaskrawo coraz
coraz szybciej
a ja
mogę tylko spoglądać
na swoją cząstkę wszechświata
może kupię lunetę
i na naukowe szkło
zbiorę kiedyś
skroplone już kawałki swoich własnych
gwiazd

Agata Grochowska

Jacek Gierasinski

ze szkoły

pani w trzeciej klasie
kazała nam
wszystkie myśli
układać w pudełku
po butach

w kostce postładowe
miały pachnieć
jej młodością
w trzech rzędach tanek
wykończonych kotmierzaków

za uszy szarpata
bezbronne rtkany
zeby im myśli
nie przychodziły
do głowy

pani z trzeciej klasy
danno umarła
puste pudełko
nalała się
po podworkach

Lech „Leszek” Grochulski

Kobieta nieopisana

WIERSE

Twoja twarz

Wziąć
w dłoń
Twą twarz.
Dotknąć ją
wierzchem dłoni.
Przytulić
policzek
do policzka.
Szeptem ust
poskarżyć się
Twemu uchu,
że coś
we mnie
trochę
struni się
radosną struną,
motyli się
lotnym motylem.

Gdy chcesz

Gdy chcesz,
to nie cichnij
na przedmurzu pożądania.
Niech nie będzie
Ci wstyd,
gdy
ciało czeka i szuka
tego,
co się rozrasta,
zakwita
i kończy
uwolnioną od skóry
kroplą potu.

Już wielu
pisało
lecz
nikt
nie opisał
do końca
uroku
kobiety
co sposobi się
do pieśczoży,
i nie chce
aby
Ona
przeszła
obok
niezauważona.

Myślałem

Myślałem, że może
piękno Twoje nie zachęca,
sekretny dekolt nie wabi,
radosny uśmiech nie zaprasza,
kolana oczom drogi nie wskazują.
Sprzymierzone
wszystkie uroki Twoje
przeciwko mnie,
a wszystkie
w przyjaznych gestach.
Myślałem, że może
się uratuję,
lecz
tego nie chciałem.

Ofiarować różę

Co dzień,
co miesiąc,
co rok
po jednej
róży

Tobie ofiarować,
ale tak,
by kolor się nie powtórzył.

Tobą życie rozumiem

Piękniejesz,
gdy Cię nie opisuję,
ale
wpisuję w życie.
Gdy Cię widzę wszędzie,
słyszę wszędzie.
I wówczas
gdy
nic nie mówisz,
a wszystko
rozmawia Tobą.
Tobą
uczę się
życie rozumieć.

Taka wychylona

Taka
wychylona
w biodrze
na pokuszenie moje.
Wychylona
w napiętych
mięśniach ud,
stopie
wysuniętej do przodu
i uniesionej do góry.
Wychylasz się,
przechylasz
w moich myślach.
Taka
we mnie wychylona.

Odwiedzasz mnie

Odwiedzasz mnie
przed nocą,
odwiedzasz mnie
w przedświtach.
Jesteś
szumem krwi
między
lewą dłonią,
sercem,
a prawą dłonią.
Dwie
pionowe linie
nagich bioder
wprowadzasz
w program
rozwartych powiek.

Lech „Leszek” Grochulski



*„Czekając na...”, Bukareszt (Rumunia, 2012),
foto: J. Konieczny*

Izabela Kołdej – Ptak

WIERSZE

Chorwacja ma

Choć i piekło
gościło tu niedawno
i śmierć
Chorwacja bliżej jest
nieba radości,
niż zasnuty
szarą mgłą myśli
kraj Polaków.

Chorwacki barwny orszak
sunący, jak wąż, wąskimi uliczkami
nadmorskiego miasteczka,
rozmawia
wszystkimi językami ziemi,
pospiesznie odpoczywając
smaży lewy i prawy boczek.

Inni z trudem
odrzucają swe żółwie skorupy,
by nadażyć za powszechną radością,
która muska ich popychając z lekka,
a ciepłe ramiona słońca
tulą wszystkich – jak matka –
blisko serca.

Dojrzewające na drzewach oliwki
budzą w nas nowe światło
i nowe nadzieje...

lipiec 2013 r.

* * *

Coraz mniej
potrafię żyć
w trzy czwarte
połową

rozum kurczy się
choć wzrost – ten sam

błędy, pomyłki,
roztargnienia...
- istny obłąd!

17.10.2013

Bezsenna

Wata
do snu
skleja oczy
a jedwabny kokon
otula mój miarowy oddech
na krótko, do trzeciej
niewygodnie
a snu brak
wzrok
ściga
czerwone cyfry czasu
na prześcieradle sufitu

19.11.2013

* * *

w kuchni – wrzesień
zawładnął kalendarzem

a za oknem
jesień głęboka
po kolana
blisko już też
zima Niepokonana

29.11.2013

Izabela Kołdej – Ptak

Jan Łączewski

WIERSE DLA PRZYJACIÓŁ

Wrzesień 1939

*Edwardowi Mesjaszowi – malarzowi Września
1939*

Twój koń nie oddycha prerią tarpanów
nie pełza w produkcyjnych chomątach
taszyzmem nie bawi się papuzim.
Wyrwany z wędzideł dyktatury
przepuszcza astmatyczne drgawki bramą
historii.

Twoi żołnierze mówią „no pasaran”
a nie rzygają wielkomocarstwowo
pożarem słomianego dachu otwierają
epokę,

chwilę zapomnienia,
z której niczego nie wolno zapomnieć.

Duńczykom!

Wernerowi Skovlundowi

Wy jesteście ludem obietnicy
największym spośród najmniejszych naro-
dów
dla mocarzy świata wybrani
by stanowić fundament
i być wyrzutem sumienia dla sytych
ale nieczułych i samozadowolonych
ich ręce są puste
w królestwie dobrej woli
gdzie jeden okrusz stanowi cały
świat
to wy jesteście wielcy
wasz stary geniusz z Odense
od lat nieśmiertelny
przemienia wasze serca
byśmy żyli jak w świecie jego bajek.

Do Z.W.*

Zbyszku! Słowiańskie Twoje imię przypo-
mina
naszych praszczurów lechickie plemię
co chaty budowało Biskupina
i wielkopolską zaludniało ziemię
Twoja twórcza wieloletnia praca
czyni Cię orłem polskich mediewistów
duma i chmurna młodość powraca
w zadumie niewysłanych listów.
Co pozostało z naszej przyjaźni
pytanie takie sobie zadaję.
Niech sto lat żyje Zbigniew ze swą Basią
bo miłość przez półwiecze trwa i pozostaje

18.11.2006 r.

* prof. dr Zbigniew Wielgosz – Uniwersytet
im. Adama Mickiewicza w Poznaniu

Bogdanowi

*Na 25-lecie święceń kapłań-
skich Bogdana Anzorge*

Od dwudziestu pięciu lat
przemierzasz werbistowski szlak
po werbistowsku zmieniasz świat
od dwudziestu pięciu lat
czy to Afryka czy słońce Karaibów
Boża matematyka
wylicza drogę wszystkich ludów
od dwudziestu pięciu lat
Bogdanie swój zostawiasz ślad
tam gdzie działa Święty Duch
ty zawsze pracujesz za dwóch
Boża matematyka
w tobie dobrego ma robotnika
twoje imię oznacza Boże dar
twe oczy zadań widzą bezmiar
życie swoje w ofiarny zamieniłeś stos
bo dostrzegasz Bożej łaski głos
i tak ciągle na lepsze zmieniasz nasz świat
od dwudziestu pięciu lat.

18.04.2007 r.

RENDEZ-VOUS W DESZCZU

*Jeremi Przybora**[***Nabywajcie Polki]**

Nabywajcie Polki
 liczne parasolki
 dla pięknych dam
 i dla panów także
 ekstra egzemplarze
 w zanadrzu mam.

Noście przy pogodzie.
 ale zwłaszcza noście w deszcz,
 one chronią odzież,
 więc kupujcie je żesz.

Nabywajcie panie
 parasolki tanie
 dla pięknych dam!
 Na deszczową zimę
 super asortyment
 przedstawiam wam...

W słotę czy w burzę
 ja zawsze wam służę –
 komu parasolkę, komu pa...
 komu parasolkę, komu pa...
 komu parasolkę, parasolkę dać?

Pani wilgoć nie służy,
 bo mnie owszem – przyznam.
 Ze mnie taki – przepraszam
 - deszczowy mężczyzna.
 Poprzedza mnie wiaterek,
 chmurka lub obłoczek
 a sam jestem suchutki,
 w zetknięciu nie zmoczę.

Sprzedaję parasolki
 Spółdzielni „Ulewa”,
 tak że damie jest ze mną
 pod czym się podziewać.
 Proszę bardzo – z nylonu
 nieodwracalne
 jak deszcz albo jak miłość.
 ...tak coś czasem palnę...

*Olga M. Bąkowska**Deszczowemu mężczyźnie*

Wiedzą o tym Polki –
 śliczne parasolki
 u Pana są,
 w barwach wziętych z tęczy,
 a w asortymencie
 - chyba ze sto:

na słońce, plażowe,
 ale zwłaszcza są na deszcz.
 Piękne, nylonowe
 i nieodwracalne – też.

Wiedzą wszystkie panie,
 że u Pana taniej
 a wybór – ooo!!
 W lato, jesień, zimą,
 wiosną – w ręce trzymam
 mój parasol;

deszcz czy pogoda
 - na parasol moda,
 mam już parasolkę, mam już pa...
 mam już parasolkę, mam już pa...
 mam już parasolkę, parasolkę mam.

Ja bardzo deszczyk lubię...
 tak jak Pan – przyznaję,
 tylko że inny motyw
 nami powoduje.
 Pan dzięki deszczykowi
 swój biznes prowadzi;
 ja uważam, że zmoknąć
 czasem nie zawadzi.

Chociaż wciąż parasolkę
 jakąś przy się miewam –
 czasem jej nie otwieram,
 chyba że ulewa
 (od której pańska firma
 nazwę wyprowadza)
 zimnymi strugi moczy
 i ciało wychładza.
 Bywa – nie tylko oczyma

Nawiązując do wątku –
to w ramach posady
przychodzę i odchodzę
tak jak i opady,
co niejedną klientkę
- przyznam – nieco smuci:
„ale jak się zepsuje,
do Pana się zwrócić?”

„Pan – jak deszczyk majowy
załatwiający – pluszcze”...
Od sukcesów w zawodzie
człowiek się nie ustrzegł.
Potrafię też transakcję
przepleść – gratis – ślicznym
a propos meteoro-
i mitologicznym

o tym, choćby, jak Zeus
- bóg – w postaci deszczu
przystąpił – prosił pani –
do wiadomych pieśnoci...
Parasola brak sprawił
(dorzućmy nawiasem),
że dziecię z deszczu było...
też tak palnę czasem...

Pani to mi tę piękność
przypomina troszkę,
co miała właśnie wtedy
incydencik z bożkiem...
Też taka bledziutka
i atmosferyczna.
A ja – przez tę deszczowość...
Nic we mnie z Jowisza?

Nie? To może
Pani szanowna pozwoli
- jeżeli nic z tych rzeczy,
- to choć coś z parasoli?
Też nie. Widocznie spotkał
- jak wnoszę z rozmowy –
nieprzemakalne serce
- męczyczna deszczowy.

Komu parasolkę, komu pa...
Komu parasolkę, komu pa...
komu parasolkę,
Parasolkę dać?

Jeremi Przybora

znajduję ostoję;
„jeśli Pan go potrzyma –
schroni nas oboje...
lecz żeby nie było tak,
że – z deszczu pod rynnę –
trzeba się nieco przytulić ...
deszcze temu winne.

Pan – jak zmiany w pogodzie,
- to siąpi, to grzeje...
powodzenie w zawodzie
do Pana się śmieje,
dziwna atmosferyczność
z Pana emanuje...
I ta mitologiczność...
tak dziwnie się czuję...

Mnie się wciąż Heros marzy...
a z tą deszczowością
Panu jest tak do twarzy...
powiem ze szczerością –
jakbym Zeusa widziała...
te igraszki z deszczem...
czy dziecię będę miała?
Napawa mnie dreszczem

myśl, że ojcostwo w Pana
odnajdzie osobie...
Ten incydencik z rana...
...też „palnęłam” sobie...
Cerę mam raczej śniadą,
ale dziecię z deszczu
na pewno będzie blade...
może będzie wieszczem?

Prawda? A Pan szanowny?
w tej sprawie co powie?
Ciągłe taki układny...
Apsik! „Pana zdrowie”
Odpowiedzi nie słyszę...
Czy to z przeziębienia
od deszczowych karesów?
Czy bezgłos sumienia?

Mam już parasolkę, mam już pa...
Mam już parasolkę, mam już pa...
Mam już parasolkę,
parasolkę mam.

Olga M. Bąkowska

*„Piosenka z Kabaretu Starszych Panów - „Deszczowa
suity” (26 marca 1967 r.); wyk. Bronisław Pawlik.*

Kazimierz „Stolorz” Kowalczyk

KAZIMIERZA „STOLORZA” KOWALCZYKA ZAKŁAD PRZETWARZANIA I UTYLIZACJI SŁÓW I MYŚLI „STARA WIERSZOWNIA”

*Seria druga**Basi Strzelbickiej*

I

Po co ci teraz frasunek,
Twój świat nie jest do naprawy,
Zerwałeś najczulszą strunę,
A wciąż mówisz – nie ma sprawy.
Tam nie wszystko jest ze złota
I w grach karty są znaczone,
Na świecznik włazi idiota,
Mający dziwkę za żonę.
To się coraz szybciej kręci,
Tam nigdy nie będzie cudu,
Bo umarli dobre chęci
A łzy czarne są od brudu.
Na wiek wieków przekładane
Wszystkie nasze codzienne sprawy,
Zimnym potem gdzieś nad ranem
Poczęły ci myśli dławić,
Spróbuj czasem się uśmiechać,
Bo wróci ludzkie pojęcie,
Dla wielu będzie uciecha,
Gdy pęknie to ich nadęcie,
Byle bez krwawych kałuży,
Byle bez dymów nad krajem,
Huk może być całkiem duży.
Tak mi się przynajmniej zdaje,

II

Ta cisza jak izolotka,
Nie wpuszcza myśli do głowy,
Nie wpuszcza wspomnień o kwiatkach,
I westchnień, nawet połowy,
W punkt jeden włożyło spojrzenie,
Zrobi ćwierć kroku i wraca,
Może się kiedyś odmienić,
I pojmę co to jest płaca,
Że praca to rzecz nabyta
A nie ślub na całe życie,
I nie ma kogo zapytać,

Kiedy się bywa w rozkwicie,
Ta cisza jest jak więzienie,
Co dźwięki trzyma w karcerze,
Choć zbawcze bywa milczenie,
Któremu sekret powierzę,
Ta przerywa dźwięk muzyki,
Tak w pół taktu nawet tonu,
Jakby zastawiała wnyki,
Robi na złość ... ale komu?
Gdy przekora każe słuchać,
Coś dłuższego, zwłaszcza rano,
To głowa zostaje głucha,
Na to co grane za ścianą.

III

Dla mnie już szkoda zachodu,
Znalazłem się po przecinku,
Skreślony jeszcze za młodu,
Z krainy ciepłych wspominków.
Czas, co mi dłoniach pozostał,
Siorbię bezmyślnie jak kawę,
Choć jest to ostatnia prosta
Nie pytam o żadną sprawę.
Fatygi też dla mnie szkoda,
A nawet zaciekawienia,
Oddech zostawiam na schodach,
I uśmiech chowam po cieniach
Może się kiedyś odrodzi,
Uparta chłopska, natura,
Kiedy zabiorą głos młodzi,
Sięgając po ostre pióra.

IV

Zgniecioną trawę czas podnosi,
Bo dostał talent ran leczenia
Czy tak zostanie – czas się zmienia
Choć nie chce dotąd nawet grosik

Nie chce litanii traw zielonych,
I modlitw nie chce nawet ptasich,
Gorączkę wiatrem rześkim gasi,

A jego kroki mierzą dzwony.
I lepiej maja zmięte trawy,
Czasu nie tracą dla zabawy,
Skoro jest – żyją w zieloności.

Mnie zgmiotły same trudne sprawy,
I nie mam grama szans poprawy
Taki dostałem dar starości.

V

Nie wiem czy to jest ten przystanek,
Pewności nie mam – mam domysły,
Oczy przeciera ten sam ranek
I brak jest złudzeń – wszystkie przysły.

Uszy owiewa szeptem znany,
Wietrzyk wciąż taki jak przed laty,
Tylko czas biegnie poszarpany
Wraz z duszą stoją w stare łąty.

Czytam, że dalej nic nie jedzie,
Że to przystanek w ludzkiej biedzie
To tu się kończą moje sprawy.

Mam znaleźć wolność w łyżce stawy
Mam wyprostować wszystkie garby,
Bo gdzieś czekają na mnie skarby.

VI

Łzy, te wyschnięte w memuarach,
Jak dratwę wiążą mocno w całość,
To co powraca w sennych marach,
Co pozostawia gorzką całość.

A wylewane łyż radości,
Na drżący uśmiech, na świat cały,
Pokazujące sznur starości,
Bez nich chwalony nie ma chwały.

Najdroższe, znane łyż zachwytu,
Nie są symbolem dobrobytu,
Dar ich wylania ma niewielu.

Mają go biedni, dzieci, starzy,
Wszyscy co nie chcą przestać marzyć,
Bo piękno wiedzie ich do celu.

VII

Wystarczy zdanie tak wypowiedziane.
Że wchodzi w pamięć – szybko, bezboleśnie,
Wystarczą oczy – smutne, zatroskane,
W które dasz patrzeć – teraz a nie we śnie,

Tyrady drażnią bo grają na nerwach,
Niczym piskliwe dzieci kakofonii,
W wyczekiwanym dla spokoju przerwach,
Nucące temat posępnej symfonii.

I jakżeż wtedy kamień z serca spada,
Wychodzę szybko z wypędzonych stada,
By ucałować dłoń Twoją o Pani.

Niech cała reszta drwi ze mnie i rani.
Cóż warta wiedza, siła i talenty,
W czas pocieszenia i cieplej zachęty.

VIII

Pora już zebrać siły rozproszone,
Nie wszystkie legły w rozlicznych potyczkach,
Chociaż niewielu bierze mnie w obronę,
Nie chcę być dłużej bity po policzkach.

Nie chcę uciekać przed byle pogroźką,
I satysfakcji dostarczać debilom,
Więc pójdę własną, choćby wąską dróżką,
Gdzie można usiąść i cieszyć się chwilą.

Wtedy zaproszę podniosłe wspomnienia,
Godności znaki powyciągam z cienia,
Nieba poszukam – niekoniecznie w niebie.

Urny kłopotów rozbiję w kawałki,
Wierz mi tak będzie. To nie są przechwałki,
Po czym list długi napiszę do Ciebie.

IX

Ucieczką w grzechy – chciane i niechciane,
Zamykam okna przed światła natręctwem,
Buduję szaniec z koszmarów nad ranem,
I sam nad sobą załamuję ręce.

Co mi potrzebne to dobre wspomnienie,
Rechotów śmiechu wolnego od złości,
Takich jest mało dlatego są w cenie,
Jakby ich szkielet był ze złotych kości.

A może jednak śmiech to też komercja,
Tworzona w celu leczenia przepony,
Lub by pokazać wyśmianemu szpony.

Tak nakazuje myślowa dezercja,
Śmieć się po cichu, półgębkiem najwyżej,
Bo zakaz śmiechu – blisko co raz bliżej...

X

Chcę cię smutku pożegnać na zawsze,
do końca,
Choć jesteś przy mnie stale – gorzki,
nieproszony,
Niech to co mi zostało to promyki słońca
Niewiele, kilka ledwie dla myśli obrony.

Gdzie nie spojrzeć to jesteś w głębokich
westchnieniach,
Może za tym co było i stale odchodzi,
A może za przyszłością pochowaną
w cieniach,
By bez przeszkód odpłynąć w Charonowej
łodzi.

Chcę cię smutku pożegnać – po męsku,
bez żalu,
W kapeluszu na bakier i w jedwabnym szalu,
Z apetytem na życie jak zimą na wiśnie,
Nic ci nie dam na drogę, dręczyłeś mnie
długo,
Żalem wieku męskiego, dzieciństwa łez strugą,
Niech mi okruh radości gwiazdką złotą
błyśnie.

XI

Dziś poranka nie budzi śpiew ptasich
złotów,
Kto jest pierwszy ten ważny – najważniejszy
głośny,
Ziewający poranek skrada się zza płotów,

Bo słońce już rozgrzane na a śpiew jest
znośny.

Ten dzisiejszy się zmęczył zanim mgły
rozproszył,
I powoli przywdziewa szarawą kapotę.
Zmarzły leniowi nogi bo nie wziął kaloszy.
Gdy prosisz go o uśmiech mruczy sennie –
potem.

Ten pierwszy jest radością tętniącego życia,
I kolory wyciąga z nocnego ukrycia,
Rozpędza się, cwałuje niczym stado koni.

Ten drugi w labiryncie szuka myśli
szcząteków,
Gdy w szarościach się zgubi szuka
od początku,
Chcąc chwilę wythnąć pióro wciska
mi do dłoni.

XII

Nie zmarnować niczego co dzień
w dobrej wierze,
Zostawia cichuteńko na progu mieszkania,
Cześć zabiorę dla siebie, część innym
powierzę,
Wyrzucę precz złośliwość, przepędzę
rozstania.

Chcę zatrzymać odruchy pięknem ujmujące,
I uśmiech, który ciepłem przełamuje lody,
Poszperać we wspomnieniach, związać
szczęścia końce,
Ciało tego nie robi ale duch wciąż młody.

To zostało a togę jedzą w szafie mole,
Niech jedzą bo Temida nie ma już przepaski,
I po ciemku dostrzeże należną jej dolę.

Nadęta, pewna siebie nie zakłada maski,
Tam nie wrócę, nie mogę, nie jestem
skuteczny,
Spokój drogo kosztuje a zwłaszcza
ten wieczny.

Kazimierz „Stolorz” Kowalczyk



Foto: Oksia Pawluk

Ihor Pawluk

MĘSKIE WRÓŻBY (WYBÓR)¹

(w przekładzie Tadeusza Karabowicza)

* * *

Napisz mi morzem duży poemat o wicherze.
Świeżo upieczonym chlebem bezdennej smutek
osłoń,
Jak długo jeszcze umiem lecieć i umiem płonąć,
I zmartwychwstać umiem ze stromego, jak
magma, pyłu.
Jak długo blisko do serca przytulam kurhany
i przepaści,
Pępowinę rzeki, co jednoczy słońce i proste.
Janczara i niewolnika z siebie z korzeniem
wyrwę,
A dziecięce i niewinne we mnie sami
zamordujecie.
Niebiesko-srebrne, jak lód, niebiosą nade mną

¹ Ihor Pawluk, *Męskie wróżby*, przeł. T. Karabowicz, wyd. Episteme, Lublin, 2013.

I zmartwychwstała wiosna, młoda i lekka,
jak Chrystus.
Współczesne staną wokoło i gwoździe, i szafoty,
I za kogoś, za coś znów pójdzie na nie jeszcze
Ktoś.

Sam sławę na pieśczęcie zmieniam i pieniądze
– na wolność.
Grzesznie i prywatnie żyłem, wspominając
świętości na
święta.
A teraz ja... teraz kocham się z losem.

Wyszywaj mi krzyżykiem wieczny smutek
o Chrystusie.

Asocjacje

Anioł, który się śmieje,
To już trochę bies.
Maski – byłe twarze.
Trawy – malutki las.

Mądrość – to pierwsza starość.
Delikatność – to młodociany nóż.
Kobza – babcia gitary.
„Tak” – to wczorajsze „nie”.

Słońce – pogańska świeca.
Cukier – wesoła sól.
Strzał – to cisza wieczna.
Bóg – to zapomniany ból...

Znów w domu

Znowu tam byłem duszą i myślami...
Święta babcia modli się do ziemi.
Jak oczy – niebo.
I śmieje się kamień.
I dziad leży pod brzegiem jak chleb.

Ogień umarł. W oczach księżyc odbity...
Nasz Bóg żyje w cerkwi jak w więzieniu.
Myśliwskim rogiem wspomina Polesie,
Wszystko, co myślą galaktyki.
Droga – promień – w choinkach się zgubiła.
Płowowłosa szyszka zakryła swój cień.

Jak cisza brodzi zjawa Małego Księcia.
 Widzę, śmiać się boję.
 Ślepa chata. Jest skoszony piołun.
 Cieniutki wiatr – sny oczeretów.
 A czas idzie. Nic czas nie czyni.
 Ależ, spójrzcie – las osierociał.
 Ależ, usłyszcie – mchem jak mrozem
 Zarósł Perun. I konie nie rzą.
 A czas ucieka... Żółcą się wikliny.
 I ludzkość cała potyka się o brzeg.
 Ciężarnych mało. Wiosny są niesłodkie.
 Nikt nie śmie oszukiwać.
 Dziady wiosenne siedzą na pniach
 Milczą duszy tajemnicą.
 Przez ogień zrasta się żelazo.
 Przez łzę... Och, co przez łzę!
 Tu tory już. A ja wciąż dawnym lasem
 Rusałkę, co łaskocze, niosę.

Głuchy świat –
 I raptem: dobrze, lekko...
 I jasno tak...
 Kołyska i skrzydło.
 My tutaj jeszcze – czas.
 My blisko i daleko.
 Lubimy ból.
 Nas długo tu nie było.

W kraju chabrowego lata

W kraju chabrowego lata
 Jest skrawek z ajerem i las.
 W kraju chabrowego lata
 Kiedyś latałem na żurawiu.

Znam smutne oczy czajki,
 Słyszałem, jak wieczór z wiatrem rozmawiał,
 O tajemnicy samotnej gospodyni,
 O przyjaźni kowala z czarciem.

Rzeczka wiła się jak wstążka,
 I łamała cienie-splawiki.
 Nam nic nie było wolno.
 Pachniało siano. Padały gwiazdy.

W kraju chabrowego lata
 Sypiają mój dziad i babcia we wspomnieniu...
 W kraju chabrowego lata

Szczęście zakląłem w kamień.

Będę żurawiem nad ojczyzną,
 Lecz młodzięństwo już w dali.
 I dlatego przed jesiennym wieczorem
 Niebieskie wspomnienia rozpalam.

Mysł

Miłości, kijowskiej wiedźmie

A oto karty. Stawiaj na los.
 Młodociana wiedźmo, mów, mów!
 ...Krew na szpadzie i dwa kołty.
 Od życia schowam się w duszy.

Szum przypływu i wieczna tęsknota,
 I metaliczne ciepło kosy...
 Druh został wrogiem, wróg – druhem.
 Ty, że chcesz, to mnie proś.

Straszno i śmiesznie. A serce Wiją
 Jak dziecięcy grób, śpi.
 Wiesz, jak ja kochać umiem!
 Gołębie lecą, gołębie...

Młoda wiedźmo, moja podstępna
 Jak stuletnie wino, lekka.
 Ten, kto chce bogactwa i sławy...
 Dlaczego mu ręka drży?

As jest karowy, dama pikowa...
 Czarny księżyc upadł na śnieg.
 Płatkami z jabłoni
 Obsypałem kroki struny.

A ty czemu płaczesz?
 Rozłóż te karty jak białą płaszczy!
 To, że nie my, że los tak rządzi, widzisz...
 To już los jest taki.
 Przebaczysz?

* * *

Rodzić się. Przeżyć. Umrzeć.
 Magiczna prosta mowa,
 Niby list w kopercie.
 Nadchodzących wieków trawiaste słowa.
 Rodzić się. Przeżyć. Umrzeć.

Szewczenko. Szekspir. Homer...
Och świecie, który jesteś uparty!
Błaganie ludzi jest nieme.

Jak długo walczyć będą?
Jak dużo dobra i zła.
Pod niebem, nad niebem – wszędzie –
Metalowy złom.

Czemu zebrzesz, matko,
Moja jedyna planeto?
Na innych światach tak samo
Nie widać tajemnicy dna.

Z bogiem śmieją się inni,
Szewczenko, Homer, Szekspir...
I czesze ta sama wieczność
Gwiazd płowe włosy.

I. Trałomy

Ihor Pawluk – ur. 1 stycznia 1967 w Użowej na Wołyniu – poeta, pisarz, naukowiec, doktor nauk humanistycznych w zakresie komunikacji społecznej. Laureat Narodowej Nagrody im. Tarasa Szewczenki „Zaliznyj Mamaj”, Nagrody Krajowej im. Tarasa Szewczenki, krajowej Nagrody Literackiej im. Hryhorijsa Skoworoda, Międzynarodowej Nagrody Literackiej im. Mikołaja Gogola „Triumph”, nagrody angielskiego PEN Clubu i innych.

W 1987 roku rozpoczął studia dziennikarskie na Uniwersytecie im. Iwana Franki we Lwowie, które z wyróżnieniem ukończył w 1992 roku. W latach 1993-2004 był pracownikiem naukowym w Centrum Badań Czasopism Biblioteki Naukowej we Lwowie. W międzyczasie prowadził wykłady na lwowskim Uniwersytecie im. Iwana Franki, był starszym pracownikiem naukowym Instytutu Frankoznawstwa tej samej uczelni, a także profesorem Akademii Ostrojskiej w Ostrogu na Wołyniu. Obecnie jest pracownikiem naukowym Sekcji Literatury Ukraińskiej XX wieku w Instytucie Literatury im. Tarasa Szewczenki Ukraińskiej Akademii Nauk w Kijowie, a także profesorem Uniwersytetu Iwana Franki we Lwowie. Jest również członkiem zespołów redakcyjnych czasopism dotyczących literatury i sztuki: „Teren”, „Zołota Pektoral”, „Dzwin”, „Ukrajinska literaturna hazeta”.

Tadeusz Karabowicz – ur. 6 kwietnia 1959 roku w Sawinie – poeta, krytyk literacki, literaturoznawca, tłumacz, redaktor. Od 1978 do 1987 studiował na Uniwersytecie Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie, najpierw pedagogikę, następnie historię i w obu specjalnościach uzyskał tytuły magisterskie. W latach 1986 - 1995 pracował jako redaktor literacki w ukraińskim tygodniku społeczno-kulturalnym „Nasze Słowo” w Warszawie. Jest współtwórcą (wspólnie z żoną Aliną Karabowicz) Skansenu Kultury Materialnej Chełmszczyzny i Podlasia w Holi. W latach 1990-1999 wchodził w skład komitetu redakcyjnego kwartalnika literackiego „Swito-vyd” wydawanego w Nowym Jorku i Kijowie przez Bohdana Bojczuka i Mariję Rewakowycz. W 2001 roku zainicjował wydawanie rocznika literackiego o nazwie „Ukraiński zaułek literacki”.

Odnznaczony ukraińskim Orderem „Za Zasługi” III klasy (2008).

Debiutował utworami poetyckimi w języku polskim, w lubelskiej „Kamenie” (1980) i wierszami napisanymi po ukraińsku w „Naszym Słowie” (1982). Od lat 80. zajmował się twórczością przekładową z języków wschodniosłowiańskich: białoruskiego (Maksym Tank, Sokrat Janowicz, Nadzieja Artymowicz), rosyjskiego (Robert Roźdiwstwienski) i ukraińskiego, skupiając się głównie na tłumaczeniach z literatury XX wieku. Były to przekłady utworów „Kijowskiej Szkoły”.

Od 1995 roku pozostaje pracownikiem naukowym w Zakładzie Filologii Ukraińskiej Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie, od 1998 roku jako adiunkt. Od 1996 roku jest członkiem lubelskiego oddziału Związku Literatów Polskich. W 2012 roku został przyjęty do Narodowego Związku Pisarzy Ukrainy.

Michał Wilk

MEANDER

(cykl opowiadań)

Meander I

Po prostu zacznij pisać - mówiła.

Miała wiele racji. Zbyt wiele, bym mógł tę rację zaaprobować i w ogóle przedtem w pełni dostrzec.

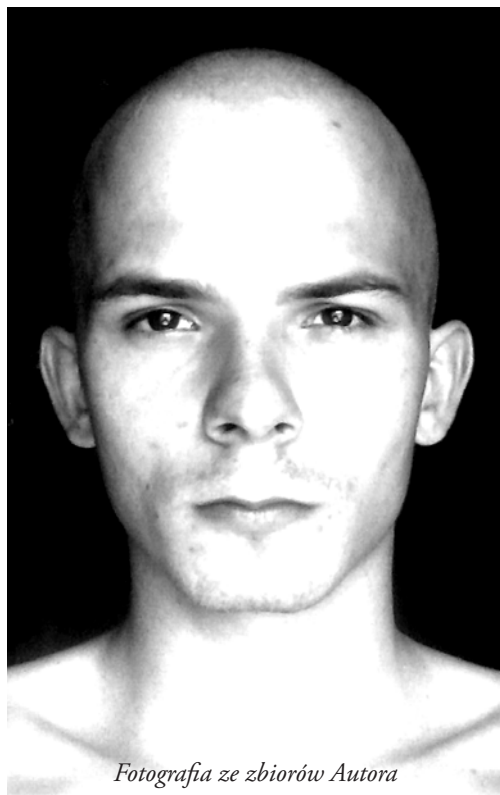
- Po prostu pisz i nie pozwól, by ogarnęły cię lęki. Nie pozwól zawładnąć sobą wszelakiej chuci, czy przerażeniu. Pisz. I pisz dobrze.

Nie mogłem przejść obojętnie obok takich rad. Obok słów kobiety, której oczy miały w sobie za duży blask, by nań nie zwrócić uwagi. Kim była? Nie pamiętam. Przyszła pewnego jesiennego dnia. Wyłoniła się spośród spadających liści i nic nie rzekłszy, po prostu się zjawiała. Była. Była krótko, lecz jakże intensywnie.

Mówiła:

- Pisz...

Pamiętam to do dziś. Tak samo jak to, gdy odeszła, zostawiając po sobie tylko odciśnięcie warg na filizancie. Odeszła, zdmuchnąwszy z mego serca resztki sił. Wzięła też nadzieję. Nie mam o to doń żalu. Nie wypominam. Wcale nie jest mi smutno. Przyszła i odeszła. Życie na tym polega. Na przybywaniu i odchodzeniu. Lecz nie na powrotach. Jedyne co powraca w życiu - to smutek, pamięć i rozczarowanie. To nie pozwala o sobie zapomnieć. Tak samo jak nie pozwoli ci odejść. Wspomnienie istnieje przez cały czas, dłużej niż potężne drzewa, które ongiś rosły w ogrodzie ciotki Janustancji. Silne konary, gęste korony pełne grzyw malachitowych listków. Drzew było mnóstwo. Nie tylko w ogrodzie pachnącym. Ale też przy gościńcu, co leniwie biegł od progów kościoła aż po same stopy



Fotografia ze zbiorów Autora

wzgórz irytowych, gdzie mieszkała Janustancja. To dopiero była kobieta. Znała świat, nie mniej niż ptaki gnieźdzące się na poddaszu. Przeto rozmawiała z nimi każdego wieczora. W wiatrołapie o drewnianej podłodze, na której Luna kładła swe srebrzyste warkocze. Tam to, przy świetle lampionów wiszących u stropu, następowała spowiedź ptasia. Stare, mądre skrzydłowce o piórach agatowych - mówiły godzinami. A ciotka słuchała. Stara, mądra - patrzyła onyksowymi oczyma i wiedziała, że świat ten nie należy do nikogo.

Ja wtenczas siedziałem z drugiej strony domu patrząc na karmin nieba i słuchałem świerszczy. To był sierpień. A miał być gdzieś indziej. Wtedy tego jeszcze nie wiedziałem. Nie przeczuwałem nawet intuicyjnie, że nie powinno mnie tam wtedy być.

Brat mój leżał wtedy na drodze oddalonej o dziesięć mil.

Któż by pomyślał! Dziesięć mil, a ja czułem się jak na krańcu świata, gdzie nawet starożytni bogowie nie mają prawa wstępu. To

azyl śmiertelników. Ojczyzna Janustancji.

Droga nie była ruchliwa. Biegła wśród zbóż, wówczas złojących się łanami, jak pośród mórz falujących, wśród których trudno cokolwiek dostrzec. Zboża rosły wysoko, nie bojąc się słońca. Te przy drodze uginały się ku sobie, podtrzymując wzajemnie. To tworzyło baldachim złoty, pod którym biegł trakt. Tam leżał mój brat. Leżał z twarzą czerwoną i wciąż czerwieniejącą, wciśniętą między kamienie. Wbity został w grunt drogi, jak cwiiek. Leżał wbity i pobity.

Lekarz wiejski biegł. Ja nie wiem, czy biegł przez pola pełne urodzaju, a on czy dobiegł. Było późno, gdy leżącego znaleziono. Tym później lekarz wiejski dotarł na miejsce.

I został tam. Sam. Nikt nie chciał oglądać jak żwir przesiąknięty krwią odpada z twarzy mego brata. Jak z oczodołów wysypuje się karmazynowy piasek niczym z korcamak. Nawet doktor, bo tak się казал zwać, nie mógł zdzierżyć widoku znieruchomiałego ciała.

Wezwano proboszcza. Uczynił co doń należało. Nie trwało to długo. Już następnego dnia, nad oczyma mego brata, gdyby wtedy jeszcze je miał, wznosił się piaszczysty pagórek. Rosły tam tylko niepamiętniki.

Ciotka Janustancja lubiła te kwiaty. Nigdy nie dowiedziałem się dlaczego. Nie lubiła ich za to Filistyna. Odeszła zostawiając odcisk warg na szklance, do której włożyłem jeden kwiat. Niepamiętnik, by zapomnieć. Lecz to nie jest prostsze, niż o tym mówią, czy piszą. Lecz nie jest też niemożliwe.

„Nie powiem: nie płacz, bo...” tak pisała w ostatnim liście. Zaraz potem odpłynęła za Siedmiomorze. Nie mogłem tego ani zrozumieć ani ścierpieć.

Wyruszyłem w góry.

Wśród ośnieżonych szczytów starałem się pamiętać dobre, zapominać złe, ale dlaczego tak dobrze pamięta się krzywdy? Góry są tym, co może uzmysłwić majestat świata. Jego ogrom.

- Zaczynij pisać...

I zacząłem.

Wkrótce też skończyłem. Pogłębiała się moja choroba. Nie mogłem godzić tych dwu zajęć. Wolałem chorować i być obiektem żalu czy współczucia, niż dzielić żal i współczucie z moimi postaciami. Tworzyłem ich setki. Żyły własnym życiem. Lecz gdy spostrzegłem, że zabierają z mego życia własną część – wybiłem lewe oko piórem, łamiąc je od razu.

Bardziej boli śmierć matki Emilliny i odejście Filistyny, czy myśl o samotności Janustancji, niż to, co wyrządziłem względem siebie. Nikt nie liczył się ze mną, nawet sam tego nie robiłem. Nie było najmniejszego sensu.

Starzec o białawych oczach rzekł ongiś:
- Nie rób niczego, czego będziesz żałował.

Palił fajkę, która miała cudowny cybuch. Nigdy przedtem, ani potem, takiej nie widziałem. Tak samo jak tamtego starego człowieka. Siedział przy moście. Mówił, że jedzie nad morze, by wyruszyć na łów. A ja... Ja, spaliwszy dotychczasowe rękopisy, wybiłem pióro w oko. Przybył lekarz wiejski. Proboszcz nie był potrzebny.

Trwało to rok, gdy znów wróciłem do Janustancji. Wieści szybko się rozeszły ptasią pocztą. Równie szybko życie mijało. Przegapiłem tak trzy wiosny. I zmarło się przy czerwonym głazie brata.

15 sierpnia '10

Meander II

Stałem wówczas na moście, wśród późnoletniego powietrza, które chłodne napływało do płuc. Było rześkie, tak nie do poznania po lipcowych i sierpniowych upałach.

Był też ze mną wieczór. Przecież pora nie była już młoda; zmierzch przepoczwarzał się w noc, a ja stałem. Pośrodku, ze spojrzeniem wbitym w ciemną taflę wody. Czy myślałem o czymkolwiek w tamtej chwili? Co tak naprawdę zajmowało mój umysł? Czy to był...?

A może? Nie, raczej...? Tak, już wiem. Pamiętam, aż za dobrze pamiętam ówczesne myśli. Kierowałem je w odmienną niż zwykle stronę, ale nie można było tego uniknąć. Myślenie owe było konieczne i powstało samoistnie, abiotycznie, co zaskakuje mnie do dziś. Rozważałem ideę listu. Czy warto napisać do Filistyny parę słów wyjaśniających, przepraszających, proszących, a przede wszystkim uwielbiających? Sławiłbym jej wdzięk i ducha, ale czy zdobyłbym się na to? Mam na tyle ikry, by wykrzesać z siebie tyle różnych słów i ich kombinacji?

Jak Filistyna odebrałaby ten ruch, te moje nagłe zainteresowanie, więcej!, jak zareagowałaby na moje istnienie, niespodziewane przypomnienie o własnej osobie?

Czy o tym też myślałem, czy wydawało mi się to snem? Snem! Takim samym, w którym Filistyna uśmiecha się wdzięczną wargą i patrzy przychylnym okiem. A przecież to niemożliwe. Jak to być może?

Przytłacza mnie podobne rozważanie, wolałbym już powtórzyć wędrówkę szlakiem górskich jezior, podczas której przecież umierałem dwa razy. Pęknięte serce za często kołatało i rozrywa pierś. Nie chce się goić, a zabliźnia się bardzo długo, za długo, by oglądać z radością na taflę pięknej Ondrii, czy zmarszczonego Leandra. Tyle było smutku i bólu. Tyle jezior. Wyprawa i krótka i długa; Filistyna daleko, jeszcze dalej. Nad własnymi, pięknieszymi jeziorami, bo nie słonymi, jak moje, zrodzonymi z wylanych łez, z tęsknoty i żalu. Tyle też było chwil. Nie mogłem zaczerpnąć nawet tchu.

A może list od Janustancji byłby rozwiązaniem? Wyjście z opresji to niebagatelne, lecz kosztowne. Wysilek emocjonalny, by pozwolić spłynąć wraz z tuszem tylu słowom na arkusze, by ciotka mogła mnie zrozumieć. Zbyt ponętną zdaje się myśl o odwiedzinach Janustancji w celu osobistego wyżalenia. A deux. Inaczej me słowa utraciwszy charakter, zostałyby uzewnętrznione na marne. Nie na tym przecież polega emocjonalny ekshibi-

cjonizm, który tak uwielbia ciotka.

Od zawsze przyjmowała mnie z otwartymi ramionami. Nie żałowała krzesła. Nie szczędziła cukru do herbaty, mimo iż nie słodzę. Była gotowa na me spazmy smutku i wspomnień. Nie wiem, czy to lubiła, ale z chęcią to robiła, nie mówiła, bym kończył. Wiedziała, kiedy następuje koniec i kiedy nie mam już nic do powiedzenia. Znała mnie jak nikt inny na świecie.

Filistyna miała szansę. Mogłaby stanowić mocniejszą opokę niż Janustancja. Nie wykorzystwała jej jednak.

A ciotka miała mnóstwo czasu. I słuchała... Wysłuchiwała czujnymi uszami, wychwytywała każde słowo, każdą sylabę, co do jednej. A ja mówiłem. Nie myślałem, tylko mówiłem. Nadzwyczajnie me myśli, które same płynęły swobodnym strumieniem. Na tym polega proces wewnętrzznego ekshibicjonizmu, by udźwignąć to, co ubezdźwięcznione i wyartykułować to odpowiednim zestawem zgłosek. Tychże są miriady, lecz odpowiednie katalogowanie czyni uzewnętrznienie kompletnym. I wtedy właśnie powstaje wewnętrzna harmonia. Równowaga, która nie zna idiotycznego stanu fluktuacji.

Janustancja słuchała. Potrafiła to robić. Nie mówiła nic, miała tylko słuchać. I tak było dobrze.

Po zakończeniu sesji, która trwała tylko kwadrans, przez który herbata zdążyła ostygnąć, a dla mnie wydawał się całym dniem, Janustancja uśmiechnęła się tylko i rzekła po prostu.

- Napisz. Nic więcej. Lecz w odpowiednim momencie.

Czy to już? Westchnąwszy, spojrzałem za okno i wychodząc, tam właśnie się znalazłem. Ciotka na koniec powiedziała:

- Nie martw się.

Poszedłem. Coś wyrwało mnie z letargu. Fałszywy goniec. Nieproszony gość, lub coś znacznie gorszego. Będąc wolny, czułem spokój, teraz niepokój wdiera się do mojego azylu, zacisznego schronienia moich rozte-

rek. Nadchodzi czas. Odpowiedni czas. Lecz teraz musiałem skończyć iść tą drogą. Januścjanca oddalała się w tyle, a Filistyna wcale nie przybliżała się z przodu. Droga uwierała w stopy. Szedłem.

27 sierpnia '10

Meander III – Konrad

Spotkałem się z nim. Z Konradem.

On milczał. Słuchał. A ja mu po prostu powiedziałem:

- Spotkaliśmy się tutaj, bo muszę ci powiedzieć, że tak naprawdę nie istniejesz.

Nie zaskoczyło go to w ogóle. Nie rozumiał po prostu. Wzruszył ramionami i rzekł:

- Ja mogę powiedzieć to samo o tobie.

- Wiem – odparłem. Odwróciłem oczy. Spojrzenie zostawiłem na nim. - Niestety...

Nie chciałem go już więcej widzieć, on mnie również. Rozstaliśmy się. Czy skutecznie i na dobre?

27 sierpnia '10

Meander IV – Ojciec

Był wówczas październik, właściwie jego początek, gdy powóz mój zajechał na dziedziniec, a usługowy lokaj rozwarł przede mną drzwi domu mego ojca.

Ojca, który zdawał się umarły, lecz który zmartwychwstał. Zupełnie marnotrawny, na tyle, by pokusą nieodpartą była próba przeinaczenia nowotestamentowych przypowieści. Z powodu ojca można by śmiało podjąć takową próbę i nie tylko w odniesieniu do jednej przypowieści. Cóż za materiał literacki był z mego ojca, on sam nie próżnował i od dawna, czego nie mogę przywołać z pamięci, zapisuje wiele stron, numerując i katalogując swe manuskrypty wedle ściśle określonych przypisów. A indeks to niebagatelny.

Właśnie przechodząc przez próg, lokaj zdał się wyrzucić z trzewi:

- Pan jest zajęty, nie pragnie przyjmować gości.

Poczułem się jak intruz, któremu się nakazuje natychmiastowe oddalenie, a którego absencja jest jak najmilej widziana. Nie uległem jednak tonowi jego głosu i wyrażonej tymże głosem pretensji. Mam prawo widzieć ojca, mego. Nie czyjegoś, kogoś innego, nienależącego do mnie.

Przynależność ta ma wielkie znaczenie, ale jest pozbawiona sensu.

Odparłem, że to żadna szkoda i cierpliwość ma jest dziś na tyle łaskawa, że pozwoli mi poczekać, aż mój ojciec stwierdzi, że przyjęcie gości jest jak najbardziej wskazane, a wizyta samego syna – wręcz święta.

Mógłbym w tym czasie iść podglądać młode, nadobne kucharki lepiące zręcznymi paluszkami pierogi lub przyglądać się jak stara Adela miesza rosół niewyobrażalnie ogromną warząchą.

Lecz ja udałem się do biblioteki ojca, z której dwa kroki do gabinetu, gdzie z pewnością, nad biurkiem siedzi pochylony ojciec czerniący arkusze. Z inkaustem na dłoniach, młodością w oczach.

Słyszałem skrzypienie pióra i periodyczny szelest papieru.

Michał Wilk

Autonota

Michał Wilk – student polonistyki w częstochowskiej Akademii im. Jana Długosza. Członek Koła Literackiego „Anafora”, działającego przy Instytucie Filologii Polskiej. Do tej pory publikował w „częstochowskim magazynie literackim GALERIA”. O sobie pisze tak: za młody, by powiedzieć, że zna Życie, za stary, by kompletnie o Nim milczeć. Obserwator świata i ludzi. Nieśmiało burzy warstwy wszelkich przyzwyczajęń, stereotypów i myśli. Próbuje uchwycić Istotę, a raczej odkryć, że już Ją złapał. Nie jest

na żadnej drodze, ścieżce, na żadnym etapie odkrywania czy oświecenia. Po prostu rozgląda się i uświadamia. Dwukrotnie pomylony z Chrystusem. Nie wie jednak, jak Zbawiać ludzi. Poza literaturą interesuje się również szeroko rozumianą muzyką (amator gitary), naturą ludzką i paroma innymi rzeczami. Jako filolog lubi słowa zaczynające się na „fil”, takie jak filizanka (czekolady), filigranowa (dziewczyna), fluterne (palce), film (nie urwany), filozofia (domorośla). W każdym razie żadnej parafilii nie toleruje. Nie lubi też bezmyślności i pisania krótkich notek biograficznych, zwłaszcza o sobie.

Janusz Mielczarek

O prozie Michała Wilka

NIE WYBIJAJ OKA... PIÓREM

Żałuję, że teksty prozatorskie Michała Wilka, którymi debiutuje on w „Galerii”, a o których przypadło mi napisać zdań kilka, pochodzą aż z roku 2010, bowiem dla autora młodego, ledwie po dwudziestce, czas to dość obszerny i mógł wiele zmienić w jego prozie. Zakładając, że wykorzystywał go także na pisanie, a więc odkrywał w sobie i u innych coraz to nowe tajniki tego magicznego zajęcia. Sądzę tak, bo skoro napisał taki tekst, jakim jest czteroczęściowy „Meander”, o którym tu mowa, to wyłącznie katastrofa kosmiczna albo kobieta byłyby w stanie to przerwać.

Czytałem je kilkakrotnie i nie nabawiłem się do nich alergii; za każdym razem znajdowałem inny ciekawy szczegół, połyskującą frazę. Ma ta proza fakturę zgrzebnej tkaniny, ale

tkanej ze szlachetnej nici. Michał nie oślepia czytelnika laserem, on ostrożnie rozchyła połowy muszli swojej wyobraźni, między którymi dostrzec można jaśniejszą smugę. Oznacza ona, że w muszli dojrzewa to najważniejsze. Czy dojrzeje, czy się narodzi?

Pisząc, ale nie książki o robieniu kotletów, sposobach noszenia majtek i rozstęgach na tyłku, samotnie wypływamy łódką na ocean i zdarzyć się może, że s a m i będziemy musieli wyrwać sobie ropiejący ząb, by móc żeglować dalej!

Mam swoich mistrzów małej prozy, których mógłbym polecić każdemu. Przede wszystkim Izaak Babel. To jego za mistrza uznali także m.in.: Gabriel Garcia Marquez, Bohumil Hrabal i paru innych. To on sądził, że pisać gorzej, niż to czynił Lew Tołstoj, jest obelgą. A tenże Tołstoj dzieło życia – „Wojnę i pokój” – przepisywał siedem razy, podobno na stojąco. Tak, bo pisanie uczy pokory.

Przepraszam, pewnie jest ze mną coś nie tak, skoro o takich zachowaniach przypominam dzisiaj, gdy tabuny rozwrzeszczanych panienek i panów okładają się piąchami w kolejce do celebryckiej kasy.

Michale, masz nam coś do powiedzenia, to ważne, a my jesteśmy gotowi słuchać tego. Nim jednak sam dojdiesz do prawd oczywistych, a stanie się to, gdy będziesz pisał, pisał i pisał, wytrzymaj chwilę mego zrzęczenia. *Nadźwierzaj myśli...* nadźwierzaj, ale osusz je z jezior łez, pękniętych serc, kalamburów słów-nie słów i odrzuć wiarę w siłę powtórzeń. Niech cię pióro prowadzi tak czysto, jak to zrobiło w części „Konrad”. Ale pamiętaj, że to wyłącznie moje zdanie.

A jeśli gorzkie zmoczą cię deszcze, to wesprzyj się Grochowiakiem: *...O wiersz ja ten piszę/Sobie a oślom/Dwom zreumatyzowanym/Jednemu z bólem zęba/Oni go pojmą (Płonąca żyrafa).*

Janusz Mielczarek

ŚLADY HISTORII CYNAMONOWYCH

Upał powala, ulica pusta, a żółty dom wygląda na wymarły. Na krawędzi jego frontowej ściany czarna tablica, jak nagrobek. Prócz mnie jest tu jeszcze jeden pasażer autobusu, ale on robi tylko zdjęcia i odchodzi. Po drugiej stronie ulicy płot, za nim drzewa dające cień. Idę tam, siadam na ziemi i wpatruję się w czarny czworobok.

Jestem zmęczony, podróżując od czwartej rano. Najpierw góry, potem przejazd siecią tuneli kolejowych, dalej ponownie wyrwy w krętych drogach, ubogie wsie, rzadko spotykani ludzie i po dziesięciu godzinach – Drohobycz.

Na środku czarnej tablicy wyryty portret, a obok inskrypcje w języku polskim, ukraińskim i w jidysz: W tym domu w latach 1910 – 1941 mieszkał i tworzył wybitny żydowski malarz i pisarz, mistrz słowa polskiego Bruno Schulz 1892 – 1942.

Czytam to wielokrotnie i staram się wyobraźnią przeniknąć do wnętrza żółtego domu. Przecież nie może tak być, że w miejscu, gdzie ktoś żył i tworzył, a jego umysł w przestrzeniach wyobraźni budował światy, które poruszały myśli innych ludzi, to gdy odejdzie, wszystko po nim zapada się pod skórę ziemi, zamienia w lód niebysia.

Wierzę w to i dlatego tu jestem. Zamykam oczy i czekam na niemożliwe. Ale kotara czasu jest szczelna. „Cierpliwości – mówię do siebie – cierpliwości, na Boga”. I staje się: materia zasłony rzednie, a z jej szczelin wraz z kłębkami mgły zaczynają przenikać łupiny historii. Dom z przeciwka zmienia się, staje się taki, jak widziany niegdyś na starych fotografiach.

Tablica wygląda, jakby zanurzono ją w wodzie, której nurt rozmywa wyrytą w marmurze twarz i kołysze literami jak kępą wodorostów. Czuję ucisk w skroniach i mam wrażenie, że wszystko, co widzę, pulsuje ledwie dostrzegalnie, powoli powiększa się i rośnie. Z bliska dochodzi mnie hałas, ale

nie rozróżniam, czy tłucze tak moje serce, czy jakiś młot pruje ulicę obok. Boję się; może dzieje się ze mną coś złego? Stopniowo trudno rozpoznawalne odgłosy odpływają, a wyryta w kamieniu twarz staje się większa i większa, aż zmienia się w ekran. To na nim pojawiają się obrazy zapamiętane z filmów, jego rysunki i malowidła. Świat niedorzecznych wyobrażeń, zachłanny niesamowitością i aż do bólu jedyny i osobny wśród innych. To, co widzę, powoli ożywia się, jaśnieje, staje się przestrzenne, aż wreszcie noże światła rozcinają ostatnie zasłony i staje się jasność dnia.

Jest słoneczny, ale wietrzny dzień końca września. Miesiąc temu rozpoczęła się wojna, a tydzień temu weszli tu Sowieci. Lekko pochylony mężczyzna zmierza w stronę furtki, zatrzymuje się, bo środkiem jezdni czerwonoarmiści prowadzą grupkę cywilów. Wśród konwojowanych dostrzega znajomą twarz. - Stachu! - woła.

Starszyna karci go wzrokiem, a jeden z eskortujących gotuje karabin do strzału. Człowiek przy furtce kuli się, ale za chwilę wraca do domu po płaszcz i szybkim krokiem zmierza do komendantury miasta. W korytarzu i na schodach ciżba. Próbuje przedrzeć się przez zapachy starych ubrań i przekrzykiwania ludzi. Dopiero po kilku godzinach staje przed płaską jak szpadel, kołyszącą się na chudej szyi twarzą komendanta, któremu opadają ze zmęczenia papierowe powieki i na głowie prężą się nieład siwiejących włosów. Ma lewą dłoń owiniętą brudnym bandażem.

- Niestety, towarzyszu artysto – komendant chrypi zdartym głosem i odkłada niklowaną słuchawkę na skrzynkę czarnego telefonu, z nie do końca zdrapanym białym orzełkiem na środku. - Za późno.

- Przecież ledwie rano ich prowadzili – przybyły próbuje oponować i ugniata trzymany na kolanach płaszcz.

- Jest wojna – ucina komendant i przeciera oczy. – Zamierzałem posłać po was, dobrze, że jesteście.

Przybyły nieruchomieje, widzi się teraz w grupie konwojowanych. Patrzy w stronę osiłka rozpartego na krześle przy bocznych drzwiach i żującego zapalkę. Wciąż słyszy: -Zamierzałem posłać po was... Komendant zwraca się do typa przy drzwiach:

- Stiopa, do Kuźmicha Aleksandrowicza i dla towarzysza podwójnie. – Opuszcza głowę i po chwili mówi dalej: - Władza radziecka ma dla was ważne zadanie – wysławia się z trudem, jakby bolały go zęby. – Zbliża się rocznica Wielkiej Rewolucji Październikowej – przerwają, aby zebrać myśli. – Przez wiele lat, pod polskim jarzmem, czekali na to święto mieszkańcy Drohobycza. – Znowu milknie. – A wy, towarzyszu artyście, namalujecie na tę okazję portrety naszych wielkich wodzów.

Przybyły ożywia się, znowu miętosi płaszcz i obserwuje komendanta.

- To jest wyjątkowe zadanie – mówi niepewnym głosem – ja zawsze robiłem tylko małe rysunki, nie wiem, czy podołam?

Osiłek wraca, kładzie na blacie biurka przyniesiony w płachcie gazety prowiant i z góry patrzy na artystę przekrwionymi, chytrymi oczami.

- Stiopa będzie pilnował, żeby niczego wam nie brakło. – Komendant wychodzi zza biurka; jest wysoki i garbi się. Gość sięga mu do ramienia i ściska gazetę, w której jest kilka metalowych puszek, woreczek z mąką, coś w słoiku i butelka wódki.

- Wy, towarzyszu artyście wiecie – chudy kładzie mu żyłastą dłoń na ramieniu – że aby kogoś zachować w sercu, powinien on być nie tylko dobry i mądry, ale także piękny. – Komendant nachyla się i stoją teraz twarzą w twarz. – Wy wykonacie najlepiej to zadanie – mówi i lekko popycha artystę w stronę drzwi.

Malarz schodzi po schodach i najchętniej rzuciłby niesione przed sobą skarby w stronę patrzącego za nim wojskowego, ale zatacza się, przytrzymuje poręczą, a potem wyszarpuje z bochenka kęs chleba, bo od dwóch dni nie jadł.

„Stachu, daruj – mówi do siebie – chciałem cię od nich wyciągnąć. Nie sądzę, że cię sprzedałem za ten kwaśny chleb, butelkę wódki i coś w puszcze, co może cuchnie podobnie jak to, w co jeszcze niedawno wierzyliśmy”.

Pisał długo w nocy i wstał z bólem głowy. Miał nadzieję, że tekst po ukończeniu wydrukują mu w Moskwie. Pragnął pisać, ale rozstawione pod ścianami prostokąty przypominały o obowiązkach malarza. Wkrótce spodziewał się wizyty gburowatego czerwonoarmisty, który miał na twarzy grymas podobny chimerom z katedry Notre Dame, śmierdział koszarami i skisłym alkoholem.

Usiadł w fotelu i pod ostrym kątem spojrzał na głowy na płótnach. Spłaszczone, wydłużone, mają w sobie więcej ascezy, sugerują inny sposób myślenia, niż wówczas, gdy patrzy się na nie z przodu, prostopadłe, a one są wtedy pełne, nienaturalnie gładkie, pewne siebie i skrywają w oczodołach sekrety charakterów.

Zapałł w krótki, kilkunastominutowy sen, a po przebudzeniu przystąpił do malowania.

Stiopa przyszedł później, z obowiązku ocenił postępy w malowaniu portretów i zapalił papierosa. Nie był skory do rozmowy. Być może zmagał się z myślami, których nie mógł rozwikłać jego umysł ulokowany za niskim czołem o grubej skórze.

- Towarzysz komendant – zaczął nieśmiało, co mu się nie zdarzało – mówił mi wczoraj – że towarzysz malarz pisze jeszcze książki. – Ćmił cuchnący tytoń w żółtej bibułce. – Nie dość, że wodzów i wielkich ludzi odmalowuje, to i książki pisze. – Kilkakrotnym prychnięciem

przez nos podkreślił swój podziw. – Pisać niby można, malować jako i także, ale co na to nasza władza radziecka? – pytał sam siebie. – Ja, na ten przykład, nie jestem świadomy, czy jak u jednego obywatela za dużo talentów, to czy jest dobrze, czy jest może źle? – Pogniółł papierosa, żeby się lepiej palił. – Być może, nikomu nie ujmując, że dajmy na to pisarz o imieniu Iwan Aleksandrowicz dzielnie sławi swoimi książkami kochaną władzę Rad, a innym talentem, w skrytości, ikony święte maluje i naród szlachetny ogłupia. – Pokiwał z powątpiewaniem głową i zaciągnął się papierosem. – Bo na mój rozum, towarzyszu artysto, rozum Stiopy, czerwonoarmisty, to jak się doi krowę, nie można w owym czasie doić kozy, bo oba mleka się wyleją. A wiadomo jak w wojennym czasie jest z aprowizacją. – Zadumał się, aż ogień papierosa zaczął parzyć mu palce.

Poprawił pas i sięgnął po swój lśniący nagan. Oglądał go, przecierał metal, pstrykał bezpiecznikiem, a potem wyciągnął magazynek i wydobył z niego trzy kule. Przemaglował je w dłoniach, wcisnął między palce jak gość pokazujący sztuczki, chwilę się im przyglądał i powiedział:

- Te kulki są jak pozłacane i chciałoby się je oglądać w muzeum, na wystawce, a tutaj wróg dookoła i popsuć je, taka konieczność. – Kręcił dłonią z wachlarzem z pocisków. – Dlatego powiedzcie, towarzyszu artysto, bo u was klepek więcej niż u zwykłego czerwonoarmisty, czy moja racja prześwietna odnośnie tych kulek jest, czy jej nie ma?

Malarz spojrzał na wojskowego spod ściągniętych brwi i lekko schrypiałym głosem powiedział: - Przyszły nowe czasy, a wszystko, jak roślina, musi zapuścić korzenie i albo będzie rosło, albo nie. – Odsunął się od portretu, który malował, żeby w słabnącym świetle jesiennoego popołudnia lepiej ocenić proporcje. - Znaczy, towarzyszu, jak powiadają: jest niby jasno, czy niby ciemno? – zapytał i z namysłem, powoli wciskał pociski do magazynka, jakby chciał, żeby bardzo wyraźnie słyszeć

było uderzenia metalu o metal, bo każde stuknięcie powinno brzmieć jak wyrok.

- Znaczy, towarzyszu – powiedział malarz – ja bym wołał, żeby one jako klejnoty pozostały w muzeum.

- I dlatego wam, towarzyszu artysto, w imieniu całej bohaterskiej czerwonoarmijskiej komendantury miasta Drohobycza oddaję rację, bo wiadomo, że jak taki klejnot wejdzie między, dajmy na to – postukał się w skroń – między te nasze klepki, to przyjemniej jest, niżby to było zardzewiałe żelaziwo. – Wstał, skierował się do drzwi i omiółł wzrokiem portrety. – Kiedy już na całym świecie zapanuje radziecki dobrobyt, to wtedy oddam mój wierny i zasłużony nagan do muzeum, a sam pójdę do takiej szkoły, gdzie też mnie nauczą malować portrety naszych wielkich wodzów, a nawet fabryki, pola i rzeki wielkiego Kraju Rad.

- Dawno pana u mnie nie było, profesorze – powiedział gospodarz, odłożył pędzle i wytarł ręce. Na dworze siąpił październikowy deszcz i gość strzepnął z kapelusza krople wody. Rozpiął zaczerniony i postrzępiony przy kołnierzu i rękawach płaszcz, wyjął z kieszeni gazetę i podszedł do zamalowanych płócien. Był niski i kościsty, a na tle sięgających mu do ramion prostokątów wyglądał na widza zagubionego przed kinowym ekranem. Malarz przyglądał się jego nerwowym ruchom. Przed laty miał w szkole przewisko „Szpulka”.

- Dostałeś do wykonania bardzo ważne zadanie – powiedział i spojrzał w oczy gospodarzowi.

Malarz oparł się o poręcz krzesła i w milczeniu pokiwał głową, której kołysanie trwało dłuższą chwilę i przypominało ruchy dziecka z chorobą sierocą.

- Czy wiesz, ilu sowieckich wrogów rozstrzelano we Lwowie? – Profesor rozłożył gazetę i rozpiął płaszcz.

- Słyszałem.

- Teraz możesz o tym przeczytać – pokazał dłonią miejsce na pierwszej stronie.

- Trudno mi w to uwierzyć. – Malarz potarł dłonią brodę z parodniowym zarostem, a potem ujął ją od dołu, jakby próbował naprawić asymetrię swojej twarzy i zapytał: - Do kogo strzelali, gdzie podłożyli bomby?

- O tym nie piszą. – Profesor usiadł na krześle.

Zamilkli, bo wydawało im się, że słyszeli kroki w korytarzu. Nasłuchiwali. Nagle drzwi otwarły się i do pokoju wszedł Stiopa.

- Kto to, co on tu robi? – zapytał szorstko, wskazując na profesora.

- Odwiedził mnie mój dawny nauczyciel.

Czerwonoarmista podszedł do rozłożonej gazety i uderzył dłonią w miejsce zadrukowane pogrubioną czcionką.

- Ot, polskie wrogi proletariata – powiedział i zdjął czapkę. – A ile ich jeszcze kryje się przed rewolucją na wsi, na kolei, w fabrykach, w szpitalach, wszędzie – dokończył. – Mój wierny nagan tego by nie zdzierzył, choćby mu dać cały wagon amunicji.

- Panie żołnierzu, my jesteśmy... – profesor zawahał się – polskimi demokratami.

- Wy takie byli – ze spojrzeniem zaczajonym w półprzymkniętych oczach skorygował go wojskowy i podszedł do fotela przy oknie. Rozsiadł się i wyciągnął nogi do przodu. Spodnie opinały mu pękate łydki krótkich nóg. Przyglądał się swoim wyglansowanym półbutom i kołyszac czubkami, w lewo i prawo, zastukał nimi o siebie. – Wy takie byli – powtórzył – demokraci, czy komunisty, wsio ryba. Teraz wy nasze, nasze komunisty niezwykłego Kraju Rad – mówił, wpatrując się w buty. – W takich sapogach można by bez postoju i do Moskwy dojść, do samego Kremla.

- Bez spania? – zapytał profesor, pocierając małe dłonie o siebie.

- Oko by zmrużyć trzeba – powiedział wojskowy i dodał – byle sapogi na kulasach trzymać, bo zaplądzą. – Położył prawą stopę na lewym kolanie i gadał dalej: - Ot, była Polska i jej nie ma. Nie ma i nie będzie. – Zaśmiał się grubym głosem. – Tylko buty zostały, w których Stiopa z zakaukaskiego kraju, będzie wyzwał narody uciśnione przez kapitalistów. – Wstał

z fotela, podszedł do portretów i powiedział:

- Pośpieszaj, towarzyszu artysto, pośpieszaj, bo rocznica Październikowej Rewolucji blisko, a ona idzie ku nam krokami wielkoluda.

- Tak bardzo wierzyliśmy w nasze ideały – powiedział profesor, jakby do siebie, po polsku.

- Nie chcieliśmy słuchać tych, którzy mówili, jak to naprawdę u nich wygląda. – Spojrzał na gazetę. - Nasze marzenia pisane są teraz grubą czcionką w czarnej ramce. Mamy, cośmy chcieli. Możemy się zapić ze szczęścia, chociażby na śmierć, bo wody nigdy u nich nie braknie.

- Co ten stary gadał? – zapytał Stiopa. – Mów, szybko!

- Profesor powiedział, że marzyliśmy o przyściściu Armii Czerwonej i teraz właśnie jesteście z nami.

- Nie kłamiesz, ty, Żydzio?

- Towarzysz marzył o eleganckich butach – malarz wskazał na nie – i teraz je ma. Ja swoje marzenia nosiłem pod kapeluszem – dotknął palcem czoła – tutaj jest trochę wyżej i łatwiej im się stąd odlatuje.

Dla wojskowego było to zbyt skomplikowane, więc zacisnął zęby, splunął na podłogę przez ściśnięte wargi i przenosząc wzrok z profesora na malarza, powiedział:

- U nas, we wsi powiadają, że nie ten górą, co widział lisa, ale ten, co go ubił i futro jego posiada. – Starannie nałożył czapkę, pokłuszał stopami w lśniących butach, żeby się lepiej ułożyły i dodał: - Wam to pamiętać, Polaczki! – Otwarł drzwi, odwrócił się i już na progu dodał: - Wszystkie Polaczki... jako jeden.

Czerwonoarmista pchnął drzwi, zdziwiony spojrzał na malarza zapisującego coś w zeszycie i poszedł obejrzeć portrety.

- Towarzysz Lenin jako żywy, Marks i Engels także samo – ocenił – tylko towarzysz Stalin u was w niełasce – skrzywił się – u niego najwięcej brakuje.

- Zdążę – odpowiedział gospodarz i pisał dalej.

- Tak już jest, towarzyszu żołnierzu, że najtrudniej maluje się portrety wodzów żyjących.

- A niby to dlaczego?
- To proste – malarz napisał ostatnie zdanie i zamknął zeszyt. – Może się przecież zdarzyć... - Czerwonoarmista wsłuchał się w słowa człowieka o bladej twarzy.
- Co takiego może się zdarzyć? – zapytał.
- Że tam, w Moskwie, towarzysz Stalin – malarz znowu przerwał, a ich spojrzenia się spotkały – rozkaże zawieźć się na lotnisko.
- I co, i co dalej?
- Dalej, już na lotnisku, to on wejdzie do takiego specjalnego samolotu i znowu rozkaże...
- Co rozkaże, no, mówcie jaśniej...

Malarz potarł zziębnięte dłonie o siebie, podszedł do okna i spojrzał w niebo. Wojskowy stanął obok.

- Cóż takiego, według was, towarzyszu artyście, może rozkazać w aeroplanie towarzysz Stalin? – dopytywał czerwonoarmista.
- Towarzysz Stalin to może wszystko i wszędzie rozkazać.
- Tak jest, to wiadome, ale w tym aeroplanie?
- On może rozkazać – gospodarz przeciągał moment zaspokojenia ciekawości Stiopy, od którego czuł alkohol i kwaśny tytoń. – Może rozkazać, na ten przykład: - Lecimy na Święto Rewolucji do Drohobycza!

Wojskowy zabuczał ciężkim śmiechem i złapał się za głowę. Po chwili spojrzał na poważną twarz malarza i w jego mięsistym obliczu pierwszy raz pojawił się strach. Nerwowymi ruchami poprawił mundur i zaczął chodzić energicznie między drzwiami a oknem.

- Tak jest! – Krok miał ciężki i co chwilę przystawał na baczność. – Tak jest! Macie słuszość, towarzyszu artyście. – Zamierzał usiąść, ale zrezygnował i, chodząc, mówił: - Wiadomo, że towarzysz Stalin, ojciec nasz jedyny, wszystko może i nawet do Drohobycza na Święto Rewolucji przyjechać, też. – Zwolnił krok. – Teraz to dopiero pojąłem, i to także, że więcej trzeba trudu i farby, żeby, dajmy na to jego portret był taki, abyśmy patrząc na niego, kochali go mocniej i mocniej, i życie za niego, bez oka mgnienia dali. – Zamilkł i usiadł zmęczony. – Tak jest, tak jest... - mamrotał jeszcze

półgłosem, ale bladeść ustępowała powoli z żołdackiej maski. Wracał do siebie; rozparł się w wyplatany fotelu i obgryzionymi paznokciami drapał w poręcz. Kilkakrotnie odkaslnął, pokręcił się chwilę, i znowu, jak zwykle, mocnym głosem powiedział:

- Towarzysz komendant dał mi poczytać waszą książkę.

- Trudno wam idzie? – zapytał malarz.

- Co prawda, to prawda. – Stiopa poskubał się po czole. – Stoi tam napisane o kolonialnych magazynach i innych dziwaczach. – Spojrzał ukradkiem na twarz autora. – A w mojej głowie czerwonoarmisty siedzi to, jak kura na jajach, że jak my drzwi w nich rozbijali, to choć Polaczki wynieśli, co mogli, to na strychach i w piwnicach jeszcze my wódkę, perkale, a nawet cukier znalazły. – Wyjął papierośnicę z gwiazdą i sięgnął po papierosa z brązowymi zaciekami na bibułce. Zapalił. – A u was, wiecie, to jakieś księżycy – nie księżycy, śniegi – nie śniegi, a nawet krzaki, że niby futra niedźwiedzie. – Zamyślony zaciągnął się papierosem i dym wydmuchwał przez nos.

- Patrzę ja na was, towarzyszu artyście, i boję się, że w waszej głowie te pisanie z książki to chodziły sobie tak bez potrzeby, jak – nie przymierzając – te kobiety bezmyślne, niepracujące, których zadaniem jedynym jest mieć nas, męski rodzaj. – Otrzeptał spodnie z popiołu, który odpadł z papierosa i kontynuował. – A przecież każdy żołdat niezwyrodnionej Armii Czerwonej zna to prześwietnie, że pod krzakiem to gównu zostawić może, a nie na plecach go nosić. – Rzucił niedopałek na podłogę i rozgniół butem.

Malarz przerwał mieszanie farby i powiedział, nie odwracając twarzy:

- Młody byłem, to błahe opowieści pisałem.
- Mnie, młodemu, na wojnę było iść i ojczyznę bronić przed polską zarazą – powiedział poważnie. – Też wolałbym gołe baby rysować, cycki macać, a potem takie obrazki w książkach pokazywać. – Stiopa sięgnął po nowego papierosa, odchylił nakrywkę na mosiężnej zapalniczce, która odpaliła dopiero za którymś

razem. Zaciągnął się, ułożył ją na masywnej dłoni i chwilę się przyglądał. – Ot, polska swołocz, też nie lubi ludzi radzieckich – powiedział – nie śpieszno jej, żeby czerwonoarmistę zaspokoić - i schował zapalniczkę do kieszeni. Palił w milczeniu, potem wstał, podszedł do kredensu, w którym stała butelka wódki, wyciągnął, upił dwa łyki, otarł rękawem usta i stanął obok malującego.

- Towarzysz Stalin – mówił patrząc na portret – słońce nasze i wódz, coraz to piękniejszy. Wkrótce może przybywać na święto do miasta Drohobycza. – Znowu sięgnął po butelkę z wódką i podszedł z nią do okna. Napił się, spojrzał na kobietę przechodzącą ulicą. – Te, tutaj, też wy rysowali na goło? – zapytał i otworzył okno.

- Nie, tej nie – odpowiedział malujący.

- To gdzie skryte one, co na kanapie cipy pokazywały? W te same dziury i ziemianki, co złoto i słonina? – warknął, dopił wódkę, a butelkę wyrzucił przez okno. Znowu rozparł się w fotelu, dobył nagan, przekładał go z ręki do ręki, a potem, w parosekundowych odstępach, jakby miał w sobie zegar, stukał dzwignią bezpiecznika.

- Szli my wczoraj z Wasią i jeszcze jednym, na patrolu – zaczął, wpatrzony w swoją broń. – Słońce nisko, spokój, jak u baby na piecu, to zakurke zrobiliby przy drodze. Ale Wasia, co oko sokoła posiada, jakieś ruchanie wypatrzył. - Stiopa przykulił się w fotelu i nagan w dwie ręce ujął. - To my, jak regulamin każe, do lasu. Podchodzimy, a tam para z bagażem umyka. Nie odfruniecie wy nam, gołąbki podskubane – myślę ja sobie – i krok w krok za nimi. Nasze one – mówi mi głowa czerwonoarmisty, ale też zapytuje, co w tobołach mają? – Stiopa trzymał teraz broń za lufę i rękojeścią uderzał o uda.

- Naprzód wzięli my się za paniusie, bo ruski chłop potrzebuje swego. Jakem robił z nią, co trzeba, to Wasia z tym drugim temu od niej pasek od spodni na szyję założyli – mówił rozbawiony. – Co jaśnie pan się ruszył, to gacie mu leciały, a w szyi charczało. Miękki był, żyłka mu w głowie pękła, to kazałem

Wasi, żeby mu ulżył, bo co komu po takim. – Czerwonoarmista schował nagan i przeciągnął się z głośnym ziewnięciem. – Ona też była marna, gdzie jej tam do naszych. - Obejrzał paznokcie u prawej dłoni, obgryzł ten przy serdecznym palcu i mówił dalej: - Wasia jeszcze ją podziabiał, ale ten drugi nie miał już do czego. - Znowu zlustrował paznokcie.

- Jak my w ich walizce różne błyszczenia trafili, to trzy kroki od jarzębiny zakopali. Przyjdzie czas, to się weźmie. Wasia nie wyda, myślę ja sobie, ale z tym drugim wiadomo to? Co było robić? Rodzina się dowie, że ma bohatera, co poległ w boju z polskimi panami.

Podczas opowieści czerwonoarmisty malarz stał bez ruchu przed płótnem i jego gruszkowata głowa z wychudłą twarzą opadała coraz niżej i niżej.

- Lenicie się, towarzyszu artysto! – wyrwał go z zadumy głos Stiopy.

- Zasłuchałem się w waszą opowieść.

- Niezła, co? Można by takową w książkę opisać.

- Można.

Wojskowy wstał z fotela, przeciągnął się i – jak zwykle – starannie nałożył czapkę.

- Jak już gotowe będą portrety wielkich wodzów naszych, to zaraz potem mój namalujecie. Stiopy, z zakaukaskiego kraju, ze wsi Borowka, bohaterskiego czerwonoarmisty. On musi być dotąd – pokazał ręką do pasa. – Miał już zamknąć za sobą drzwi, ale wrócił się i dodał: - Ale drugi musi być z gołą babą na kolanach! – rozkazał. – Musowo. – Pokazał mocne zęby w złym uśmiechu i wyszedł.

Znużony malarz zbliżył się do fotela, chciał usiąść, ale nad starym meblem unosił się jeszcze odór po tamtym człowieku. Skrzywił się, otworzył drugie okno i wyszedł z pokoju.

W oczy wtargnął mi błysk światła i poraziła jasność. Przysłoniłem je dłońmi i spojrzałem do góry; pochylała się nade mną kobieta i milicjant. Rozmawiali chwilę, a potem on odszedł. Siedziałem pod płótnem i koszula kleiła mi się do pleców.

Kobieta nalała z butelki wody do blaszanego garnuszka, podała mi go i zapytała po polsku: - Żle się pan czuje? Może przyprowadzić lekarza?

Pilem powoli ciepłą wodę; czarna tablica z jego twarzą i napisami była w tym samym miejscu, co przedtem. Stojąca przy mnie kobieta miała krótko obcięte, siwe włosy i niemłodą, opaloną twarz.

- Stało się coś? – zapytała.

Nie odpowiedziałem, bo wciąż frapowały mnie niedawno widziane sceny i, za skarby, nie chciałem, by przepadły. Kobieta była szczupła i przyglądała mi się przenikliwym spojrzeniem zielonych oczu, jakby liczyła zmarszczki na mojej twarzy.

- Czasem przydarzają się ludziom różne, dziwne historie – powiedziałem po kolejnym łyku wody.

- O jakich historiach pan mówi? – zapytała.

Zasypany upałem i ciężki od nowych wrażeń, podniosłem się z trudem, ale gdy stanąłem naprzeciwko niej, próbowałem jednak się uśmiechnąć. Podsunąłem garnuszek, żeby nalała jeszcze wody, zbliżyłem się i nie chcąc zgubić nic z oglądanych niedawno scen, powiedziałem:

- O historiach cynamonowych.

Zaśmiała się głośno i w młodzieńczym, pełnym energii geście, odrzuciła głowę do tyłu. Gdy się uspokoiła, powiedziała: - Mieszkam trzy domy dalej. – Uśmiechała się. – Widziałam, jak pan tu przyszedł. Rzadko ludzie siadają na ulicy.

- Długo to trwało?

- Może piętnaście minut, może dłużej.

- Tak krótko? – zdziwiłem się. Znowu przebiegłem w pośpiechu zarejestrowane w pamięci obrazy, żeby jeszcze raz, jak najgłębiej, wytłoczyć ich ślady w tych wszystkich skomplikowanych matrycach mojej głowy.

- Przy takim upale to normalne – usprawiedliwiła.

- Wybierałem się tu od dawna. Bardzo chciałem zobaczyć ten dom, to miejsce – mówiłem, zerkając ku niej – chociaż tyle. Opuściłem

głowę i poprawiłem włosy. – Przecież ludzie nieodwyczajnie odchodzą z nich do końca. Muszą zostawić po sobie ślady, chociażby ulotność ich niezwyklej energii. Nie wszyscy potrafią to wyczuć, odczytać, ale trzeba próbować.

- Panu się udało?

- Bardzo bym tego chciał. – Resztkę wody wylałem na dłoń i zmoczyłem nią twarz. – Czy się udało? Nie wiem. Taką mam nadzieję.

- Chciałby pan dowiedzieć się o nim czegoś więcej?

- Wiele już napisano, nakręcono filmy.

- Wszystkiego nie da się powiedzieć i napisać o życiu zwykłego człowieka, a o takim jak on to niemożliwe.

- Zna pani jakieś sekrety związane z Bruno?

- zapytałem i uśmiechnąłem się, bo byłem przekonany, że będzie fantazjować.

Przyglądała mi się, jakby potrzebowała czasu na przemyślenie, czy godzien jestem jej opowieści. Sięgnęła do małej torebki, wydobyla z niej batystową chusteczkę z haftem w kwiatki i, tak po prostu, jakby wycierała z okiennej szyby krople deszczu, przetarła nią moją spoconą twarz. Ożywiło mnie to bardziej niż woda, którą przed chwilą zmoczyłem czoło i policzki. Nie ruszając się, stałem z podniesioną głową, zamkniętymi oczami i poprosiłem o jeszcze. Uśmiechnęła się, przełożyła chusteczkę na drugą stronę i bardzo powoli, jakby osłuchiwała mnie końcami palców, które czułem pod materiałem, wodziła nimi po mojej twarzy.

- To było nadzwyczajne – powiedziałem, gdy skończyła i opuściła rękę.

- Co, niby, takiego? – zapytała.

- Na chwilę zapomniałem o zmęczeniu i upale.

- Tak panu się tylko wydaje – powiedziała poważnie. – Jeszcze jedno złudzenie do kompletu pańskich imaginacji. – Schowała chusteczkę, spojrzała na mnie i skubiąc krawędzie torebki, zaczęła opowieść:

- On kochał się w mojej mamie. Mieszkali po sąsiedzku – pokazała dom. – Ja urodziłam się po wojnie, za drugiego Moskala, ale wciąż przechowuję rysunki, do których pozowała

mu mama. - Kochali się wbrew woli mojego dziadka, który był nieustępliwy, a kiedy jego prośby i groźby nie skutkowały, użył ostatniego argumentu – Żyd! – Napiła się wody, poprawiła kołnierzyk przy letniej sukience. – Mama podcięła sobie żyły. Odratowali ją. Nim wyzdrowiała, zaczęła się wojna. – Spojrzała w stronę czarnej tablicy.

Przeszła na skraj deptaka i stanęła pod słońce. Sięgnęła palcami do uszu, przy których miała małe srebrne kolczyki, pochyliła twarz i spojrzała na mnie z boku, w półuśmiechu, filuternie, jak to robią często młode dziewczyny. I w tym ułamku sekundy, w ruchu jej profilu, oczu i ust, po których przemknął nagły podmuch słońca, rozpoznałem w niej dziewczynę z wakacji, sprzed lat.

- Czy pani mama miała na imię Tamara? – zapytałem.

- Tak – potwierdziła, ale nie wyglądała na zaskoczoną. – Skąd pan o tym wiedział? Ja mam tak samo.

- Tak to sobie umyśliłem – kołowałem – podobają mi się to imię, a w Polsce jest rzadko spotykane. – I w tej chwili zrozumiałem, że ona rozpoznała mnie już wcześniej i dlatego dotknęła chusteczką mojej twarzy.

- Jest pan tu pierwszy raz? Przyjechał pan specjalnie dla niego? – zapytała i wskazała ręką na tablicę.

- Tak, dla niego – odpowiedziałem i zauważyłem, że uczyniła ruch, jakby chciała odejść. Nie mogłem do tego dopuścić, dlatego szybko dodałem: - Przed laty napisałem kilka listów do poznanej na wakacjach dziewczyny z Drohobycza. Na żaden nie odpowiedziała.

Niespodziewanie, gestem jakim obdarza się ludzi bliskich, dotknęła mojego ramienia, ale, za moment, odwróciła twarz i zaciśnięła usta. Wiedzieliśmy już oboje, że zbliżamy się do krawędzi mostu, z którego za chwilę skoczymy w wir kotłującej się w dole rzeki. Dzisiaj, po tylu latach, nie miało to sensu.

Odeszła kilka kroków. Poszedłem za nią.

- Ona może nawet dostała te listy – mówiła zmienionym głosem, odwrócona do mnie

plecami – ale nie z rąk listonosza, tylko takiego faceta, który zajmował rzadko wietrzony pokój z zakratowanymi oknami na piętrze budynku NKWD i wyglądał, jakby nigdy nie zdecydował z siebie koszuli bez koloru i krawata wyszmelcowanego przez obwisłe podgardle. Gdyby ona do pana napisała – groził enkawudzista – musiałaby się pożegnać z jej pierwszą pracą w szkole, a na tym – jak zapewniał – by się nie skończyło.

Odwróciła się ku mnie, miała przez chwilę przymknięte lekko oczy, a potem westchnęła ciężko i powiedziała: - Oni byli mistrzami w niszczeniu ludzi. – Znowu utopiła we mnie spojrzenie zielonych oczu. – Czy mogę mieć do pana prośbę?

- Tylko jedną? – zażartowałem.

- Na razie jedną – powiedziała i miałem wrażenie, że wciąż bada mnie wzrokiem. – Chciałabym, aby zwracał się pan do mnie po imieniu. – Szła teraz lekko kołysząc się, jakby chciała zatańczyć. – Wy, Polacy, inaczej rozkładacie akcenty, a wtedy to moje imię brzmi bardziej tajemniczo, może nawet zmysłowo? Chcę je sobie takim przypomnieć, bo w mojej rodzinie – nawet, gdy nie było wolno – mówiło się po polsku. To było tak dawno. – Poprawiła pasek na jasnej sukience i znowu zastukała o garnuszek. – Jeśli pan zainteresowany, to proponuję spacer tą samą drogą, którą kiedyś moja mama chodziła z Bruno. Nazwijmy ją dzisiaj, na przykład... - zawiesiła głos i przyglądała mi się z pogodnym wyrazem szczupłej twarzy – śladem historii cynamonowych. Zgoda? – Zakręciła się w miejscu, stanęła vis a vis i z bliska, wskazując na mnie palcem, powiedziała: - Poprowadzę pana – przyłożyła palec do ust – ale pod jednym warunkiem, zgoda?

Potwierdziłem skinieniem głowy.

- Będzie mi pan, czy trzeba czy nie, jak najczęściej mówił po imieniu. – Zawiesiła na płocie garnuszek, a na ziemi postawiła butelkę z resztką wody. – Możesz się ze mnie śmiać, że dorosła, niektórzy mówią – stara kobieta ma taką dziewczynską potrzebę. – Przekrzywiła

głowę i pogładziła krótkie włosy. – Tutaj ludzie rzadko zwracają się do siebie po imieniu, a ja, słysząc je, czuję, jak płynię do mnie dobra energia. – Przyłożyła szczupłe dłonie jedną do drugiej, trzymała je chwilę przy twarzy i zwiliżyła wargi. – Dzisiaj głodna jestem zasłuchania się w nim i w twoim głosie, za tamte głośnie, tęsknienia i ból.

Powoli łagodniał upał lipcowego popołudnia, a my podążyliśmy śladami tamtych dwojga ludzi sprzed lat. Wsłuchiwałem się w opowieści Tamary o miejscach, gdzie przed wojną były ważniejsze sklepy, jatki, mydlarnie, szynki i magle, gdzie mieli pracowni krawcy, a gdzie szewcy. We wszystko, co matka poukładała kiedyś w jej pamięci dziecka. A przy tym, czy trzeba było czy nie, mówiłem: tak – Tamaro, to niesłychane – Tamaro, dziękuję – Tamaro... Ustrajałem jej imieniem schodki i ławeczki przy sieniach, skrzynki z kwiatami, okiennice, parapety, rynny i latarnie, żeby kiedyś, gdy zechce powędrować naszym śladem – historii cynamonowych – spotkała tutaj jego echo.

Od południowej strony weszliśmy na rynek, minęli masakrowany przez sowietów polski kościół i przeszli na skraj skweru. Kilkadziesiąt metrów dalej parkował autobus, który mnie tu przywiózł.

- W tym miejscu - pokazała dłonią - leżał Bruno Schulz, zastrzelony przez niemieckiego dentystę. – Zasłoniła na chwilę twarz i pochyliła głowę. – Ale im było tego mało i, żeby bardziej upodlić niezwykłego człowieka, jego zwłoki musiały tu pozostać do końca dnia i można je było zabrać dopiero wieczorem. – Staliśmy, dotykając się ramionami. – Mama, która czuwała w jego pobliżu do końca, mówiła, że to, co w przekonaniu katów miało działać zastraszaingly, uświadomiło drohobyrczanom, jak wielkim człowiekiem był Bruno, jeden z nich.

Nawoływano mnie z autobusu, potem rozległo się trąbienie.

- Spokojnie, poczekajcie, może go wam oddam – powiedziała i położyła mi ręce na

ramionach. – Janusz – pierwszy raz wymówiła moje imię i patrzyła mi z bliska w oczy. – Trzeba być szalonym albo natchnionym, żeby przy saharyjskich upałach wybrać się na poszukiwanie śladów osoby, która odeszła stąd siedemdziesiąt lat temu.

- Musiałem to zrobić, bo bardzo chciałem zdążyć.

Pocałowała mnie w policzek.

- Znaczą, prawie się nie zmieniłeś – powiedziała i pochyliła głowę tak, że dotknęliśmy się czołami. – Przed laty, w ostatnim twoim liście, jaki do mnie dotarł, napisałeś zdanie, które wciąż pamiętam: *Bunt nie przemija, bunt się ustatecznia** – Z bardzo bliska patrzyliśmy w nasze twarze pokreślone przez księgowego od kalendarza. Oparła głowę na moim ramieniu. – Popatrz – mówiła – jak z losami ludzi płaczą się drogi ich cierpienia – przerwała i mocniej zacisnęła dłonie – w miejscu, gdzie zginął Bruno, do nas przytoczył się okruczeństwo zdeptane przez tamtych młodości.

Objąłem ją i szeptałem, z bardzo bliska, kilkakrotnie powtórzyłem jej imię.

- Teraz możesz już wracać – powiedziała ci cho – zdążyłeś – dodała i jej ręce bezwładnie zsunęły mi się z ramion.

Biegłem do autobusu, ale odwróciłem się jeszcze; odchodziła powoli, patrząc w moją stronę. Złożyłem dłonie w trąbkę, przysunąłem do ust i z całej siły, krzyknąłem:

- Ta – ma – ra!

Tak samo, jak kiedyś wołałem do niej z brzegu, gdy wypływała za daleko w morze.

Janusz Mielczarek

* Stanisław Grochowiak

Drohobycz, lipiec 2012 r.

Częstochowa, lipiec 2013 r.

Elżbieta Jolanta Gola

ZAWSZE MIEJ PRZED OCZAMI COŚ PIĘKNEGO

Obserwował samolot przylatujący z Paryża. Podziwiał te ogromne, żelazne ptaki unoszące w swych trzewiach setki ludzkich istnień, z ich marzeniami, smutkami i radościami.

Stojąc w oknie, zanurzał się we wspomnieniach, a nikły uśmiech rozjaśniał jego twarz o zdecydowanym zarysie szczęki i przenikliwym spojrzeniu brązowych oczu. W starym domu miał tajemne „gwiazdne wrota”. Przenikał nimi do wybranego dnia swojego życia i od nowa odbywał podróże do miejsc ulubionych. Rzeczywistość była tam łagodna, pastelowa i ciepła. Jak kotka, której podchodzenie wyczuwało się w dotyku i elegancji kociego kroku. Odnosił wrażenie, że wiele ich łączy, byli tak samo niezależni, oryginalni w swoim postępowaniu i nieprzewidywalni. Pan i jego kotka – arystokratka.

Kolejny dzień z reszty mojego życia – pomyślał nieoczekiwanie, głaszcząc puszyste futro kota. Czas na zmiany, od dzisiaj zacznę świętować poranki i zmierzchy.

Sięgnął do „Małego Poradnika Życia” H. Jacksona Browna, JR. Choć miał już swoje lata, zalecenia i maksymy, zawarte w tych niewielkich książeczkach wciąż go inspirowały. „Zawsze miej przed oczami coś pięknego, nawet jeśli to będzie stokrotka w szklance”.

Najbardziej lubił mieć przed oczyma interesujący widok. Nawet w hotelowym pokoju najpierw sprawdzał, co kryje się za oknem. Odbył już wiele podróży, ale wciąż planował nowe. Nie było istotne miejsce, choć kolekcjonował piękne widoki, lecz ludzie, jakich mógł tam spotkać. Fascynowały go ich charakter i życie nowo poznanych osób. Był wciąż ciekawy i gotowy na nowe wyzwania. Brown radził – „Zawsze znajdź czas, żeby spotkać kogoś nowego”.

Tego dnia powrócił do Wenecji. Na placu św. Marka spostrzegł wówczas kobietę w złotej masce. Jej idealna sylwetka i intrygujące spojrzenie przyprawiły go o gwałtowny wzrost ciśnienia. Błękitna barwa tęczyówek przyciągała

jak magnes, subtelny zapach perfum mieszał się z wonią miasta. Chciał pójść za nią, ale znikła za bramą bogato zdobionej kamienicy.

Karnawał w Wenecji jak zwykle nie zawiódł turystów. Uliczne bale prezentowały bogactwo strojów. Niezwykłe, kolorowe maki, odsłaniające czasem tylko oczy, dodawały magii chwilom spędzonym w wielobarwnym tłumie. Kostium maga i szczelna maska czyniły go zupełnie kimś innym. Anonimowość była fascynująca i pachniała bezkarnością. Ruszył w środek gęstniejącego, ludzkiego mrowiska. Każdy powinien choć raz w życiu doświadczyć tego uczucia – pomyślał. Zaglądał w oczy mijanym kobietom; dotykał ich rąk, czasami zbyt długo trzymał dłoń w dłoni. Nieznajome poddawały się tym niewinnym pieszczotom lub znikwały niepostrzeżenie, podążając w uprzedzonym przez siebie kierunku.

Muzyka rozkołysała korowód, poddał się jej rytmowi i pierwszy raz w życiu tańczył bez skrupowania. Choć się do tego nie przyznawał, wypatrywał błękitnych oczu i smukłej postaci. Wśród tłumu nastąpiło poruszenie, grupa tancerzy, ubranych w identyczne stroje, zajęła centralne miejsce placu. Akrobatyczno-taneczne wyczyny były perfekcyjnie zsynchronizowane z rytmiczną melodią. Pośród tancerzy spostrzegł piękną nieznajomą. Przysiadł na murku i nie spuszczał z niej oczu. Teraz już mu nie umknie, musi z nią porozmawiać. Był bardzo blisko, niemalże czuł jej oddech i zapach lśniących włosów. Jej giętkie, jakby wymodelowane przez rzeźbiarza, ciało było tak doskonałe, że poczuł ból w okolicy serca. Taniec zmierzał do finału, grupa rozciągnęła się w długiego węża i pomknęła wąską uliczką. Pobiegł za nimi, ale szybko zrezygnował. Zmieszany niedorzecznością całej sytuacji dotarł do hotelu. Zdjął pelerynę i podszedł do okna. Nagle zobaczył jej sylwetkę odbijającą się w wielkiej, wystawowej szybie. Wybiegł przed hotel, ona nadal tam stała. Trzymała w dłoni złotą maskę i spoglądała w jego stronę. Była... pięknym, pełnym głębi

obrazem godnym Rafaela. U jej stóp siedziały dwie dziewczynki, bliźniaczki. Odziedziczyły urodę po matce. Zdjął uśmiech wraz z maską i wszedł do najbliższej kafejki.

- Proszę podwójny koniak – zwrócił się do barmana. „Zawsze miej przed oczami coś pięknego” - przemknęło mu przez głowę. Muszę kupić kopię obrazu – pomyślał.

Na jego twarzy wciąż błąkał się uśmiech, a dłoń bezwiednie przygarniała futrzaną kulkę. Kotka spoglądała z udawaną obojętnością i łaskawie podstawiała puszysty łebek do drapania. Ciche mruczenie, sygnalizowało wysoki poziom zadowolenia. Dobrze się czuli w swoim towarzystwie, a czas leniwie płynął, aż do zmierzchu.

* * *

Nieznosny ból barku pozbawił go snu i rozpoczął wędrówkę od okna do okna. Gwiazdne wrota zachęcały do podróży w czasie.

To były lata osiemdziesiąte. Załoczony pociąg z Warszawy do Budapesztu wioził ludzi, nastawionych na drobny handel i uciechy, jakie oferowało im pachnące Zachodem miasto. Przedział szybko wypełniał się pasażerami, zajął miejsce przy oknie. Po drugiej stronie siedziała już kobieta, około trzydziestki. Wyróżniała się eleganckim ubiorem i niepowtarzalnym odcieniem zielonych oczu. Przysłonięta gazetą zdradzającą jej węgierskie pochodzenie, odcinała się od szarej rzeczywistości. Często rzucała w jego kierunku ukradkowe spojrzenie. Odpowiadał na nie cieniem uśmiechu. Długą podróż urozmaicał sobie pobytem na korytarzu. Kobieta często mu towarzyszyła. W milczeniu obserwowali uciekający, wiosenny krajobraz. Stojąc w wąskim przejściu, zmuszeni byli wciąż przepuszczać, przemieszczających się pasażerów. Ochraniał ją wtedy własnym ciałem, komunikując się za pomocą gestów i spojrzeń. Z każdą mijającą godziną narastała w nich wzajemna sympatia. Jestem Adam, przedstawił się, nieznajoma roześmiała się, ukazując piękne zęby. Podała mu dłoń, którą szybko zamknął w swoich rękach.

- Adam – powtórzyła i popatrzyła prosto w jego uśmiechnięte oczy.

Na zaparowanej szybie coś napisała.

- Marta, ładne imię – powiedział nie wypuszczając jej ręki.

Część podróży spędził, drzemiąc. Marta, otulona płaszczem, także spała. Zmęczone nogi oparła na brzegu siedzenia. Przysunął jej stopy i okrył kurtką. To był gest międzynarodowej przyjaźni? – uśmiechnął się do tej myśli, może, ale przede wszystkim „zawsze lubił mieć przed oczami coś pięknego”.

Charakterystyczne dla Budapesztu zabudowania zapowiadały koniec trasy. Dworzec Keleti wynurzał się z oparów porannej mgły. Ich dłonie spotkały się w długim, pożegnalnym uścisku, przytulił ją mocno do siebie. Marta wręczyła mu mapę Budapesztu, mówiąc coś w niezrozumiałym dla niego języku. Był pewny, że barwy jej oczu i uśmiechu nigdy nie zapomni.

Węgierscy koledzy czekali już na peronie. Konferencja dla architektów miała się wkrótce rozpocząć. Kilka dni upłynęło na wykładach, i dyskusjach do rana. Zwiedzanie zabytków kończyło się zwykle ucztowaniem, połączonym z degustowaniem dobrych roczników wina. Wiele kobiet chciało z nim nawiązać bliższy kontakt, ale wciąż miał w pamięci zielone oczy nieznajomej.

Stary dworzec wypełniał tłum oczekujących. Z różnych stron słychać było polski język. Zasiadł ponownie w pociągu z tabliczką – Warszawa. Układając na półce bagaż, spostrzegł w kieszonce walizki mapę. Zaraz ją rozłożył i... zobaczył czerwoną strzałkę nad Górą Gellerta. Były tam wypisane ich imiona- Marta i Adam, wczorajsza data i godzina. Miał o czym myśleć przez resztę drogi.

Każdej wiosny, przez kolejne dwa lata, szukał jej na tej górze. Był wtedy samotnym czterdziestolatkiem. Ożenił się późną jesienią; jego żona też ma wyjątkowy odcień zielonych oczu.

Kotka domagała się otwarcia drzwi. Wolnym, bezszelestnym krokiem, jak na arystokratkę przystało, przeszła na taras, ocierając bursztynowe futro o jego nogi. Stamtąd

pomknęła w bujną zieleń ogrodu.

* * *

Lubił wracać do minionych dni. Miał teraz mnóstwo czasu i nieodpartą potrzebę odwiedzania tamtych miejsc, odtwarzania minionych chwil. Nawet po latach powracały do niego obrazy wynurzające się z szufladek pamięci.

Kolejny wyjazd do Paryża zawsze poprawiał mu nastrój. Postanowił rozpocząć zwiedzanie od Montmartre – ulubionej dzielnicy artystów. Bywał tu już wielokrotnie, ale za każdym razem odkrywał nową, nieznaną uliczkę. Charakterystyczne, szerokie schody prowadziły do kościoła Sacre’-Coeur. Grupa młodych ludzi z gitarami okupowała wzgórze, śpiewając piosenki Beatlesów. Słuchał, ale wkrótce pochłonęła go panorama miasta. Rozpoznawał charakterystyczne budowle. Symetria ulic i przemyślana zabudowa dzielnic to była prawdziwa gratka dla architekta. Czuł się wspaniale, brakowało mu tylko jego towarzyszkę, jego bratniej duszy. Tak łatwo było z nią dzielić radość.

- O której kończysz zajęcia? – zapytał, usłyszawszy znajomy głos w telefonie.

Na horyzoncie pojawiła się tęczą; ciekawe, czy wyjdzie na zdjęciu. Długo wybierał interesujące go budynki i fotografował z różnych stron. Ktoś podszedł z tyłu i zakrył mu oczy.

- Już jesteś, martwiłem się czy mnie tu odnajdziesz. Ile masz czasu?

- Dzisiaj już skończyłam warsztaty – zarzuciła mu ręce na szyję.

- Takie powitanie – to rozumiem – przytulił ją mocno do siebie. – Mam kilka wolnych dni, co proponujesz? – wzięła go pod rękę. – Po południu moglibyśmy pójść do twojej ulubionej knajpki, chciałbym wreszcie poznać znajomych mojej dziewczyny.

- Świetny pomysł, Adam, zaraz do nich zadzwonię – wyjęła z torby telefon.

Wieczór upłynął w atmosferze wesołości. Nie było końca żartom i śpiewom. Choć jego francuski nie był perfekcyjny, rozumiał wszystkie anegdotki. Jej drobna dłoń ukryta w jego ręce ogrzewała mu serce. Przed północą pożegnali towarzystwo.

- Masz bardzo sympatycznych przyjaciół – po-

wiedział z uznaniem.

- Tak, Adamie, tylko takich wybieram – uśmiechnęła się tajemniczo.

Błękit nieba i słoneczna aura poranka nastrajały optymistycznie.

- Natali, chyba zamówiłaś pogodę na mój przyjazd – zapytał, otulając ją ramieniem.

- Oczywiście, nie masz pojęcia, jak trudne było to zadanie. Musiałam zanieść aż trzy podania z podpisem mera i dołączyć twój naukowy życiorys... – gestykulowała.

- Uwielbiam twój śmiech – pocałował ją w szyję.

- Co chcesz dzisiaj zobaczyć? – zapytała.

- Wybierzmy się do Luwru, chciałbym zgłębić tajemnicę uśmiechu Giocondy – wyszli na zalaną słońcem ulicę.

Usiedli przed obrazem. Natalia położyła głowę na jego ramieniu.

- Czy wiesz, mój skarbie, że dzieło Leonarda zostało uznane za ideał renesansowego portretu. Tajemniczy uśmiech żony florenckiego patrycjusza, od lat jest przedmiotem domysłów i komentarzy. Jak sądzisz, co się za nim kryje? – spojrzał na nią uważnym wzrokiem.

- Podejrzewam tajemnicę – powiedziała szepem. Popatrz, ja też mam taki uśmiech...

- Jesteś cudowna, gdyby nie ten tłum...- przytulił jej dłonie do swojej twarzy. – Czy wiesz, że ówcześni malarze, tworząc obraz, pokrywali go kilkudziesięcioma warstwami farby? – zapytał.

- Naprawdę? Nie wiedziałam. Teraz już jestem pewna, że po twojej wizycie zaskoczę moich przyjaciół sekretami dawnych mistrzów pędzla oraz tajnikami architektury.

- No tak, dopiero przyjechałem, a ona już myśli, co będzie po moim wyjeździe – roześmiał się.

- Nie żartuj, wiesz, jak pragnę być z tobą – skarciła go wzrokiem.

- Wiem, wiem, mój skarbie, no chodź tu bliżej – zamknął ją w swoich ramionach.

To było jakby wczoraj - zamyślił się. Mieszkanie przyjaciół usytuowane przy Placu St. Pierre, było przytulnym schronieniem. Za oknem rozpościerał się piękny widok na skwer Wilette. Przystanek metra, tuż za rogiem, uła-

twiał wyprawy do różnych zakątków miasta.

- Paryż to szczególne miejsce na mapie świata - powiedział, przypatrując się tarasowo położonym ogrodom. Pomyśleć, że nie powstałoby, gdyby nie Sekwana. Wokół rzeki rozrastało się miasto, Napoleon chciał uczynić je centrum świata. Dopiero jego następcom powiódł się ten plan - opowiadał. - Zerknij do mojego przewodnika, Natali - otworzył stronę z mapą Paryża.

- W kolejnych latach miasto stale rozbudowywało się. Przez siedemnaście lat baron Haussmann - prawnik i urzędnik państwowy kierował z pomocą wybitnych architektów i inżynierów kompleksową przebudową Paryża. Działo się to za rządów Napoleona III. Miasto wzbogaciło się wówczas o nowoczesny system wodny i kanalizacyjny oraz piękne ogrody i parki.

- Haussmann to niemieckie nazwisko?

- Nie, Natali, sądzą, że tureckie. Rodowód prawnika zakorzeniony jest bowiem w dynastii tureckich sułtanów.

- To ciekawe, uwielbiam cię słuchać, gdybyś był moim nauczycielem historii, byłabym już pewnie na etapie otwarcia doktoratu...- uśmiechała się z czułością.

- Nie przesadzaj. Sądzą jednak, że na tempo przyswajania wiedzy duży wpływ ma poziom zaangażowania słuchacza, ale nie bez znaczenia jest również poznawanie historii w miejscu jej powstawania. Jutro, jeśli się zgodzisz, wybierzemy się w okolice Łuku Triumfalnego.

- Zgoda, jesteś moim cicerone - stwierdziła z rozbijającym uśmiechem.

- Ta budowla za każdym razem wywiera na mnie ogromne wrażenie - zamilkł na chwilę. - Została wzniesiona dla uczczenia zwycięstw armii Napoleona. Na jednej z arkad wyryto nazwiska sześciuset oficerów cesarskiej armii. Wyobraź sobie, że wśród nich są nazwiska siedmiu polskich oficerów.

- Adam, zawsze szukasz naszych rodaków? - zapytała zaintrygowana.

- Oczywiście, kochanie, niewiele jest miejsc na świecie, gdzie nie dotarli - powiedział z dumą.

- Teraz już zawsze będziesz mi się kojarzył z tym miejscem. Adam, daj mi rękę, chcę się w niej ukryć.

- Wiesz, Natali, wyglądamy jak dwa koniki polne przy tym pięćdziesięciometrowym gigan-cie. Gdybyśmy mogli wznieść się helikopterem nad Łukiem, zobaczyłabyś, jak promieniście rozchodzi się dwanaście alei od placu Charlesa de Gaulle'a. Jeśli dobrze pamiętam, czwartego lipca słońce tworzy złoty most pod Łukiem Triumfalnym i Wielkim Łukiem. Ten drugi, zwany potocznie Łukiem Braterstwa, został zbudowany naprzeciwko, właśnie dla tego widoku.

- Skąd znasz takie szczegóły? Mieszkam tu już cztery lata, a po raz pierwszy o tym słyszę.

- Po prostu, zdobyłaś serce dobrego przewodnika, a mnie interesuje to miasto - skonstatował.

- Wiesz, że zawsze lubię mieć przed oczyma coś pięknego. Przede wszystkim... ciebie, a potem Łuk Triumfalny. Chciałbym kiedyś dłużej tu pomieszkać. Paryż ma wyjątkową atmosferę i przede wszystkim można tu spotkać wyjątkowych ludzi.

- Już czuję się wyjątkowo - powiedziała Natalia z błyskiem w oku. - Wiesz, Adamie, co jest dla mnie w Paryżu najważniejsze? Ty. Jesteś od dzisiaj moim Łukiem Triumfalnym, a ja będę Łukiem Braterstwa, więc pamiętaj, każdego roku, choćbyśmy byli daleko od siebie, połączmy nas słoneczny most.

- Moja cudna, wspaniale to wymyśliłaś, należy ci się całus. Opowiedz, jak ci poszły ostatnie zajęcia? - stali, patrząc sobie w oczy.

- Chodźmy na spacer, opowiem ci po drodze. Słyszałeś o metodzie Hellingera, wybitnego współczesnego psychoterapeuty? - zapytała.

- Nie słyszałem - stwierdził.

- Najogólniej mówiąc, jest to uzdrawianie związków za pomocą ustawień rodzinnych. Nie wyobrażasz sobie, jakie rezultaty można osiągnąć przy pomocy tej metody.

- Opowiedz proszę, zaintrygowałaś mnie, ale idźmy nieco wolniej.

- Bert Hellinger rozwinął oryginalną metodę

pomocy psychologicznej, która ma na celu uporządkowanie poplątanych, na przestrzeni kilku pokoleń, więzi rodzinnych. Nazwał ją ustawieniami rodzinnymi. Jego biografia też jest bardzo interesująca. Ten niemiecki psycho-terapeuta twierdzi, że udany związek jest tym, czego dwoje ludzi najbardziej oczekuje w życiu. Jego obserwacje są zadziwiające. Choćby sprawa wybaczenia. Kto zbyt wiele wybacza, staje się sprawcą. Otrzymujący przebaczenie traci partnerską pozycję; na skutek braku równowagi popada w coraz większy dyskomfort. Wtedy łatwo popełnia te same błędy. W szczęśliwych związkach dużo przepływa w obie strony. Jeśli jeden z partnerów daje coś dobrego drugiemu, obdarowany pragnie się odwzajemnić; ponieważ kocha, daje więcej niż dostał. W ten sposób rośnie miłość i powstają warunki do osiągnięcia pełnego szczęścia. Cieszę się z poznania tej metody; będzie bardzo pomocna w mojej pracy. W naszej świetlicy terapeutycznej mamy mnóstwo problemów z młodymi, zagubionymi ludźmi - opowiadała z wypiekami na twarzy.

- Lubię na ciebie patrzeć, jak jesteś taka za-
aferowana. A` propos, co sądzisz o naszym
związku? - wzięła ją za rękę.

- Niech pomyślę, mój... Łuku Triumfalny,
zważywszy, że widujemy się teraz co trzy, cztery
tygodnie, oceniam nasz związek jako niezwy-
kle harmonijny... w dawaniu i braniu. Dlatego
też jutro ja cię zapraszam na kolację. Wybrałam
restaurację La Coupole w dzielnicy Montpar-
nasse. W latach trzydziestych urzędowała tam
cała ówczesna cyganeria. Stałymi bywalcami
byli: Hemingway, Picasso, Modigliani. Nie-
dawno widziałam tam Romana Polańskiego.

- No proszę, moja dziewczyna obraca się w
wielkim świecie. Gdyby żył Modigliani, chciał-
by cię namalować, kocham twoją twarz.

- Dobrze, ty mnie zapraszasz, ale ja płacę, nie
ustąpię, nawet nie próbuj mnie przekonać -
zrobił surową minę.

- Tak dziwnie na mnie patrzysz; o czym teraz
pomyślałeś - posmutniała.

- Wiesz, Natali, często mi się śnisz. W tych
snach ciągle cię szukam, przedzieram się przez
gigantyczne chaszcze, gonią mnie lwy. Muszę

chyba przejść na lekkostrawne kolacje. No, nie
śmiej się ze mnie...

- Taki racjonalista, a przejmuję się snami, nie
mogę uwierzyć, Adamie.

Nazajutrz, delektując się typowo francu-
skim śniadaniem, rozmawiali o minionym
dniu.

- Wczorajsza kolacja była bardzo elegancka,
żałowałem, że nie mam smokingu.

- Nie przesadzaj, dobrze wyglądałeś w spor-
towej marynarce. Najważniejsze są: świeża
koszula, czyste włosy i buty - wyliczała.

- To już koniec? Oddycham z ulgą, mieszczę
się w tych kryteriach? - spojrzał rozbawiony.

- Bardzo się mieścisz - pogłaskała jego dłoń.

- Nie mogę uwierzyć, Natali, że już jutro wy-
jeżdżam - powiedział nagle ze smutkiem.

- Ja także, naprawdę musisz? - spoważniała.

- Muszę, ojciec jest chory, a pracownia bez
nadzoru pracuje na zwolnionych obrotach. Jeśli
wszystko ułoży się po mojej myśli, za trzy
tygodnie zobaczymy się, a może ty przyjedziesz?
- zapytał z nadzieją w głosie.

- Mam pewne plany zawodowe, przecież ci
opowiadałam, ale będę czekać. Zadzwoń jak
tylko wylądujesz w Warszawie.

- Nie musiałś tego mówić, zadzwonię, na
pewno.

To był szczęśliwy okres w jego życiu. Wciąż
ma przed oczyma zagadkowy uśmiech Natalii
usiłującej naśladować wyraz twarzy Giocondy.

W następnym roku wyjechała na dwa mie-
siące do Kenii z misją humanitarną i zaginęła.

Kotka dotykała różowym języczkiem jego
dłoni, domagając się głaskania. Delikatnie
chwyciła łapkami jego rękę, prosząc o dalsze
pieszczoty. Prawdziwa kobieta - pomyślał,
zawsze nienasycona.

* * *

Od rana prześladowała go melodia Sewe-
ryna Krajewskiego i tekst Agnieszki Osieckiej:

„Nie lubię niedziel bez Ciebie

*I wolnych sobót i świąt
Jak smutny księżyc po niebie
Wędruję z morza na ląd
Po słonecznej stronie dnia
Żyją tylko słowa dwa- Ty i ja
To Ty i ja
A po ciemnej stronie drzew
Mieszka żal i czarna krew
I ból, i gniew, i łza...”*

Nie mógł się wyzwolić od tych słów, usiadł przy pianinie, a dźwięki toczyły się już same jak krople deszczu po szybie. Kotka bezszelustnie rozłożyła swoje wdzięki na jego stopie. Uśmiechnął się do niej, a ona uniosła łapkę, jakby chciała powiedzieć - graj dalej...

Nowa koncepcja kołatała mu się w głowie. Biała plansza czekała, by wypełnił ją projektem małego dworku. Zadanie nie było łatwe. Musiał uwzględnić nietypowe nachylenie terenu, zadbać, aby z okien roztaczał się piękny widok na okolicę. Drzewa wokół domu powinny dostarczać potrzebny cień, tworząc o każdej porze roku barwny element krajobrazu.

Melodia przepływała łagodnie, uspokajając rozdygotane od poranka serce. Tekst piosenki przypomniawszy mu tamto lato. Na życzenie węgierskich kolegów konferencję zorganizowano w zabytkowym polskim mieście. Barokowe pałace i Ogród Botaniczny były niewątpliwymi atutami. Już pierwszego dnia zwrócił na nią uwagę. Siedziała w jadalni, przy sąsiednim stoliku. Miał jej twarz codziennie przed sobą. Czasami spotykały się ich oczy.

Docierały do niego strzępy rozmów. Przeważnie o literaturze i ulubionych powieściach, klasyków tego gatunku. Brzmienie jej głosu dźwięczało mu w uszach jeszcze długo po odejściu od stolika. Była niepodobna do żadnej z dotychczas poznanych kobiet. Najbardziej interesowało ją, jaki rodzaj literatury uznają rozmówcy za najciekawszy, a także z jaką książką nie mogą się rozstać. Nie wyglądała na bibliotekarkę, a tylko o książkach chciała rozmawiać. Odniósł wrażenie, że ludzi

traktowała, jak nowe powieści, z ogromnym zaciekawieniem. Do jednych ledwie zajrzała, inne chciała skrupulatnie studiować, jakby chciała dopisać dalszy ciąg. Każdy miał przecież własną historię; mniej lub bardziej ciekawą, ale niepowtarzalną.

Konferencja połączona była z wypoczynkiem i miała trwać dwa tygodnie. Spacerując alejkami parku, rozglądał się za miłośniczką literatury. Spostrzegł ją na ławce; pochłonięta była lekturą. Usiadł obok i rozpoczął rozmowę.

- Uczestniczymy chyba w tym samym szkoleniu? Chciałbym się przedstawić, nazywam się Adam Zarzycki – skłonił się szarmancko.

- Ja reprezentuję organizatora – Julia Nowicka. Dbam tutaj o sprawność sprzętu audio i komputerów, jestem informatykiem – spojrzała zaciekawiona.

- Nigdy bym nie podejrzewał, że reprezentuje pani świat umysłów ścisłych. Życie jest pełne niespodzianek. Dokąd pani spieszy, mogę towarzyszyć? – wstał również z ławki.

- Proszę, zawsze o tej porze mam przerwę i przychodzę tu karmić łabędzie i kaczki. Ładnie tutaj, prawda? Proszę spojrzeć, widzi pan, jak są pięknie ubarwione?

- Nie wiem dlaczego, ale tylko pani twarz mam ciągle przed oczami – uśmiechnął się zakłopotany.

- Proszę nie żartować, niech pan spojrzy, płyną zawsze parami – spojrzeli na roziskrzoną słońcem taflę wody, w której przeglądały się dwie pary białych łabędzi i stado kaczek.

- Jak wyjątkowo dobrane małżeństwa... to chciała pani powiedzieć?

- Obserwuję je od dawna, wciąż trzymają się razem – popatrzyła mu prosto w oczy. – O proszę, widzi pan? Założyła słoneczne okulary, ukrywając swoje rosnące zaciekawienie.

Para łabędzi płynęła wolno i dostojnie; zatoczyły koło i zatrzymały się przed nimi. Dziobkami zaczęły muskać swoje śnieżnobiałe szyje i głowy. Nagle wzbily się z trzepotem skrzydeł, rozpylając w powietrzu deszcz kropel, by po chwili znowu osiąść na lustrze jeziora.

- Widocznie mają wspólne zainteresowania i to

samo poczucie humoru – wyliczał, obserwując jej reakcję i dodał – jestem przekonany, że przyjaźnią się ze sobą.

- Na pewno rozmawiamy o łabędziach? – spojrzała na niego z uwagą. To byłaby świetna ankieta dla kandydatów na małżonków. Szkoda, że .. nic, nic, nieważne. Proszę mi powiedzieć, co pana wzrusza?

- Ciekawe pytanie, czyżby to był test? Co mnie wzrusza... hm, muzyka klasyczna, a dalej – piękny widok, moja dewiza życiowa to „zawsze miej przed oczyma coś pięknego”. Następnie architektura epoki renesansu i dobry obraz, obowiązkowo w ciepłych barwach. Ach, jeszcze... lzy w oczach dzieci i ...byłbym zapomniał, ostatnio teksty Osieckiej. Na przykład taki, stosowny do dzisiejszej pogody – zanucił:

*„Mija młodość jak woda
Czoło chmurzy się częściej
A tu nagle pogoda,
Taka dobra pogoda
Odpowiednia pogoda
Na szczęście”*

- Pan mnie zaskakuje, ja także mam kilka ulubionych tekstów Agnieszki Osieckiej. Przepraszam, muszę już wracać do hotelu – wyciągnęła rękę na pożegnanie.

- Mogę panią zaprosić jutro na szarlotkę? Mają tu wyśmienitą, w dodatku podają na ciepło, z bitą śmietaną. Zapewniam, długo będzie pani wspominać ten smak – zachwalał, nie wypuszczając jej ręki. – Mam dziwne przeczucie, że nie tylko smak szarlotki..., kawa też jest tam doskonała.

- Zgoda, jutro, po wykładach. Spotkajmy się w kawiarni – zdjęła okulary i oddaliła się lekkim krokiem.

Usiadł na ławce podekscytowany jak sztućbak. Nie wiedział, co go do niej tak przyciągało. Coś w sobie miała, jakiś kosmiczny magnes. Była tak delikatna i krucha, że czuł się za nią odpowiedzialny. – Ja chyba zwariowałem.

Melodia znowu powróciła, niczym natrętna mucha:

*„Nie lubię deszczu bez Ciebie
I długiej zimy i mgły...”*

Przytulna kawiarnia pełna była obrazów i małych bibelotów. Aromat kawy unosił się wokół, jak w dawnych cukierniach, gdzie brązowe ziarna mielono tuż przed parzeniem. Przyglądali się sobie z zaciekawieniem. Wydawało mu się, że zna ją od wieków. Była wyraźnie speszona jego natarczym spojrzeniem.

- Czy mogę ci mówić po imieniu? Choć jestem starszy, uważam, że to zbyt staroświeckie zwracać się przez „Pani”.

- Naturalnie, proszę, powiedz mi, jaką książkę zabrałbyś na bezludną wyspę – zapytała, całkiem poważnie.

- Spodziewałem się takiego pytania. Mam taką ulubioną, biografię, ale na bezludnej wyspie..., hm..., najstosowniejszą byłaby książka mojego imiennika – Adama Słodowego – „Zrób to sam”. Zaśmiewali się do łez, budząc zdumienie otoczenia. Wciąż brzmi mu w uszach ich śmiech. Miał wrażenie, że są parą starych przyjaciół i zaraz zaczną wspominać szkolne miłości i kawały, jakie robili nauczycielom.

- Jutro jest koncert w Filharmonii, pójdziesz ze mną, Julio? – pochylił się w jej kierunku.

- Kto będzie występował – zapytała.

- Duet fortepianowy, mają w programie muzykę filmową w autorskiej aranżacji.

- Chętnie, zobaczę, co mam na jutro w planie – zerknęła do notatnika. – Co tu napisałam... tak, mam wolny wieczór – odpowiedziała zamyślona.

Dwie pary, spośród członków szkolenia przyłączyły się do nich. Nie był zadowolony z towarzystwa.

- Adam, lubisz grać w monopol – zapytała poważnie.

Zerknął zdziwiony, ale po chwili roześmiał się szczerze. – Aż tak to wygląda...

- Tak... monopolisto!

Zastłuchana, nie zauważyła, kiedy wziął ją za rękę.

- Julio, masz ochotę na koniak? Hotelowy bar jest jeszcze czynny – nie spuszczał z niej oczu.

- Dobrze, pod warunkiem, że opowiesz mi o sobie. Taki mężczyzna jak ty, inteligentny i znający świat, musi mieć barwną przeszłość. Masz ciekawy zawód i jestem przekonana, dużo przeżyłeś. Na pewno wiele niecodziennych historii mógłbyś mi opowiedzieć. Proszę chociaż o jedną opowieść.

- Co za charakterystyka, jestem pod wrażeniem, Julio. Cóż, większość moich historii ma smutne zakończenie. Muszę jednak coś ci wyjaśnić, ja nie chcę się chwalić, mam tylko nadzieję, że dzięki nim poznasz mnie lepiej. Dzisiaj opowiem ci o... karnawale w Wenecji. Byłaś tam kiedyś?

- Nie, choć znam miasto z kilku filmów, ale opowiadaj – wpatrywała się w niego jakby chciała rozszyfrować, kim jest naprawdę.

- Byłaś kiedyś na balu maskowym? Polecam ci, to niezwykle doświadczenie.

„Okryty peleryną i niemalże niewidzialny pod wenecką maską wmieszałem się w roztańczony tłum...”

- I nie spotkałeś jej później? – zapytała.

- Nawet nie szukałem. Zapomniałem dodać, że na tym portrecie, u jej stóp siedziały dwie prześliczne dziewczynki, bliźniaczki. Miały identyczne rysy twarzy, po matce. Zdobyłem kopię obrazu, ale ktoś mi go ukradł podczas remontu domu.

- Tak plastycznie odtworzyłeś klimat weneckiego karnawału, że mam wrażenie, jakbym tam była – powiedziała, zakręcając na palcu długie, jasne włosy.

- Jeśli umówisz się ze mną, opowiem ci jutro o podróży do Budapesztu – stwierdził przekonnie.

- Jesteś przebiegły, ale znasz kobiecą naturę, już jestem ciekawa. Może o siedemnastej, będę już po wszystkich zajęciach – spojrzała na niego filuternie.

- Gorąca czekolada była wyśmienita, ale czuję, Adam, jakby ktoś podłączył mi turbodoładowanie, chyba nawet mam rumieńce, co rzadko mi się zdarza.

- Ja też tak się czuję, Julio. Chyba za dużo jej

wypiliśmy. Teraz trzeba ją rozcieńczyć wodą mineralną, bo ... możemy wybuchnąć... No, nie śmiej się, chociaż muszę przyznać, lubię, jak się śmiejesz...- pocałował wnętrze jej dłoni.

- Nie zagaduj, czekam na kolejną opowieść – uśmiechnęła się rozbrajająco.

- Już zaczynam, posłuchaj – usiadł wygodnie w fotelu.

„To były lata osiemdziesiąte. Planowane sympozjum nasi przyjaciele, architekci zorganizowali w stolicy swojego kraju, Budapeszcie. Podróżowało się wtedy głównie pociągami. Właśnie zająłem miejsce przy oknie, zawsze lubię mieć przed oczyma piękne widoki”...

- Nie napisała na mapie swojego nazwiska? Mógłbyś próbować ją odnaleźć przez swoich węgierskich kolegów – była wyraźnie przejęta.

- Niestety, najwidoczniej nie była mi przeznaczona, choć moje małżeństwo nie udało się, trochę przez nią, ale to naprawdę stare dzieje...

- schował jej dłonie w swoich rękach.

- Na jutro zaplanowano wycieczkę do Kazimierza, wybierasz się? – zapytała.

- Chętnie, nie miałem okazji poznać tego miasta – wciąż nie spuszczał z niej oczu.

- Warto je zwiedzić, choćby dla słynnego rynku i widoków z ruin zamku na Wisłę. Byłam tam kilka lat temu z moim ojcem. To była jego ostatnia podróż... Opowiesz mi po drodze, co się dalej z tobą działo – patrzyła na niego zaintrygowana.

- Może, jak będę w nastroju. Pod warunkiem, że będziesz mnie trzymać za rękę – uśmiechnął się chytrze.

- Adam, jesteś niemożliwy – popatrzyła mu w oczy z rodzącą się czułością.

- Jestem, przyznaję, czasem jestem – pochylił głowę z udawanym smutkiem.

Byłem od roku rozwiedziony, kiedy otrzymałem od kuzyna propozycję zaprojektowania na peryferiach Paryża rezydencji wraz z dużym ogrodem. Jego przyjaciele z kręgów rządowych dysponowali dużą kasą. Mogłem się wyżywać w pracy i trochę zapomnieć. Po roku na koncercie piosenek Edith Piaf poznałem Natali. Była Polką, ale lubiłem zwracać się do niej tak,

jak jej paryscy przyjaciele. Byliśmy razem... trzy wiosny i dwie zimy. Zawsze o niej myślę czwartego lipca, wtedy słońce świeci pod Łukiem Triumfalnym...

- To straszne. Nie domyślasz się, co się mogło wydarzyć – wzięła go za rękę.

- Były różne poszlaki, ale nie chcę tego wspominać. To zbyt bolesne. Minęło już osiem lat, od tamtej pory nie byłem w Paryżu, choć mówiłem ci, jak lubię to miasto. Długo byłem w strasznej depresji...- odwrócił twarz do okna, by ukryć toczącą się po policzku łzę.

Dwa tygodnie minęły jak popołudnie. Pożegnali się w recepcji hotelu.

- Julio, nie odprowadzaj mnie, to zbyt trudne. Czekam na daleką drogę, ale będę dzwonił z każdego postoju.

- Jedź ostrożnie, Adam. Pamiętaj, będę o tobie myśleć i czekać, co postanowisz – pobiegła na górę, do swojego pokoju, by nie widział jej rozpacz.

- Julio? Co u Ciebie słychać – zapytał ze smutkiem w głosie.

- Wciąż to samo, pracuję, siedzę w książkach i cholernie tęsknię za tobą – powiedziała rozdrażniona.

- Ja także, ja także. I co my z tym zrobimy?

- Z tym? Co my zrobimy z nami i taką tęsknotą? – była wyraźnie rozżalona.

- Ale ja jestem dla ciebie za stary – niemalże wykrzyczał.

- Stary może być koń, a ty masz dwie nogi i renesansową głowę na karku – wyrecytowała jak wyuczoną lekcję.

- Dobrze, dobrze, ty się porządnie zastanów, ile nam jeszcze zostało takich dni, „*takiej dobrej pogody, odpowiedniej pogody na szczęście...*”

-Będę cię odwiedzał, przynajmniej raz w roku – powiedział bardzo cicho. Gdyby był młodszy, nie zostawiłby cię nawet na chwilę.

- Dzień dobry, Julio, mogę do ciebie dzwonić? – wyczuła smutek w jego głosie.

- Codziennie czekam i wciąż nasłuchuję, czy dzwoni telefon – odpowiedziała po chwili.

- Opowiedz mi, co teraz czytasz? – zapytał, by zmienić temat.

- Przeglądam ponownie „Listy Proroka”. Pisał je przez blisko 20 lat libański malarz, filozof i pisarz do swojej przyjaciółki – Mary Haskell. Kiedy je czytam, staję się spokojniejsza. Odnajduję w tych listach to, co i nas wiąże najmocniej – braterstwo dusz i tę niezwykłą nic porozumienia, która tak rzadko łączy dwoje ludzi.

- Bardzo mnie cieszy, że w ten sposób myślisz o nas. Słyszysz, jak mocno bije moje serce; zawsze, gdy rozmawiamy, wstępuje we mnie taka energia, że mógłbym robić coś szalonego.

- Słyszę i czuję, choć jesteś tak daleko – uśmiechała się przez łzy.

Jakie to dziecinne, mieć mokre oczy, gdy tak cudnie świeci słońce. Minęło kilka zim, a ja codziennie cieszę się, że możemy chociaż słuchać swoich głosów. Dzieli nas znaczna odległość, ale odnoszę wrażenie, że jesteśmy absolutną jednością. Myślę o niej, gdy czytam, piszę lub kreślę nowy projekt. Wczoraj otrzymałem kolejny list i książkę. Zawsze czytamy razem, choć osobno i dedykujemy sobie wybrane strony. Jej głos jest jak dotyk ciepłej dłoni; ogrzewa moje serce i dodaje skrzydeł. Często patrzę na nasze zdjęcia z tamtego miasta i uśmiecham się z czułością. Jestem przekonany, że w tym samym czasie twarz Julii rozjaśnia promienny uśmiech. Nawet w wyobraźni – zawsze lubię mieć przed oczyma coś pięknego...

Kotka wskoczyła na klawiaturę pianina, wyrывая go z zamyślenia. – No już dobrze, zagram ci jeszcze raz tamtą melodię. Julia też za nią przepada.

Częstochowa, 14 luty 2008 r.

Elżbieta Jolanta Gola

W opowiadaniu zacytowano fragmenty dwóch tekstów Agnieszki Osieckiej:

*Nie lubię niedziel bez ciebie
Dobra pogoda na szczęście*

Zbigniew Myga

KOTEK

Wiosna 1961 roku. Jak zwykle rodzina myślała o wyjeździe na wakacje, oczywiście do Jastarni. Tym razem jednak czekała nas dodatkowa atrakcja. Wiadomość, że Haśka zamierza wrócić ze Stanów wywołała mieszane uczucia. Z jednej strony cieszyliśmy się, że znowu będzie z nami, ale z rozmów między rodzicami wyglądała niepewność, czy aby dobrze robi. Przecież mogła studiować w Kalifornii, miała zapewnione stypendium na uniwersytecie Stanforda, a jednak tęsknota za krajem, rodziną, znajomymi – przeważała. Zdawaliśmy sobie sprawę, że nie ma to wiele wspólnego ze zdrowym rozsądkiem, ale ponieważ nikt się takowego po Haśce nie spodziewał, z niekłamaną radością czekaliśmy na chwilę spotkania.

W Jastarni wynajmowaliśmy pokój u zawiadowcy stacji kolejowej. Bardzo blisko morza, tuż za torami, a właściwie torem, bo był jeden i aż trzy pociągi na dobę, zaczynał się wąski pas lasu, dalej wydmy i plaża. Tuż za peronem zaczynała się ścieżka, na przelaj przez tory, potem trzeba było pokonać dziurę w betonowym płocie i dalej przez laszek złożony z rachitycznych sosenek do przejścia na plażę. W sumie pięć minut drogi. Nasz pokój przypominał trochę salę szpitalną, pięć metalowych łóżek na powierzchni około dwudziestu metrów kwadratowych, szafa, stół i parę krzeseł zagracały go do granic możliwości, ale w końcu w pokoju bywało się rzadko. Nie wiem, czemu, ale czy to aura była łaskawsza, czy moja pamięć osłabła, fakt, że nie pamiętam deszczowych dni.

W końcu nadszedł dzień przyjazdu Haśki. Rano pojechaliśmy do Gdyni, ojciec wynajął pokój w hotelu, by miała gdzie ogarnąć się po podróży, a na dworcu morskim zameldowaliśmy się sporo wcześniej, by razem z tłumem oczekujących obejrzeć wejście Batorego do portu. Najpierw staliśmy na na-

brzeżu, wytrzeszczając oczy, czy aby ktoś nie dostrzeże jej na pokładzie, a potem przeszliśmy do hali dworca. Odprawa pasażerów ciągnęła się w nieskończoność, a przynajmniej tak mi się wydawało. W końcu po dwóch a może nawet trzech godzinach Haśka pokazała się na schodach. Pewnie tam nie wolno było wchodzić, ale przebiłem się przez szpaler publiczności i dopadłem Haškę, która stanęła w połowie schodów i wpatrywała się w tłum. Wyglądała zupełnie inaczej, niż ją zapamiętałem. Przede wszystkim zmieniła fryzurę. Zawsze nosiła długie, lekko pokręcone włosy, tym razem obcięta była na krótko i wydawało mi się, że zmaląła. Pamiętam nawet – chyba – żółty płaszczik zapięty pod szyję. Resztę ceremonii powitalnej pamiętam jak przez mgłę, wielu różnych ludzi wokół Haški, a ja dostałem pierwszego w życiu banana i zostałem odstawiony na boczny tor.

Dopiero wieczorem, już w naszym „szpitalnym” pokoju w Jastarni, mogliśmy się nacieszyć naszą siostrą. Wiem, że koniecznie chciałem, by powiedziała coś po angielsku. Właśnie to jakimś cudem wydawało mi się najistotniejszym śladem pobytu na obczyźnie. No i najistotniejsze – Haśka przywiozła mi prezent – przedmiot marzeń. Było to radio tranzystorowe firmy „Emerson” – jak na nasze warunki zupełnie cudowne, na dodatek wyposażone w słuchawkę wkładaną do ucha. W porównaniu z „Szarotką” dostępną w Polsce był to szczyt nowoczesności. Małe, w turkusowym kolorze, zapakowane w skórzany futerał. Służyło mi przez dwadzieścia lat, do chwili, aż zestarzało się technicznie, ale grało do końca.

Nasz gospodarz zawiadowca poza tym, że przyjmował te marne trzy pociągi na dobę, w wolnym czasie prowadził inną działalność gospodarczą, a mianowicie hodował zwierzaki futerkowe – lisy i norki. Staralem się uczestniczyć w karmieniu, które odbywało się dwa razy dziennie i pomagałem przy robieniu karmy. Świeże ryby prosto z kutra mielone były w olbrzymiej maszynie do mięsa. Zamaszyscie

kręciłem korbą i nie była to wcale łatwa praca, bo na jeden raz zużywało się cztery wiadra tej rybnej masy, ale w tej całej sprawie nie są istotne norki tylko koty, które w sporej ilości kręciły się pod nogami i skrzętnie wyjadały wszystko, co spadło na podłogę. Koty żyły sobie właściwie na własną łapę, nikt z domowników się nimi nie interesował, nie głaskał, nie dotykał, były po prostu dzikie, mimo że wychowane wśród ludzi.

Haśka, która – jak powszechnie wiadomo – była miłośniczką kotów, upatrzyła sobie szczególnie urodziwego kociaka. Około trzymiesięczny, czarny jak smoła – dosłownie szczyt kociej urody. Koniecznie chciała zawrzeć z nim bliższą znajomość, ale kociak nie miał na to najmniejszej ochoty, uciekał co sił w łapkach. Rozpoczęło się regularne polowanie, w którym udział brali siostra Małgorzata, kuzyn Andrzej, dzieci gospodarzy i oczywiście ja. Wszystkie metody takie jak polowanie z nagonką, na przynętę, łapanie w sieć – były nieskuteczne. Kociak był niezwykle sprytny i pomysłowy. Zagoniony do łazienki potrafił się tak wepchnąć pod wannę, że nijak nie dało się go wydobyć. Mniej więcej po tygodniu usiłowania zostały uwieńczone sukcesem. Kocię wlaźło do worka zwabione kawałkiem ryby. Siostra Małgorzata z kuzynem Andrzejem przynieśli zdobycz do pokoju, gdzie reszta rodziny jeszcze wylegiwała się w łóżkach.

Małgorzata z wyrazem triumfu w oczach wysypała zawartość worka na pościel Haśki. Mała, czarna, maksymalnie wystraszona kulka najeżyła się od pyszczka po koniec ogonka i trwała w bezruchu. Haśka wyciągnęła rękę, a kociaczek bezceremonialnie ugryzł ją w palec. Kocie zębki

przebiły paznokcie na wylot. Krew się lała, Haśka z wrzaskiem wykonała skok na moje łóżko, rodzice rzucili się na ratunek. Za chwilę matka miała pogryzione ręce, ojciec również, Małgorzacie i Andrzejowi też się dostało. Tylko ja wyszedłem z tego bez szwanku. Kociak dostał szafu, gryzł i drapał wszystko, co stało mu na drodze. W końcu wlaź pod szafę i znieruchomiał w najczarniejszym kącie. Kiedy ojciec usiłował odsunąć szafę od ściany, kot przemieszczał się wraz z meblem, a chyba nie trzeba dodawać, że nikt nie chciał zaryzykować zbliżenia ręki do kociej paszczy. Dopiero po półgodzinnych zabiegach udało się go wypłoszyć spod szafy i wymieść z pokoju przy pomocy szczotki na długim kiju. Dodam, że cała operacja musiała być przeprowadzona delikatnie, żeby nie daj Boże włos z kociego ogona nie spadł, bo dopiero wtedy byłoby w domu prawdziwe piekło.

Do końca wakacji rodzina chodziła oplastrowana, a domowe, dzikie koty wiodły spokojny żywot.

Zbigniew Myga



„[...] TO [...] CHWYTANIE STRĄCONEJ ZE STOŁU SZKLANKI” – O WIDZENIU ŚWIATA PRZEZ OBIEKTYW Z JACKIEM KONIECZNYM ROZMAWIA ALEKSANDRA KELLER

Aleksandra Keller: Widzenie świata przez obiektyw – czym różni się od patrzenia okiem, w czym tkwi ta różnica?

Jacek Konieczny: Istnieje wielka różnica pomiędzy patrzeniem, a widzeniem. Jeżeli tylko patrzymy, niczego nie widząc, to nie ma znaczenia, czy robimy to przez obiektyw aparatu, dziurkę od klucza lub różowe okulary – przed nami będą przesuwają się jedynie bezrefleksyjne sceny, konglomerat przedmiotów, bezład. Jeżeli natomiast nauczymy się widzieć, to obiektyw stanie się narzędziem, które pomoże uporządkować chaos. Obraz zatrzymany w kadrze to pewien wycinek rzeczywistości, na którym fotograf skupił uwagę – swoją i widza. I taki obrazek jakże wiele mówi o samym fotografie – co jest dla niego ważne, co go bawi, co zasmuca, czy szanuje drugiego człowieka, czy jest wrażliwy...

Jak wyczuć odpowiedni moment, by zwolnić spust migawki? Co sprawia, że zdjęcie powstaje w danym momencie? Co sprawia, że zdjęcie w ogóle powstaje?

Obawiam się, że nie istnieje precyzyjna definicja „odpowiedniego momentu”. Ojciec fotografii reportażowej, Henri Cartier-Bresson, w roku 1955 wystawił swoje niezwykle, jak na owe czasy, prace w Luwrze (była to pierwsza w historii tej szacownej instytucji wystawa fotograficzna) i nadał jej tytuł *The Decisive Moment* – Decydujący Moment. Do dzisiaj jest to Biblia wszystkich tych, którzy chcą opowiadać o świecie i zachodzących w nim procesach za pośrednictwem nieruchomego obrazu.

Uważam, że każda sytuacja, każde zdarzenie, ma swój moment kulminacyjny – apogeum, które stanowi o istocie rzeczy. I największą sztuką jest wyłuskać z rzeki czasu ten

ułamek sekundy, który zatrzymany w kadrze spowoduje u widza wrażenie, że stał się on *genius loci*, że wie, co wydarzyło się przed chwilą, ale również co stanie się za moment. Jednakże aby odbiór był niezakłócony, by obraz mógł najpełniej zawładnąć naszą świadomością musi on być również doskonały w formie – właściwa kompozycja, odpowiednia gra światła, zrozumiałe symbole i atrybuty. Jednym słowem pełna harmonia.

Zdjęcia powstają w mojej głowie. I dopiero po zakończeniu tego procesu mózg wysyła odpowiedni impuls do palca zsynchronizowanego z okiem przyklejonym do wizjera aparatu. Cała operacja trwa zazwyczaj na tyle krótko, że nie nadąża za nią moja świadomość – naciśkam spust migawki niemalże instynktownie. To trochę jak chwytanie strąconej ze stołu szklanki – nie myśli się o tym, nie stawia się egzystencjalnych pytań, tylko robi się to, co w tym „decydującym momencie” należy zrobić. Oczywiście poza pewnymi predyspozycjami niezbędny jest trening, niemalże jak u sportowców lub żołnierzy, oraz ciągłe obcowanie z dorobkiem innych fotografów (ale również malarzy, grafików, performerów).

Fotografia, jako się rzekło, powstaje w głowie i bez wątpienia jest formą wypowiedzi. Niekiedy nawet wypowiedzi artystycznej. Tyle tylko, że środkiem wyrazu nie jest pędzel i płótno, marmur i dłuto, a „szkiełko” i oko...

Skąd to drżenie, kiedy patrzy się na fotografię i ona nie jest już wycinkiem zastanej rzeczywistości, ale ilustracją baśni?

Mam wrażenie, że wszystko, co istnieje na tym ziemskim padole, zostało już po wielokroć sfotografowane lub sfilmowane. Fotografia ilustracyjna, pokazująca „koń jaki jest”, przestała być interesująca. Teraz oczekujemy,

żeby fotograf, zamiast pokazać nam r z e c z , człowieka czy wydarzenie, o p o w i e d z i a ł nam o nim. A tak już jest z opowieściami, że potrafią one nas wciągnąć, wycisnąć łyzy radości lub przygnębienia, spowodować chęć jakiegoś skomentowania lub zadziałania. Wszyscy mamy w sobie coś z dziecka, które po raz enty słuchając znanej klechdy, zamiera z przerażenia, gdy dziadek w interpretacyjnym uniesieniu szczerzy smocze zębiska. W podobny sposób poddajemy się nastrojom budowanym przez interpretatorów rzeczywistości pracujących obiektywem. Mistrzowie tej sztuki potrafią pokazać nam mózół ludzkiej pracy tak, że nie tylko widzimy pot, ale czujemy również jego zapach.

Fotografie wywołują zderzenia, zgrzyty estetyczne – oglądałam Pańskie zdjęcia z biednych rejonów Europy i zdałam sobie sprawę z własnych myślowych schematów, że jak Europa, to musi być elegancko, modnie, estetycznie, i widzę starość, bylejakość, nieład – i mnie to jakoś uwiera. I wiem, rozumiem, że to nie jest w istocie problem tego nieładu, starości, ale moich stereotypów myślowych, iluzorycznych wyobrażeń. A Pan – czy odczuwa Pan wpływ stereotypów na fotografię? Czy można sobie wcześniej fotografię wyobrazić?

Jako że nie zajmuję się fotografią studyjną, to nie wynajmuję modeli, wizażystów, oświetleniowców ani innych osób potrzebnych do urzeczywistnienia mojej wizji, namalowania obiektywem obrazka, który po wielu prze-myśleniach zbudowałem w mojej wyobraźni. To, co powoduje, że wychodzę „na temat”, to ciekawość. Wszystko zaczyna się od zainteresowania jakimś zagadnieniem, obyczajem, miejscem, sytuacją. Jeżeli materiały, z którymi uda mi się zapoznać – zarówno te pisane jak i graficzne – nie odpowiadają w pełni na nurtujące mnie pytania lub gdy pomimo wszystko odczuwam, że to może być inaczej niż w cudzej narracji, to zazwyczaj wtedy zaczynam fotografować. I pomimo, że zawsze mam jakiś punkt wyjścia do opowieści, ja-

kiś szkic „scenopisu”, to nigdy nie staram się wymyślić, wyobrazić sobie konkretnych ujęć. Staram się w i d z i e ć to, co przynosi mi los, być otwartym również na to, że sytuacja podąża w innym kierunku, niż początkowo zakładałem, nie ograniczać się, nie trzymać kurczowo s w o j e j wizji. Jako się rzekło, fotografia powstaje w głowie, ale przefiltrowana przez otwartość na świat, przez doświadczenie, przez poczucie estetyki. Ale nie jest to wyobrażenie świata, a co za tym idzie, samej fotografii.

Jeżeli uznamy bezapelacyjną i przyrodzoną niezdolność fotografii do wyjaśniania czegokolwiek, to stanie się ona dla nas bodźcem skłaniającym do myślenia, pobudzającym ciekawość, skłaniającym do weryfikacji własnych poglądów, stereotypowych mniej lub bardziej wyobrażeń. Jak słusznie Pani zauważyła, „od zawsze” pojęcie „Europa” jest dla nas synonimem czegoś lepszego, dostatniego, cywilizacyjnie zaawansowanego. Polak głosujący za wejściem do Unii Europejskiej miał na myśli niemieckie auto, francuskie wino, włoskie buty... Tymczasem niektóre gwiazdki na błękitnej fładze świecą zgoła innym blaskiem. Z przykrością skonstatowałem, że Polacy stoją uparcie zwróceniu w jednym, jedynie słusznym, kierunku. Pomijając już to, że do kogoś stoją tyłem, to zdają się również nie zauważać tych, którzy są po lewej i po prawej. I jest to o tyle dziwne, że gdy rozmawiam z rodakami, którzy mogą się poszczycić długą litanią odwiedzonych krajów, to zazwyczaj więcej mają zastrzeżeń i zawiedzionych nadziei po powrocie z krajów tak zwanej starej Europy, niż po wizycie w Słowacji, Bułgarii, Rumuni czy Litwie. Zazwyczaj zaczynają swoje opowieści od stwierdzenia, że TAM wcale nie jest tak źle, jak myśleli, że ludzie tacy życzliwi, zwyczajni, nieinteresowni... I właśnie tymi kilkoma obrazkami, które przywiozłem, chciałem zadać pobratymcom kilka pytań, wzbudzić jakieś wątpliwości, a może nawet sprowokować do jakiejś wycieczki.

Czy ma Pan jakieś ulubione tematy fo-

tograficzne, np. portrety, pejzaże, martwe natury?

Moim ulubionym i podstawowym tematem jest człowiek. Oczywiście człowiek wpisany w pewien kontekst – geograficzny, kulturowy, emocjonalny. Niezwykle interesują mnie interakcje i więzi powstające między ludźmi podczas robienia czegoś. Czegokolwiek. Mogą wspólnie pracować lub wypoczywać, kochać się lub ze sobą walczyć, uczestniczyć w obrzędach lub przedzierać się przez prozę dnia powszedniego. Lubię, kiedy można zrozumieć, o czym jest fotografia bez czytania podpisu pod nią, kiedy udaje się odgadnąć, o czym dana osoba myśli lub jakie emocje wypełniają jej głowę. Choć bardzo lubię pochyłać się nad kadrami, które stawiają pytania i pozostawiają mnie z nimi w intelektualnym rozkroku... Niekiedy w celu dopełnienia opowieści wzbogacam ją o jakiś pejzaż, fragment architektury lub detal, ale jest to dla mnie zawsze rodzaj scenografii, wśród której rozgrywa się akcja.

Od czego zaczęło się Pańskie fotografowanie?

Pierwsze zapełnione klatki to oczywiście aparat rodziców, Smiena 8M, podczas wakacyjnych wypadów w Beskidy we wczesnym dzieciństwie. A tak już bardziej świadomie i odpowiedzialnie zająłem się fotografią w liceum, kiedy to wspólnie z przyjacielem Marcinem otrzymaliśmy z rąk dyrektora Ponikowskiego aparat Zorka oraz klucze od szkolnej ciemni z zadaniem obsługiwanie szkolnych imprez i prowadzenie ściennej fotogazetki. No i tak jakoś niezauważalnie się uzależniłem...

Ale taki prawdziwy przełom w tym, co i jak fotografuję, nastąpił po spotkaniu, a właściwie, powinienem powiedzieć, po zderzeniu z Tomaszem Tomaszewskim. Miałem możliwość spędzenia dziesięciu dni na plenerze w odległym kraju z tym najbardziej utytułowanym polskim fotografem, pracującym przez blisko ćwierć wieku dla National Geographic, wykładowcą wielu uczelni na całym świecie. Nie rozmawialiśmy, bynajmniej, o tym jak obsługiwać aparat czy o tajnikach złotego

podziału, ale o sztuce, kulturze, filozofii, socjologii, humanizmie, literaturze, futurologii. Moje poważne fotografowanie zaczęło się od tego, że Tomasz pomógł mi zajrzeć do własnej głowy i odpowiedział, jak lepiej z niej korzystać, trzymając aparat w ręce. I pomimo, że czasami ja również „pstrykam” (kto nie zrobił „slit-foci” u cici na imieninach niech pierwszy rzuci kamieniem...), to chciałbym zachęcić każdego, bez względu na wiek i posiadany sprzęt (współczesne telefony komórkowe są cudowne!), aby nie wstydził się opowiadania obrazem własnych historii powodujących, jak to Pani pięknie ujęła, drżenie u widzów.

A w jaki sposób można zajrzeć do własnej głowy i jak lepiej z niej korzystać, trzymając aparat w ręce?

Ciekaw jestem, jak sformułowałaby Pani pytanie o zagłębienie do własnej głowy skierowane do pisarza lub poety... Chyba powinniśmy na chwilę wrócić tutaj do kwestii stereotypów, którymi jesteśmy przeziąknięci.

Edukacji, którą odebraliśmy w naszych szacownych placówkach oświatowych, zawdzięczamy „literacki” ogląd świata – akcenty w programach szkolnych rozłożone są w taki sposób, że jesteśmy przeświadczeni, że jedynie twórcy posługujący się piórem mają jakąś wiedzę, życie wewnętrzne, rozterki, namietności, punkty widzenia. Traktowana po macoszemu historia sztuki oraz niemalże całkowity brak zajęć uczących obcowania ze sztukami pięknymi (i mam tu na myśli zarówno sztuki wizualne, jak i muzykę czy balet), powoduje, że nie tylko nie potrafimy odczytać symboliki, zachwycić się, wzruszyć, zadumać, ale nawet nie bardzo uważamy za stosowne zadać sobie pytanie „co autor miał na myśli”, konfrontując się z dziełem w galerii czy sali koncertowej. A od tego już tylko krok do niewiary w to, że my sami, skoro nie pisujemy trzynastozgłoskowcem, możemy mieć w sobie COŚ, czym warto podzielić się z otoczeniem. A przecież te lata wycierania szkolnych ław oraz obcowania z samym sobą pozostawiły w naszej świadomości jakiś „osad”, do którego wystarczy tylko

(czy aż?!) sięgnąć i nie wstydzić się pokazania świata tego, co trzymamy w garści. I nie wierzę, że czytelnicy czy autorzy Galerii nie wiedzą, o czym mówię. Mam za to podejrzenie, że wielu z Państwa, biorąc aparat do ręki, zaczyna obawiać się, że skoro nie ukończyście szkół, kursów i warsztatów, to zapewne to, co możecie zrobić, będzie kompromitujące, nie przymierzając, jak wyjście na środek parkietu bez znajomości tańca. Tymczasem żyjemy w tak pięknych czasach, że techniczna perfekcja liczy się znacznie mniej od spontaniczności, szczerości i ładunku emocjonalnego – zdjęcie może być i nieostre, byle było o czymś! Najważniejsze, by zrobić ten pierwszy, czasami najtrudniejszy, krok na fotograficznej drodze. Swojej drodze, która prowadzi w wybranym przez siebie kierunku.

Co Pan mógłby podpowiedzieć czytelnikom Galerii, którzy szukają swojej drogi w fotografii?

Przede wszystkim, żeby pamiętać, że to c z ł o w i e k robi zdjęcia, a nie aparat – nie ma znaczenia, jakim posługujemy się sprzętem, tylko jak widzimy sprawy tego świata i co chcemy na ten temat powiedzieć innym.

Po wtóre trzeba pamiętać, że podpatrywanie mistrzów nie może zamienić się w naśladownictwo. Nigdy nie będziemy zadowoleni z efektów swoich poczynań, jeżeli będziemy starali się stworzyć jakąś imitację, „fotokopię” czegoś, co już zostało uznane za kanon – żeby wyzwać na ring mistrza trzeba pierwiej stoczyć wiele pojedynków ze sparingpartnerami...

I tutaj dochodzimy do sedna sprawy. Tak jak trzeba pisać **SWOJE** wiersze, o swoim życiu, swoich na jego temat przemyśleniach, tak trzeba „wycinać” **SWOJE** kadry z rzeczywistości – jeżeli ktoś lubi sport, to niech na siłę nie stara się fotografować baletnic! Męska szatnia przy boisku potrafi być miejscem urokliwym, pełnym emocji, niepowtarzalnym estetycznie, na swój sposób klimatycznym. Oczywiście o ile fotograf sam w to wierzy i w sposób całkowicie s z c z e r y chce o swoich emocjach opowiedzieć. I naprawdę można to

zrobić, fotografując nie tylko burzliwe manifestacje czy skutki klęsk żywiołowych, ale również pokazując modę, pejzaż, architekturę, dorastanie własnych dzieci czy historię majowej wycieczki w Sokole Góry.

Opr. A. Keller

Jacek Konieczny, ur. 1969 w Częstochowie, mieszka w Warszawie. Absolwent Instytutu Stosunków Międzynarodowych w Moskwie. Przedsiębiorca, fotograf, podróżnik. Zajmuje się fotografią dokumentalną, społeczną i uliczną. Uczeń Tomasza Tomaszewskiego, absolwent warsztatów Magnum Photos, VII Agency, członek Press Club Polska. Uczestniczył w wystawach zbiorowych w USA i Francji. Najnowsza wystawa zatytułowana „Kanga – barwy Afryki wschodniej” była prezentowana w siedzibie Gazety Wyborczej.



„Od zawsze w humorze”, pod klasztorem w Humorze (Bukowina, Rumunia, 2012), foto: J. Konieczny

Jarosław Kapsa

O DROHOBYCZU*

Magia. Pogрузyłem się w magicznym obrazie: z osiwiálej z kurzu tablicy (tu był i żył B. Schulz) przelot w obraz malarza pod nadzorem kreślącego rysunek świętych... A potem powrót do przytomności z nostalgią o utraconej młodości. Bruno i Tamara, różne postacie połączone tylko miejscem. Wielki i mały dramat ludzi tęskniących za człowieczeństwem, niemożliwym do przeżycia mocą brutalnego werdyktu historii.

Drohobycz... Odłożyłem opowiadanie, sięgnąłem po wyjątkowy w swoim rodzaju przewodnik Martina Pollacka „Po Galicji”. Przewodnik – kolaż, zbudowany ze strzępów notatek prasowych, pamiętników, zapisków z przełomu XIX/XX, tak by odtworzyć dawny obraz podróży koleją z Przemyśla do Czerniowic w czasach Franciszka Józefa. Czytam więc z Pollacka opis miasta, zwanego „wrzodem Galicji”. Błoto zmieszane z ropą, bogactwo z brudem... Zatłoczone ulice przypominające rynyrtok, pełne milionerów lub wizjonerów o milionach marzących. Pogarbione domki dzielnicy rozpusty, do której ukradkiem dążą „dezterterzy moralni”, przywabiani zapachem „Sklepów cynamonowych”. Schulz-ojciec, kupiec bławatny, zbankrutował wraz z Cesarstwem Austriacko-Węgierskim, w 1915 r.; od tego czasu żył, jak większość, z marzeń i dorywczych zajęć. Schulz-junior, wyszedł na ludzi, jako nauczyciel rysunków mógł wchodzić do bogatszych domów puszcany wejściem frontowym. Co więcej, a nawet jak na Żyda dużo więcej, był szanowany, bo dawne naftowe Eldorado cywilizowało się: brukowano ulice, pojawiła się elektryczność, a analfabeci dorobiwszy się dużych pieniędzy, chcieli, by ich dzieci były obyte w kulturze i sztuce. Pociągiem z Lwowa przywożono fortepiany i przybory do rysunków; wyrośnięte panny w bławatach, pod okiem „metr’a”, ćwiczyły w nieskończoność etudy lub martwe

natury. Metr, jako artysta, miał prawo mieć słabostki, pobłażliwie traktowano ciągotki Bruno Schulza do pisanych niezrozumiałym językiem opowiadań. A że Warszawa, cała Warszawa, mówiła o nim, i to mówiła, cmo-kając z zachwytem, to wypadało go uznać za wybitnego artystę, a nie za pornografa.

Właściwie, gdyby tak zsumować to, gdy odszedł Najjaśniejszy Pan, Jego Cesarsko-Apostolska Miłość, Władca Austrii, Karyntii, Bohemii, Galicji, Król Węgier etc., etc. – Franciszek Józef, to nie było na świecie (a może tylko w Europie) gorszych nieszczęść niż te, które dotknęły ziemię przez nas zwane Ukrainą: Galicję, Wołyń, Podole... Wszystko tu było, co tylko najgorszego człowiek człowiekowi mógł zrobić. I nie dziwny się, że najwyższym, najbardziej upragnionym prawem dla zwykłego człowieka stawało się prawo przeżycia, do którego dążono z beznadziejną skutecznością. Diabeł, jak z pieśni Kaczmarekiego, miał zęby żółte, jakby kwiat siarki żuł, skośne oczy pod czapką z czerwona gwiazdą. I pod takim diabli nadzorem, w imię prawa do przeżycia, malował Schulz portrety ArcyDiabłów, wysłuchując z pokornym uśmiechem opowieści o gwałtach i mordach.

Potem był cień nadziei, w 1941 roku „cywilizacja wróciła” (tak radośnie witał wejście Niemców były premier Bartel, zanim nowy okupant nie rozstrzelał go na przedmieściach Lwowa). „Cywilizacja” w odróżnieniu od władzy sowieckiej ceniła kulturę wysoką i wysoki porządek. Jeśli chodzi o Żydów, porządek wymagał, by coś z nimi zrobić, bo byli rozsądnikiem tyfusu. W imię troski o wartości wysokiej kultury należało okazać odrobinę tolerancji; po umyciu i odwszawieniu takiego Żyda można wykorzystać do zewidencjonowania książek „odzyskanych” z biblioteki jezuickiego klasztoru w Chyrowie. A przy okazji żona mówiła, że ten pocieszny Żydek dzieci zabawia malunkami na ścianie... Protektor Schulza – Herr Felix Landau – był niewątpliwie człowiekiem kulturalnym i miał zamiłowanie do porządku. Zanim zaczął ka-

rierę partyjno-policyjną, jako kilkunastoletni chłopak terminował stolarstwo artystyczne, zamiatając pracownię i podpatrując z uznaniem cud powstawania giętych, wiedeńskich krzesel.

W historii związków Schulz – Landau lekceważony jest jeden wątek: kompleks nazwiska „protektora”. Landau to nazwisko dobrze znane w Częstochowie, współtwórca naszego przemysłu galanteryjnego, prekursorzy stosowania celuloideu. Z częstochowskiej rodziny Landau wywodzi się matka znanych, brytyjskich polityków Millibandów. Nazwisko Landau było znane nie tylko u nas, obok Konów (Kohnów, Kohenów, Cohenów) było w Europie Środkowej najpopularniejszym nazwiskiem żydowskim. Wyobraźmy sobie więc młodego, austriackiego terminatora, który odkrywszy w wieku 20 lat swoją aryjskość, staje się członkiem partii narodowo-socjalistycznej... Ileż upokorzeń musiał na siebie przyjąć z powodu „zażydzonego nazwiska”. Nic dziwnego, że odreagowywał w czasie wojny, po pijanemu strzelając z balkonu do pałających się w chałatach drohobyckich Landauów... Podobno w czasie jednej z tych zabaw zastrzelił „protegowanego” dentystę koledze z SS – Gunterowi; Guntera bolały zęby, więc z zemsty odstrzelił Landauowi Schulza...

Może tak było, może inaczej – jakie znaczenie ma, jak i dlaczego zginął Żyd w Drohobyczu w 1942... Dlaczego z miliona śmierci w tym czasie ta jedna miałaby być wyjątkowa...?

Zgiełk odeszłych obrazów wyobrażających przeszłość pod brudną tablicą „ku czci”... Wielbiciel „Sanatorium pod Klepsydrą” zdezerzony z codziennością postsowieckiego miasta, gdzie sklepy cynamonowe zastąpiono blokami komunalnymi. I na to nałożony inny obraz... Tamara, wspólne całej ludzkości, marzenie o powrocie młodości, rewizja dojrzałego życia przez skonfrontowanie z porywem pierwszej miłości...

Magia powstała ze złożenia tych dwóch światów wciąga jak toń jeziora. Trzeba kilku

minut, mało – przynajmniej kwadrans, by po lekturze, odbić się mocno od dna, wypłynąć na powierzchnię, dojrzeć do rzeczywistości. Ten kwadrans zadumy jest największą miarą wartości artystycznej opowiadania.

Jarosław Kapsa

* *Reminiscencje po lekturze opowiadania Janusza Mielczarka „Ślady historii cynamonowych” – [dopisek redakcji].*



Foto: Z. Myga

Michał Wilk

TEATR IMAGINARIUM W PROZIE BRUNONA SCHULZA

Polski Senat dał nam w roku 2012 okazję do upamiętnienia trzech wybitnych osób, to jest Janusza Korczaka, Piotra Skargi oraz Józefa Ignacego Kraszewskiego. Dla Brunona Schulza przeznaczono jedynie jeden miesiąc, dokładnie listopad, kiedy to wypada rocznica śmierci pisarza. Nic więc dziwnego, że na Ukrainie głośniejszy i dłużej o nim mówiono, bo przez cały rok. Ponadto blask sławy drohobyckiego prozaika przyćmiła rozdmuchiwana tak obszernie organizacja piłkarskich Mistrzostw Europy. Warto więc teraz – nawet jeśli poniewczasie – przypomnieć sobie o Schulzu. Tym bardziej, że w tym roku ukazał się dziennik intymny *Kronos* Witolda Gombrowicza, który był zarówno przyjacielem, jak i literackim przeciwnikiem Schulza.

Zarówno krytycy, jak i badacze wskazują na silny związek pomiędzy tymi literackimi personami. Kwiatkowski pisze nawet, że stanowią one „niby małżeństwo, niedobre, a jednak wierne sobie, niby dwa przeciwstawne, a jednak uzupełniające się bieguny”¹, co widać przede wszystkim w podejściu do literatury. Gombrowicz dekonstruuje mity, rozsądza rzeczywistość, Schulz z kolei mity tworzy i nadaje rzeczywistości nową wartość. Jednak to, co ich łączy, to bez wątpienia „antywalorowość” i pewne „nieliczenie się z rzeczywistością”². Obaj wnieśli do polskiej literatury powiew nowatorstwa, choć Schulz nie jest równie oryginalny co Gombrowicz. Do tej dwójki dodać należy jeszcze Witkacego i otrzymamy awangardowe trio, które tworzy – jak określił to autor *Ferdynand* – grupę trzech muszkieterów dwudziestolecia międzywojennego, trzech szermierzy słowa.

Schulz nie miał jednak łatwo od począt-

ku. Był prowincjonalnym pisarzem i rysownikiem żydowskiego pochodzenia, nie miał nic wspólnego z żadną grupą awangardową, tworzył po polsku, a do tego trudne i niejednoznaczne opowiadania. Jednakże to również stanowiło o jego nowatorstwie i szybko trafił w odpowiednie miejsce, a towarzystwo Witkacego i Gombrowicza tylko temu sprzyjało. Ale po wojnie nazwisko Schulza długo nie mogło doczekać się należytego rozgłosu. Twórczość „burżuazyjnego formalisty” musiała czekać aż do październikowej odwilży, by zyskać nowych odbiorców. Zaczęły pojawiać się nawet próby adaptacji teatralnych i filmowych z *Sanatorium pod Klepsydrą* Wojciecha Jerzego Hasa na czele. Ponadto publikowano liczne opracowania krytyczne uznanych autorów, wśród których na uwagę zasługują Artur Sandauer i Jerzy Ficowski³. Później już, dokładnie od początku lat 90., pozycja Schulza zaczyna się polepszać. Ukazywały się tłumaczenia, były organizowane wystawy rysunków. Pojawiły się plany uczczenia pamięci drohobyckiego prozaika uhwaleniem roku jego imieniem. Niestety, dany był mu tylko miesiąc.

Wracając jednak do twórczości, należy stwierdzić, że próba opowiedzenia czegośkolwiek o niej będzie zazwyczaj tylko próbą. To bardzo trudne zadanie. Trudne, bo i autor wymagający, nie uciekający w żadne banały czy proste rozwiązania. Proza Schulza to wyzwanie już na poziomie lektury, a co dopiero na poziomie krytyki lub analizy. Michał Paweł Markowski świetnie ujął to w słowach: „po przeczytaniu jednego akapitu od razu wiadomo, że to Schulz, nie od razu jednak wiado-

¹ J. Kwiatkowski, *Dwudziestolecie międzywojenne*, Warszawa 2002, s. 338.

² Por. J. Kwiatkowski, *Dwudziestolecie międzywojenne*, Warszawa 2002, s. 338.

³ Dokładniej o recepcji twórczości Schulza pisze Jerzy Jarzębski we wstępie do książki: B. Schulz, *Opowiadania. Wybór esejów i listów*, oprac. Jerzy Jarzębski, Wrocław 1998.

mo, co o tym akapicie powiedzieć”⁴. Nie sposób się z tym stwierdzeniem nie zgodzić, co jednak nie znaczy, by wspomnianej wcześniej próby nie podjąć.

Jeśli mowa jest o twórczości Schulza, to poruszane są zazwyczaj tematy dotyczące mityzacji rzeczywistości, jej przekształceń, wyobrażeń, nadawania właściwości snu czy po prostu tematy niesamowitości języka pisarza. Nie inaczej będzie i tym razem. Postaram się jednak skupić na czymś, co nazwałem Teatrem Imaginarium, a więc Teatrem Wyobraźni. Termin teatru nie jest tu jednak przypadkowy i nieuzasadniony, bowiem sam Schulz w *Ulicy krokodyli* powiada, że żyjemy (czy też występujemy) tak naprawdę w teatrze, który nazywamy rzeczywistością. A wszystko to zdaje się być jedynie tandetną, „papierową” imitacją, utworzoną na określony czas i w konkretnym celu. Dodatkowo, by zrozumieć na czym polega Teatr Imaginarium, wypadłoby również wytłumaczyć pojęcie samego imaginarium, którego użycia z pewnością nie powstydziliby się sam Schulz. O ile w dyskursie naukowym istnieje pojęcie imagologii, czyli nauki o wyobrażeniach narodowych⁵, o tyle imaginarium należy rozumieć nieco szerzej. Obejmuje ono wszelkiego rodzaju wyobrażenia (łac. *imaginatio*), a więc rysujące się w poetyckiej czy intelektualnej wizji obrazy, które nierzadko mogą mieć związek z tak zwanym językowym obrazem świata, czyli interpretacją rzeczywistości zawartą w języku⁶. Teatr Imaginarium będzie więc swoistym podejściem Schulza do rzeczywistości i sposobem jej opisu, jej przedstawienia.

Po takim zarysie należy zastanowić się, jak ten Teatr funkcjonuje. I od razu natrafiamy na swoistą barierę. Z jednej strony o schul-

zowskiej rzeczywistości mówi się jako o czymś zdegradowanym, zniekształconym (Sandauer⁷), z drugiej zaś jako o czymś – *nomen omen* – rzeczywistym, lecz przedstawionym w zupełnie inny sposób (Markowski, Jarzębski⁸). Z kolei Bolesław Miciński pisze, że „sztuka nigdy [...] nie deformuje, nigdy nie zniekształca: sztuka zawsze formuje, tworzy, kształtuje”⁹, a w odniesieniu do twórczości Schulza oraz Gombrowicza uważa, iż „oni tworzą inny świat mniej lub więcej podobny do tego, w którym żyjemy”¹⁰. Kwestia ustalenia, czy świat Schulza jest przekształcony czy ukształtowany, tylko z pozoru wydaje się sporna. Należy przecież zdecydowanie stwierdzić, że rzeczywistość przyjmuje specyficzne atrybuty, wyróżniające i urozmaicające ją właściwości, czy, jak to określił Markowski: „jest opowiedziana, albo nie ma jej wcale. A że między opowieścią a marzeniem nie ma żadnej u Schulza różnicy, to można też powiedzieć, że albo rzeczywistość sobie wymarzymy, albo nie będziemy jej w ogóle mieli”¹¹. Dlatego bez wątpienia przyznać trzeba, że świat u Schulza ujęty jest w ramy marzenia sennego (oniryzmu) czy po prostu mitu i nic na tym nie traci.

By jednak lepiej to zrozumieć, należy przede wszystkim pojąć czym jest mit oraz mityzacja dla samego autora. Schulz dowodził, że nie ma ani jednego słowa w języku, które nie pochodziłoby z mitu, a skoro literatura, czy szerzej rzecz ujmując, rzeczywistość jest określana i nazywana za pomocą słów, dlatego i ona ulega „mitologizowaniu”: „Nie ma ani okruszyny wśród naszych idei, która by nie pochodziła z mitologii – nie była przeobrazo-

⁴ M. P. Markowski, *Republika marzeń*, <http://brunoschulz.eu/blog/archiwa/49> (online: 08.06.2013) (Tekst ukazał się również w „Tygodniku Powszechnym” nr 44\2009).

⁵ Por. M. Dąbrowski, *Komparatystyka kulturowa*, [w:] *Komparatystyka dla humanistów*, red. Tenże, Warszawa 2011, s. 224-230.

⁶ Por. R. Grzegorzczkova, *Wprowadzenie do semantyki językoznawczej*, Warszawa 2001, s. 162-163.

⁷ Por. A. Sandauer, *Rzeczywistość zdegradowana (Rzecz o Brunonie Schulzu)*, [w:] Schulz Bruno, *Proza*, Kraków 1964.

⁸ Por. J. Jarzębski, *Wstęp*, [w:] B. Schulz, *Opowiadania. Wybór esejów i listów*, oprac. Jerzy Jarzębski, Wrocław 1998.

⁹ Miciński Bolesław, *Pisma. Eseje, artykuły, listy*, Kraków 1969, s. 232.

¹⁰ Miciński Bolesław, *Pisma. Eseje, artykuły, listy*, Kraków 1969, s. 232.

¹¹ M. P. Markowski, *Republika marzeń*, <http://brunoschulz.eu/blog/archiwa/49> (online: 08.06.2013).

na, okaleczoną, przeistoczoną mitologią. [...] Dlatego wszelka poezja jest mitologizowaniem, dąży do odtworzenia mitów o świecie. Umitycznienie świata nie jest zakończone”¹². Wydawałoby się, że autor *Sklepów cyrkonowych* bezmyślnie szafuje słowem „mit” i używa go we wszystkich możliwych formach. Nic bardziej mylnego. Pisarz świadomie posługuje się tym terminem, bowiem stanowi ono dla niego podstawowe odniesienie do czegoś więcej. *Słownik schulzowski* podaje zasadniczo trzy pojęcia mitu: jako wzór rzeczywistości („stan pierwotności”), sens literatury wykraczający poza dosłowność oraz sens wykraczający poza historię, a więc sens jako taki¹³. Nie trudno więc wywieść, że mowa o czymś, co usytuowane jest na początku, u zarania, co stanowi Prawdę i czyste Znaczenie (Prasens).

Mityzacja rzeczywistości u Schulza przebiega na kilku poziomach. Przede wszystkim na poziomie języka. Bogactwo różnorodnego słownictwa jest u Schulza bardzo charakterystyczne, osobliwe, niemal ekscentryczne. Tadeusz Breza napisał nawet, że „słowa obce brzmią nie cudzoziemsko, ale zaziemsko”¹⁴, dzięki czemu styl pisarski Schulza jest niepowtarzalny, co spotykało się również z ostrą krytyką, choćby u takich komentatorów jak Wyka czy Napierski, którzy „oskarżają go (najniestęśniej) o promowanie chaotycznej, wręcz magmowatej wizji świata”¹⁵.

Autor *Sanatorium pod Klepsydrą* narusza istniejące struktury języka, pokazując, że tak

naprawdę jest on czymś zmiennym, żywym, poddającym się wpływom, należy więc powrócić do jego źródeł i pierwocin. „Słowo w potocznym dzisiejszym znaczeniu jest już tylko fragmentem, rudymeniem jakiejś dawnej wszechobejmującej, integralnej mitologii. Dlatego jest w nim dążność do odrastania, do regeneracji, do uzupełniania się w pełny sens [...] i tę dążność słowa do matecznika, jego powrotną tęsknotę, tęsknotę do praojczyzny słownej, nazywamy poezją”¹⁶. Język jest więc czymś, co się staje, a nie czymś, co jest. Można nawet powiedzieć, że Schulz – podobnie jak Szloma z *Genialnej epoki*¹⁷, na co wskazuje Jarzębski – podchodzi do rzeczy materialnych, do przedmiotów, jako do „emanacji boskiego słowa sprawczego, biblijnego *logosu*”¹⁸. Dlatego pisarz nie tylko przekształca czy kształtuje rzeczywistość, on jej po prostu szuka, dąży w języku ku jej pierwotnemu kształtowi. Podobnie jak Józef z *Sanatorium pod Klepsydrą*, który poszukiwał Autentyku, bowiem jako autor rysunków, mówił: „nachodziły mnie wątpliwości, czy jestem naprawdę ich autorem. Czasami wydają mi się mimowolnym plagiatem, czymś, co mi zostało wypowiedziane, podsunięte...”¹⁹. Niestety, język jest nie do końca wystarczającym narzędziem i może tak naprawdę stanowić barierę w poszukiwaniu czy nazywaniu sensu. W *Ulicy krokodyli* czytamy: „Język nasz nie posiada określeń, które by dozwały niejako stopień realności, definiowały jej gęstość”²⁰. Schulz więc zdaje sobie sprawę, że rzeczywistość staje się przez to jedynie mglista i niedopowiedziana, a przy najmniej wymagająca ciągłej próby nadawania sensu ukrytego w słowach. Ponadto ta ciągła eksploracja, mająca na celu przeniknięcie

¹² B. Schulz, *Mityzacja rzeczywistości*, [w:] Tenże, *Opowiadania. Wybór esejów i listów*, oprac. Jerzy Jarzębski, Wrocław 1998, s. 384-385. Dalsze słowa Schulza będą cytowane za tym wydaniem, tak więc w przypisach zaznaczany będzie tytuł utworu i numer strony.

¹³ Por. *Słownik schulzowski*, red. Włodzimierz Bolecki, Jerzy Jarzębski, Stanisław Rosiek, Gdańsk 2003, s. 222.

¹⁴ Cyt. za: J. Jarzębski, *Wstęp*, [w:] B. Schulz, *Opowiadania. Wybór esejów i listów*, oprac. Jerzy Jarzębski, Wrocław 1998, s. XXXV.

¹⁵ J. Jarzębski, *Bruno Schulz. Geografia twórczości*, <http://muzeumliteratury.pl/jerzy-jarzenski-bruno-schulz-geografia-tworczosci/> (online: 15.06.2013).

¹⁶ B. Schulz, *Mityzacja rzeczywistości*, s. 383-384.

¹⁷ W opowiadaniu tym Szloma wypowiada słowa: „Tego Bóg nie powiedział”. B. Schulz, *Genialna epoka*, s. 142.

¹⁸ J. Jarzębski, *Wstęp*, [w:] B. Schulz, *Opowiadania. Wybór esejów i listów*, oprac. Jerzy Jarzębski, Wrocław 1998, s. XCII.

¹⁹ B. Schulz, *Genialna epoka*, s. 142.

²⁰ B. Schulz, *Ulica krokodyli*, s. 84.

tajemnicy, niesie ze sobą dekonstrukcję, czy, jak to określa Jarzębski, „eksplozję i destrukcję”²¹. Stąd bierze się lęk i przerażenie. Lęk przed brakiem stabilności i porządku, dlatego proza Schulza jest marzeniem o kosmicznym łańdzu, o wiecznym i niezachwianym unormowaniu rzeczywistości.

Przechodząc dalej, można zwrócić uwagę na metaforę autora *Sklepów cynamonowych*. Panuje nad nią, jak ujął to Jarzębski, „zasada zmieszania sfer”²², co przejawia się najczęściej w animizacji czy personifikacji rzeczy martwych (hilozoizm), np. dom w *Martwym sezonie*, który „nie podglądany przez nikogo, wchodził [...] cały po cichu – podczas gdy przez pokoje w półmroku spuszczonej storczył jeszcze solidarnie zgodliwy oddech śpiących – w fasadę płonącą w słońcu, w ciszę wczesnego żaru, jakby był ulepiony na całej powierzchni z błogo uśpionych powiek. Tak, korzystając z ciszy tych uroczystych godzin, chłonał najpierwszy ogień poranka twarzą uśpioną błogo, mdlejącą w blasku, lineaturą rysów drgających lekko przez sen od marzeń tej natężonej godziny”²³; również wyposażenie domu ożywało: „tak wylewały się zapasy szaf, wymiotowały gwałtowne, płynęły szerokimi rzekami. Wypływała barwna treść półek, rosła, mnożyła się i zalewała wszystkie ludy i stoły”²⁴. Trzeba zwrócić też szczególną uwagę na wykorzystywanie terminów pochodzących z różnych nauk, zazwyczaj ściślejszych, takich jak biologia, botanika czy astronomia, np. „Była to twarz włóczęgi lub pijaka. Wiecheć brudnych kłaków wicherzył się nad czołem wysokim i wypukłym, jak buła kamienna, utoczona przez rzekę. Ale czoło to było skrzycone w głębokie bruzdy. Nie wiadomo, czy ból, czy palący żar słońca, czy nadludzkie natężenie

wkręciło się tak w tę twarz i napięło rysy do pęknięcia.”²⁵, albo: „Wyszedłem w noc zimową, kolorową od iluminacji nieba. Była to jedna z tych jasnych nocy, w których firmament gwiazdny jest tak rozległy i rozgałęziony, jakby rozpadł się, rozłamał i podzielił na labirynt odrębnych niebios, wystarczających do oddzielenia całego miesiąca nocy zimowych i do nakrycia swymi srebrnymi i malowanymi kłosami wszystkich ich nocnych zjawisk, przygód, awantur i karnawałów”²⁶.

Podsumowując, język Schulza oscyluje wokół metafizyki i sam przybiera znamiona metafizycznych znaków, odwołujących do rzeczywistości głębszej i bogatszej niż ta, którą obserwujemy na co dzień. Podobny wydźwięk, bo nie tyle metafizyczny, ile kosmiczny, mają zagadnienia związane z czasem i przestrzenią.

Te dwa elementy są u autora *Sanatorium pod Klepsydrą* w zasadzie jednym i tym samym. Podlegają podobnym prawom. Przede wszystkim ulegają pewnemu skomplikowaniu, co daje w efekcie obraz labiryntu, zarówno przestrzennego (na przykład miasto w *Skleпах cynamonowych*, czy dom w *Nawiedzeniu*), jak i czasowego, np. w *Nocy wielkiego sezonu* „wyrasta kędyś trzynasty, fałszywy miesiąc”²⁷, a w *Genialnej epoce* czytamy: „Czy czytelnik słyszał coś o równoległych pasmach czasu w czasie dwutorowym? Tak, istnieją takie boczne odnogi czasu”²⁸. Wymiar ten nie jest więc do końca określony, pojawiają się co prawda opisy pór roku czy dnia, które mają własne tajemne znaczenie i cykle, jednak czas „zapaść może na »chorobę labiryntu«”²⁹, może niebezpiecznie i niepokojąco zapętląć się, tworzyć niespodziewane struktury, mimo że autor stara się to wszystko uporządkować. Co więcej, w *Sanatorium pod Klepsydrą* Doktor Gotard

²¹ J. Jarzębski, *Wstęp*, [w:] B. Schulz, *Opowiadania. Wybór esejów i listów*, oprac. Jerzy Jarzębski, Wrocław 1998, s. XCV.

²² J. Jarzębski, *Wstęp*, [w:] B. Schulz, *Opowiadania. Wybór esejów i listów*, oprac. Jerzy Jarzębski, Wrocław 1998, s. XXXVII.

²³ B. Schulz, *Martwy sezon*, s. 243.

²⁴ B. Schulz, *Noc wielkiego sezonu*, s. 106.

²⁵ B. Schulz, *Pan*, s. 57.

²⁶ B. Schulz, *Sklepy cynamonowe*, s. 63.

²⁷ B. Schulz, *Noc wielkiego sezonu*, s. 97.

²⁸ B. Schulz, *Genialna epoka*, s. 130.

²⁹ J. Jarzębski, *Wstęp*, [w:] B. Schulz, *Opowiadania. Wybór esejów i listów*, oprac. Jerzy Jarzębski, Wrocław 1998, s. LIX.

mówi: „cofnęliśmy czas”³⁰ i nieco dalej: „reaktywujemy tu przeszły czas”³¹. Przeszłość, teraźniejszość i przyszłość nakładają się na siebie, tworząc nierzadko jedność. Zależności bohaterów między tym co było, jest i będzie nie stanowią więc żadnego *limes*. Jak gdyby świat utkany był z niekończących się linii czasów, po których można zawsze i wszędzie podróżować, wstecz, naprzód lub równolegle do pozostałych.

Przestrzeń również traktowana jest jak siatka przecinających się wzajemnie płaszczyzn, uwikłanych we wzajemne relacje i zależności. Nie ma pomiędzy nimi barier, „przestrzeń labiryntowa» nie uznaje żadnych granic”³², przez co możemy poruszać między poszczególnymi rzeczywistościami jak po korytarzach bardzo skomplikowanej zaprojektowanej budowli: „Mieszkaliśmy w rynku, w jednym z tych ciemnych domów o pustych i ślepych fasadach, które tak trudno od siebie odróżnić. Daje to powód do ciągłych omyłek. Gdyż, wszedłszy raz w niewłaściwą sień i na niewłaściwe schody, dostawało się zazwyczaj w prawdziwy labirynt obcych mieszkań, ganków, niespodzianych wyjść na obce podwórza i zapominało się o początkowym celu wyprawy, ażeby po wielu dniach, wracając z manowców dziwnych i splatanych przygód, o jakimś szarym świecie przypomnieć sobie wśród wyrzutów sumienia dom rodzinny”³³.

Podobnie jak we śnie, gdzie przemieszczanie się po świecie staje się nakładaniem się obrazów, które z pozoru nie mają ze sobą nic wspólnego. Schulz nadaje przestrzeni pewnego rodzaju świętość, mityczną i mistyczną wartość niepoznawalności, w swej istocie bardzo różnorodną i zawikłaną. Jednak ostatecznie „wszystkie rzeczy są powiązane, wszystkie nici uchodzą do jednego kłęb-

ka”³⁴, jak gdyby do *axis mundi* rzeczywistości, gdzie tkwi Sens, bowiem „rzeczywistość sama nie mówi nic, to my mówimy za nią i w ten sposób w świecie pojawia się sens, bez którego żadna wspólnota [...] nie mogłaby powstać”³⁵.

Równie ciekawym elementem są postaci i bohater-narrator schulzowskiej prozy. Ten ostatni uosabia w sobie autora, choć czasem jest w stanie wykroczyć poza tę ramę, zwłaszcza wówczas, gdy mówi „my”, co uniwersalizuje go, nadaje rangę „całej ludzkości”³⁶. Jest obserwatorem, bystrym i wnikliwym, badającym z dzieciinną ciekawością otaczający go świat. Z żarliwością reaguje na wszystko, co spotyka, co nowe i olśniewające w jego recepcji. Odbywa wędrówkę po krainie własnej wyobraźni, staje się kimś na wzór Orfeusza, schodzącego w głąb tajemniczych krain, w głąb Hadesu³⁷. Podróż jest groźna, ale i pociągająca zarazem. Tajemnicza, niepewna i zaskakująca. A jak pisze Markowski, „ciekawiej chyba popatrzeć na te niekończące się eskapady jako odwlekanie realizacji pragnienia, jako poszerzanie możliwości egzystencji”³⁸.

Z kolei w *Skleпах cynamonowych* główną postacią jest Ojciec, który stanowi dla Józefa osobę tajemniczą, zawieszoną jak gdyby pomiędzy dwoma światami: „nie mógł też wrócić w żadną realność i unosił się wiecznie na peryferii życia, w półrealnych regionach na krawędziach rzeczywistości”³⁹. Poza tym odgrywa bardzo ważną rolę, bo staje się również prorokiem, twórcą doktryn filozoficznych, człowiekiem rozważającym zagadnienia metafizyczne. Uosabia w sobie różnorodność, wieloznaczność, ową mistykę, w przeciwieństwie

³⁴ B. Schulz, *Wiosna*, s. 179.

³⁵ M. P. Markowski, *Republika marzeń*, <http://bruno-schulz.eu/blog/archiwa/49> (online: 08.06.2013).

³⁶ Por. J. Jarzębski, *Wstęp*, [w:] B. Schulz, *Opowiadania. Wybór esejów i listów*, oprac. Jerzy Jarzębski, Wrocław 1998, s. XXXIX.

³⁷ W takim też ujęciu rozumie się najczęściej opowiadanie *Sanatorium pod Klepsydrą*.

³⁸ M. P. Markowski, *Republika marzeń*, <http://bruno-schulz.eu/blog/archiwa/49> (online: 08.06.2013).

³⁹ B. Schulz, *Karakony*, s. 86.

³⁰ B. Schulz, *Sanatorium pod Klepsydrą*, s. 267.

³¹ B. Schulz, *Sanatorium pod Klepsydrą*, s. 267.

³² J. Jarzębski, *Wstęp*, [w:] B. Schulz, *Opowiadania. Wybór esejów i listów*, oprac. Jerzy Jarzębski, Wrocław 1998, s. LX.

³³ B. Schulz, *Nawiedzenie*, s. 13.

do matki, będącej symbolem racjonalności, przerywającej stan sennych wizji: „potem przyszła matka i wczesna ta, jasna idylla skończyła się. Uwiedziony pieśzcotami matki, zapomniiałem o ojcu, życie moje potoczyło się nowym, odmiennym torem, bez świąt i bez cudów, i byłbym może na zawsze zapomniał o Księdze, gdyby nie ta noc i ten sen”⁴⁰. Matka jest także symbolem porządku i ładu, mimo że nie miała żadnego wpływu na Jakuba. Władzę tę miała Adela, stająca się „groźnym bóstwem opiekuńczym rodziny”⁴¹, mogąca sprawić, że „schodził [...] ojciec ze schodów swego dominium człowiek złamany, król banita, który stracił tron i królowanie”⁴².

Jakub ulega do tego ciągłym przemianom. Wciela się w różne postaci, które zdają się łączyć ze sobą elementy fantastyczne, nie-realne z rzeczywistymi. Raz jest prorokiem, raz karakonem, a innym razem przemienia się w kondora. Zdaje się więc magiem *par excellence*, obdarzonym nadnaturalnymi zdolnościami, potrafiącym rzeczy nieprawdopodobne i z pozoru niemożliwe. Nic więc dziwnego, że dla syna staje się mistrzem, którego Józef określa mianem „natchnionego herezjarchy”.

W ogóle wszystkie postaci w oczach narratora zdają się pochodzić z fantastycznego i mitologicznego imaginarium, z panteonu niesamowitości, nawet uliczni obdartusi, często oddalający się za potrzebą, czy obłąkana żebraczka Tłuja z *Sierpnia*. Nic nie umyka spostrzegawczości Józefa, a ponadto wszystko i wszyscy ubierani są jak gdyby w woal ponadrealistycznego obrazowania, niesamowitości.

Mówiąc o wizyjności Schulzowskiego świata, trzeba przede wszystkim zwrócić uwagę na oniryzm i opis rzeczywistości jako marzenia sennego. Jawa miesza się ze snem, real-

ność z fantastycznością, to co pewne i znajome z tym co chybota i nieznane. Wszystko może nagle i bez zapowiedzi się zmienić: ojciec Józefa może stać się ptakiem, luneta samochodem, zwykły spacer wielką odyseją pełną przygód. Tylko z pozoru kwestia ta wydaje się taka prosta. W istocie rzeczywistość wyśniona nie jest nigdy przywidzeniem, ulotnym mirażem, jest po prostu tym czym jest. Jarzębski używa nawet w tym celu określenia „rzeczywistości przedstawionej”⁴³, co wskazuje, że status tejże jest taki sam jak każdej innej, nie mniej realny od pozostałych. Markowski z kolei wykazuje, że drohobycki pisarz nie uważa jej za sen i *vice versa*, „marzenie dla Schulza jest nasyceniem rzeczywistości większymi możliwościami, jest dopisywaniem do rzeczywistości marginesów swobody, jest proklamacją wolności w świecie poddanym konieczności”⁴⁴. Oniryzm otwiera więc drogę do pełniejszego obrazu, do głębszego poznania i bogatszego świata, bowiem „niepodbita marzeniem, rzeczywistość traci swoje barwy i traci na zawsze swą legendarną moc, bez której jest niczym”⁴⁵.

Wystarczy chociażby przyjrzeć opisowi much w *Martwym sezonie*: „metaliczne i lśniące muchy polne przecinały błyskawicami wejście do sklepu, stawały na chwilę na szpaletach drzwi, jakby wydmuchane ze szkła metalicznego – bańki szklane wytchnięte z gorącej fajeczki słońca, z huty szklanej tego dnia płomiennego, stawały z rozszerzonymi skrzydełkami pełne lotu i chyżości i wymieniały swe miejsca w wściekłych gzygzakach”⁴⁶ i parę akapitów dalej: „jak na dnie starej zielonej butelki bzykały w nim [w sklepie] muchy w półmroku długich letnich popołudni w nieuleczalnej melancholii – chore i monstualne okazy wyhodowane na słodkim winie ojca,

⁴⁰ B. Schulz, *Księga*, s. 115.

⁴¹ J. Kwiatkowski, *Dwudziestolecie międzywojenne...*, s. 341.

⁴² B. Schulz, *Ptaki*, s. 26. Por. też: „Ale Adela znalazła się niespodzianie na wysokości sytuacji. Podeszła z uśmiechem do ojca i dała mu prztyczka w nos.” B. Schulz, *Manekiny*, s. 33.

⁴³ J. Jarzębski, *Wstęp*, [w:] B. Schulz, *Opowiadania. Wybór esejów i listów*, oprac. Jerzy Jarzębski, Wrocław 1998, s. XLVI.

⁴⁴ M. P. Markowski, *Republika marzeń*, <http://bruno-schulz.eu/blog/archiwa/49> (online: 08.06.2013).

⁴⁵ M. P. Markowski, *Republika marzeń*, <http://bruno-schulz.eu/blog/archiwa/49> (online: 08.06.2013).

⁴⁶ B. Schulz, *Martwy sezon*, s. 247.

kosmaci samotnicy, oplakujący dzień cały swój los przeklęty w długich monotonicznych epejach⁴⁷.

Obraz u Schulza nie jest konkretny. Trudno wyobrazić go sobie, tak jak można to zrobić w typowy sposób. Jarzębski wskazuje nawet, że obraz ten to „pewna ujęta w kategoriach przestrzennych struktura prezentacji, którą można realizować, ucieleśniać w rozmaitej substancji i z wykorzystaniem różnych osób⁴⁸. W tym tkwi też ta trudność: w „rozmaitości” i „wielości”. Ponadto rozbudowana metaforyka na to nie pozwala. Dlatego obrazowanie i wizyjność u Schulza są ściśle zindywidualizowane, mimo że obrazy rzeczywistości „biorą udział w budowie uniwersalnego Sensu⁴⁹. Ponadto, tak jak we śnie, znika tu różnica między znakiem a znaczeniem, jak to określa Sandauer „między obrazem a wywołanym przezeń nastrojem: przyśniony potwór nie przyprawia o przerażenie, lecz jest przerażeniem⁵⁰. Stąd bierze się również niemożność opowiedzenia, opisanie snu, bowiem „słowo oddaje tylko obrazy, lecz nie sens, jaki dla nas posiadały. We śnie przedstawiające utożsamia się z przedstawianym, widome – z domyślnym; z tej identyfikacji rodzą się owe dwuznaczne przedmioty-hybrydy⁵¹”.

Mityczna rzeczywistość i oniryczne obrazy doprowadzają do swoistego labiryntu świata, który ponadto posiada wymiar kosmiczny. Pojawiają się labirynty znaczeń, tekstu, umysłu i tego co w człowieku, a także labirynty miasta, domu itp. Nie są to konstrukcje wyłącznie przestrzenne, ale również czasowe, wy-

obrażeniowe, także dotyczące kultury, psychiki, snu.

Dlatego można więc stwierdzić na koniec, że Teatr Imaginarium w twórczości Schulza wiąże się w sposób dość ścisły z ogromną spiralą labiryntu, rozchodzącą się tak naprawdę od jądra, którym może być np. łóżko Józefa, jego dom, rodzinne miasto⁵², po niezliczone i nieograniczone ramiona kosmicznych żywiołów (nocy, nieb, gwiazd), owych pór roku (wiosen, jesieni) czy zjawisk atmosferycznych (wichur, letnich upałów), które są bezkształtne i nie posiadają wyraźnej granicy. Zawsze są nieoswojone, zmienne, ekspansywne, a co za tym idzie, niebezpieczne i niepojęte. Może podkreślić to opis nocnego nieba w *Komecie*: „o, gwiezdna arenie nocy, porysowana aż po najdalsze krańce przez ewolucje, spirale, arkany i pętle tych jazd elastycznych, o cykloidy i epicykloidy egzekwowane w natchnieniu po przekątniach nieba, gubiące druczane szprychy, tracące obojętnie lśniące obręcze, dobiegające już nagie, już tylko na czystej idei bicyklicznej do mety świetlanej!”⁵³.

Teatr Imaginarium drohobyckiego prozaika, mówiąc najogólniej, to niesamowitość języka, metaforyka doprowadzona do perfekcji, dążność do Prasensu (źródła), ukrytego pod warstwą współczesności (dojrzałości?), wizyjność i oniryczność rzeczywistości wraz z jej bohaterami, to po prostu świat pełen mitów, zarówno indywidualnych, jak i zbiorowych, mitów dziecięcych oraz fantastycznych. Schulz – choć mało zrozumiały, a przez niektórych nie lubiany – z całą pewnością należy do jednych z najciekawszych pisarzy ubiegłego wieku. Zdaje się być genialnym reżyserem spektaklu, jakim jest jego twórczość, lekturę której zrównać można z odkrywaniem niedostępnego każdemu prastarego świata.

Michał Wilk

⁴⁷ B. Schulz, *Martwy sezon*, s. 249.

⁴⁸ J. Jarzębski, *Wstęp*, [w:] B. Schulz, *Opowiadania. Wybór esejów i listów*, oprac. Jerzy Jarzębski, Wrocław 1998, s. L.

⁴⁹ J. Jarzębski, *Wstęp*, [w:] B. Schulz, *Opowiadania. Wybór esejów i listów*, oprac. Jerzy Jarzębski, Wrocław 1998, s. L.

⁵⁰ A. Sandauer, *Rzeczywistość zdegradowana (Rzecz o Brunonie Schulzu)*, [w:] B. Schulz, *Proza*, Kraków 1964, s. 16.

⁵¹ A. Sandauer, *Rzeczywistość zdegradowana (Rzecz o Brunonie Schulzu)*, [w:] B. Schulz, *Proza*, Kraków 1964, s. 16.

⁵² Por. J. Jarzębski, *Wstęp*, [w:] B. Schulz, *Opowiadania. Wybór esejów i listów*, oprac. Jerzy Jarzębski, Wrocław 1998, s. LI.

⁵³ B. Schulz, *Kometa*, s. 367.

Tomasz „Aztzenty” Barański

PTAKU MOJEGO SERCA – OBJAW SIĘ!¹ (fragmenty)

Należy do najchętniej czytanych polskich poetek, przez wielu uznawana jest za ideał kobiecej wrażliwości i literackiej subtelności – Halina Poświatowska. Niepospolita uroda, talent, przedwczesna śmierć spowodowana poważną chorobą serca sprawiły, że biografia poetki ogarniętej „jaskółczym niepokojem” do dziś intryguje jej wielbicieli, ale również badaczy literatury. Głównymi motywami jej poezji były przeplatające się wzajemnie miłość i śmierć. Tragicznie świadoma swej kruchości Poświatowska (zupełnie jak sama istota poezji w ogóle) dawała wielokrotnie heroiczne wyrazy sprzeciwu wobec bezlitosnego losu. Ubolewała nad niedoskonałością ludzkiego ciała – ale była zbyt wielka na to, aby biadolić czy choćby płakać, a w dodatku umiała wykorzystać każdy moment przemijającego życia. W swych utworach nie pomijała także swojej kobiecości (naturalnie i w tym obszarze będąc żywym ideałem) – pisała o sobie i innych kobietach, kobietach bohaterkach (heroinach!). Wszystko to osadzone było w głębokich przemyśleniach filozoficznych. Szczególna ta poezja stanowi przejmujące studium natury ludzkiej – po prostu kobiety pragnącej miłości i kobiety świadomej swej śmierci.

CZĘŚĆ PIERWSZA – JEJ POEZJA (oraz cała jej twórczość)

Moje subiektywne spojrzenie na twórczość H. Poświatowskiej, byłoby w ogóle niemożliwe, gdyby nie rozmowa i entuzjastyczna pomoc brata poetki pana Zbigniewa Mygi, będącego aktualnie kustoszem „Muzeum – Dom Poezji Haliny Poświatowskiej” – mieszczącego się w

rodzinnym domu państwa Mygów (Haśka de domo nazywała się właśnie Myżanka). Oczywiście zdaję sobie sprawę z tego, że o postaci wielkiej polskiej poetki wypowiadały się „tęgie mózgi” a także wielkie talenty – i dla tego właśnie pragnąłbym i ja, człowiek przeciętny, szary mieszkaniak Częstochowy – miasta rodzinnego poetki, dołożyć kilka swoich słów o fascynacji tą postacią – wielkiej częstochowianki i zapewniam, że wszystkie sformułowane tutaj wypowiedzi płyną będą ze szczerego serca. Pragnąłbym właśnie tą pracą złożyć swój osobisty hołd oraz podziękowanie za niepowtarzalne chwile obcowania z pięknem. Pierwszym moim pytaniem skierowanym do pana Mygi było pytanie o to, skąd wzięły się zainteresowania jego szacownej siostry postaciami z historii sztuki (i historii w ogóle) tj. Nefretete, Ofelia, Wit Stwos, mumie, Saskia, Madonny (z dzieciątkiem w dłoniach), słoneczniki (odnośnie van Gogha), jednorożce... Nietypowy ten dobór w moim osobiście przypadku był podstawą ewolucji intelektualnej (a jak się okazuje, jest to wyznacznik humanistycznego rozwoju w ogólności). Dla mnie jest to szok, gdyż po raz pierwszy spotkałem się z takim bezpośrednim faktem odniesienia się i ustosunkowania poezji do kultury (no chyba tylko poza J. Słowackim) i historii sztuki, będącego czymś w rodzaju elementarza każdego „człowieka oświeconego”. Ujęte jest to zresztą w formę transparentną, jakąś taką lekką (prawdziwie poetycką – w anturazie relacji w stosunku do było nie było „słupów milowych kultury światowej” na dodatek z ogromną dozą oryginalności – w sytuacji, gdzie mamy do czynienia z tak zwanymi „samograjami kultury”) – a tu takie nowe ujęcie – ujęcie kobiece, sama istota poezji. Poprzez te wersy przemawia osoba ulotna – naznaczona chorobą, rzec by można na krawędzi życia i pięknie o nie walcząca. Może nie znam pełnego obrazu poezji, ale nigdy jeszcze nie spotkałem się z tym, aby ktoś (poeta, poetka)

¹ Fragment publikacji (w przygotowaniu) o Halinie Poświatowskiej przez bliskich zwanej „Haśką”. Powodem jej powstania jest czterdziesta piąta rocznica śmierci Wielkiej Poetki oraz trzydziesta piąta – jubileuszowa – edycja Ogólnopolskiego Konkursu im. Haliny Poświatowskiej w jej rodzinnej Częstochowie.

polemizował ze sztuką poprzez sztukę. Chodzi o malarstwo, literaturę, historię sztuki.

Pan Myga rzucił dodatkowe światło na ten aspekt – wszystko wzięło się stąd, że w roku 1959 – kiedy to Haśka (przypomnę, że tak nazywali ją rodzina i przyjaciele) po operacji dostała możliwość studiowania w USA, tu musi opanować język (angielski – dwumiesięczny intensywny kurs w Fundacji Batorego) – wtedy opiekuje się nią (i jest jej szczerą przyjaciółką) pani Caroline Karpinski, która jest historykiem sztuki i pracuje w Metropolitan Museum. W tym właśnie Muzeum wiszą odnośne obrazy. A propos jeszcze postaci pani Caroline – to Haśka poznała ją na jednym z wieczorków polonijnych.

Sama pani Caroline mówi z akcentem mocno amerykańskim, ale sama bardzo interesuje się tym, co dzieje się w Polsce). Obie panie szybko zaprzyjaźniły się, w rezultacie Halina zamieszkała u Caroline, jednocześnie ucząc ją angielskiego i często zabierając do Metropolitan. Swoim poetyckim opisem tych wspólnych dzieł sztuki (w Metropolitan) Halina chciała podziękować Caroline. Halina kupowała widokówki z tymi dziełami sztuki i wysyłała je do Polski – jednocześnie dobór ten wynikał raczej z kolejności oglądania niż z jakiegoś systemu (rzeczywiście może w naszej literaturze nie jest to nowością, że artysta pisze o dziełach sztuki – ale tu chodzi raczej o tę bezpośredniość). Niewielu też ludzi ma możliwość oglądania tyłu dzieł w naturze – tym bardziej, że jak poinformował mnie pan Myga, był taki okres, gdy Caroline przynosiła stos obrazków, mówiąc: „obejrzyj sobie, bo to są oryginały Leonarda da Vinci, no i zachowaj ostrożność”...!

W swej barwnej opowieści pan Zbigniew mówił także o tym, jak rozwijało się zainteresowanie Haliny takimi różnymi faktami z historii jak np. to jak potoczyły się nieszczęśliwe losy egipskiej królowej Nefretete, której podobizna umieszczona jest w dziale rzeźby, a nawet to, iż odnaleziono mumię tej królowej, będącej jednym z symboli starożytnego Egiptu. Albo znowuż postać Saskii, żony Rembrandta, która znana była ze zniekształceń urody (fascynująca dziwną urodą) – co wynikało bezpośrednio z... zespołu Downa. Z jednej strony upośledzona, z drugiej fascynująca. Ekspozycja tych faktów

historyczno-kulturowych w Muzeum poetki zamieszczonych w postaci nadruku na siatkach (plastikowych) stwarza wrażenie trójwymiarowości, dając niezwykle efekt wizualny – animacji – ekspozycja ta jest ekspozycją nowych terenów sztuki. Sama Poświatowska była osobą bardzo wykształconą, była nie tylko filozofem – ale filozofem badaczem.

Poezja Poświatowskiej zaistniała w swym czasie jako odkrycie – nikt przed nią tak nie pisał. W trakcie przeglądania przeze mnie różnych materiałów związanych z twórczością częstochowskiej poetki natrafiłem często na określenie „transgresji”. Definicja słownikowa mówi, iż jest to (w geologii) wdzieranie się morza na nie zajęte przez nie dotąd połacie lądu. Tutaj mamy do czynienia z transgresją pod kątem człowieka wrażliwego, chorego, zakochanego (!), studiującego swe ciało, rozmyślającego o śmierci (obytego ze śmiercią) – zupełnie jak z jakimś elementem życia. Człowieka obłaskawiającego śmierć, człowieka zmuszonego do zastanawiania się nad trwaniem własnego ciała, żeby nie powiedzieć już o somatyczności, ale także filozoficznego trwania sztuki i w końcu całego świata. Czy więc w tym przypadku „transgresja” znaczy to, że poetka zapisuje „szczerą prawdę” – czego właśnie jeszcze nie było, czy może jest to „kobiece tkanie opowieści” – akt samo-stwarzania opowiadającej.

Pytam pana Zbigniewa, czy dobrze myślę; „ulotność” i „kobiecość”, a także może słabe zdrowie, słabe serce, zupełnie jak święci z „poświata”, aureolą, lekko unoszący się nad ziemią, lewitujący... W odpowiedzi słyszę, iż to nazwisko najlepiej określa ją samą – są ludzie, od których bije jakaś światłość. Całe to życie było takie jak „bijące serce” – z przekazu matki poetki możemy dowiedzieć się i o takiej sprawie (żeby już wprost nie powiedzieć o kolejnej niezwyklej konfiguracji artystycznej) – że gdy po śmierci męża Haśka znalazła się pod lekarską opieką – lekarza spraw ostatecznych Aleksandrowicza, że to właśnie on postanowił leczyć jej duszę, a nie ciało, wiedząc o tym, że pisze wiersze, poddał jej poezję konsultacji m.in. W. Szyborskiej, S. Grochowiaka, T. Śliwiaka. Ci uznani poeci orzekli, że „dziewczyna ma wielki talent”. Jeśli zaś chodzi o profesora Aleksandrowicza, to stosował on terapię na zasadzie „pisz – bo to

najlepsza terapia” – twierdząc jeszcze, że nie ma nieuleczalnie chorych.

Do wspomnianych już ulotności, nieważkości, melodyczności tej poezji dodać należy kolejne: konfesyjność i odsłanianie sekretów – (oczywiście w ramach poezji), można też mówić o nowego rodzaju romantyczności, która w czasach nam współczesnych wzbogacona jest o psychologizm. Dusza, ale pod kątem (może Freuda?). Takie postrzeganie jak; „co wspólnego mają dusza i ciało, ciało a konkretny tekst na konkretnym kawałku papieru – a do tego uwzględnienie specyfiki „kobiecego pisania” – co z kolei wynika bezpośrednio z właściwości kobiecego czytania świata. I jeszcze jedna rzecz nowa: intymistyka – oparta na grze z odbiorcą oraz swego rodzaju dziewiczość, nietykalność i nieśmiałość – czego nie zdołał zmienić kilkuletni dorobek – kolejne wiersze oraz całe tomiki wyglądają tak jak pierwszy opublikowany wiersz.

Nasuwa się też od razu próba spojrzenia na twórczość Poświatowskiej na tle swej epoki – XX wieku – i jest to nie zawsze odsłanianie, ale czasem też chronienie i chowanie. Generacja manifestująca swą prywatność. Prywatność... w dobie szalejącego socjalizmu – króluje wtedy przecież socrealizm. Poetka samą swą osobą wpisuje się w tzw. rewolucję retrospektywną (co było przecież wielkim manifestem „wolnego ducha” w tamtych czasach). Niebagatelne jest też tutaj przywrócenie polskiej kulturze jej przeszłości, jej swobodnej myśli – jakże swobodnej w przypadku właśnie Poświatowskiej. Ale również znalazł się tu wkład do równouprawnienia kobiet (szczególnie w sztuce). Podobnie jak jej wielka poprzedniczka Pawlikowska-Jasnorzewska – ukazuje kobietę, która sama dla siebie jest światem.

Uwarunkowania biograficzne sprawiły, że w twórczości autorki „Rekolekcji dla kota” (niczym u św. Franciszka) pojawia się takie określenie jak „życiopisanie” – opartego na tzw. „kluczu personalnym”. Niektórzy dopatrują się w nim „strategii pacjenta” – mój Boże – jeżeli dla niej kontakt z lekarzami czy ze służbą zdrowia w ogóle był chlebem powszednim – to może był to rodzaj czegoś, co dziś określa się odreagowaniem. Niezwykła postawa życiowa poetki powoduje, że staje się ona swego rodzaju kaskaderką życiową;

tworzy własny dramat personalny rozgrywający się w anturazie przypadkowości, epizodyczności życia i niepokojów. Doszukiwano się w jej poezji odczuwanego przez kobietę w ogóle związku materią. Idzie tutaj o niebagatelne stwierdzenie o „stanie uwięzienia człowieka w materii, czyli we własnym ciele, szukającego wolności w ziemi”.

Od razu stwierdzić należy, że daremne są poszukiwania w sposób wyczerpujący różnych dróg interpretacji. Sama biografia – co jest bardzo ważne jest niemal legendarna i powoduje spojrzenie na twórczość poetki poprzez filtr życia osobistego jak znany już stan zdrowia i związane z tym różne (nieprzyjemne okoliczności) – szpitale, sanatoria lub ogólną ostrożność w życiu codziennym. Jednocześnie aby tematu nie upraszczać z góry trzeba powiedzieć, że choroba nie jest tu najważniejsza, Poświatowska może być liryczna, ale nie jest nigdy rozmażaną babą – przeciwnie można od niej uczyć się, jak żyć z chorobą albo żyć pełnią życia w ogóle, a nawet jak można wszelkie braki komfortu powodowane przez stan zdrowia obrócić np. na nowe spojrzenie w sztuce, a także po prostu jak „się nie dać” chorobie (czy też innym przeciwnościom losu), jak się spieszyć, aby zrealizować siebie, jak spełnić swoją misję życiową wbrew losowi.

Ta, o której Grochowiak napisał, że była zbyt piękna, żeby być ładna, poddana została drugiej operacji serca, nie będącej nawet podyktowaną koniecznością ratowania życia – lekarze zgrzeszyli nonszalancją – chodziło o wszczepienie zastawki (co było rzeczą rutynową) – ale nie wzięli pod uwagę, że serce było już po operacji – to, co miało być standardem, okazało się dużymi brakami w wiedzy kardiologicznej (ówczesnej) i świadczyło o niskim jej poziomie. Ale czy poetka to czuła? Już po jej śmierci opublikowano wiersz pt. „Kiedy umrę kochanie”, notabene jest on ilustracją muzyczną dla Janusza Radka, inny z kolei wiersz „odgrzebany” stał się inspiracją muzyczną dla pieśni zespołu „Czerwony Tulipan”. Jeśli poszukiwać jakichś bardziej osobistych (charakterystycznych) wypowiedzi samej autorki, to może być np. taka, iż uważała, że biały wiersz jest ważniejszy od rymowanego (którym akurat władała doskonale). Oprócz tego była apolityczna (odekranowana od po-

lityki). Naturalnie w znanym dobrze ustroju (panującym wtedy niepodzielnie), była w kręgu zainteresowań „bezpieki” – szczególnie dziwiono się, że wyjechała (na zgniły Zachód) i powróciła, mając możliwość pozostania w Stanach Zjednoczonych. Po ukończeniu Smith College przyznano jej stypendium na Uczelnię Stanforda i śmiało mogła pozostać tam gdzie była, ale wolała kontakt z Ingardenem czy Dębską tu w kraju „pozbawionym perspektyw”.

Powracając do rozważań o głównych nurtach poezji Poświatowskiej, należy sobie uświadomić kilka faktów: walczyła o równouprawnienie kobiet w sztuce i w życiu, w poezji przekroczyła barierę języka, a także bariery w kulturze – np. w „Odzie do rąk” – komu wcześniej przyszło do głowy zwracanie się do części ciała jak do integralnego odbiorcy. Bardzo interesujący jest też fakt opublikowania w Iranie (w tłumaczeniu na język perski przez Iwonę Nowicką) jej wyboru wierszy pt. „Życie, umrę jeśli odejdziesz”. Iran – chyba jeden z najbardziej hermetycznych krajów o surowych zasadach religijnych, gdzie kobiety praktycznie pozbawione są praw...

Albo zestawienie Pawlikowska-Jasnorzewska a Haśka. Mówiono; pisze jak Jasnorzewska, a byli i takie głosy jak „po co nam nowa Jasnorzewska (jakże się myłono – niezaprzeczalny jest przecież rozwój w tej właśnie płaszczyźnie, jaki dokonał się za sprawą Poświatowskiej właśnie!) Wiele z tego, co osiągnęła, zależało też od profesora Aleksandrowicza – jego psychologiczne wręcz inspirowanie było bardzo ważne dla poetki. Albo znowuż jej nawiązywanie do filozofii (przecież ukończyła studia filozoficzne). Była wielką, rasową filozofką, a przy tym nieustraszoną poszukiwała wolności – i jeszcze jedna bardzo ważna rzecz – pozostawała niezależna od sytuacji w kraju. Mało jeszcze tego wszystkiego, pozostaje dodatkowo kwestia legendy – ma ona swe odbicie w pracy pana kustosa (Domu Poezji) – ludzie tu pielgrzymują z różnych stron świata (!). Ludzie, którzy tutaj przybyli, opowiadają, w jaki sposób zetknęli się z tą twórczością i co zaskakujące – najczęściej chodzi o chorobę. Poświatowska ważna jest dla ludzi chorych, cierpiących, potrzebujących wsparcia, otuchy, zwykłego ludzkiego ciepła i odnajdują to w klimacie tego domu. Nasza częstochowska Safona (to określe-

nie pochodzi ode mnie, ale myślę, że powinno przyjąć się i stać się obowiązujące) ostrzegana była niejednokrotnie, iż powinna być ostrożna (i zacząć się szanować), ale jej nie chce się tego po prostu... W rezultacie poddaje się operacji, gdyż nie chce wieść życia osoby chorej (no czyż nie jest to heroizm?) – odnośna operacja była eksperymentem (może intelektualnym?) – niestety nieudanym – uszkodzenie tkanki mięśnia sercowego było zbyt duże... Cóż, była osobą i artystką nastawioną na walkę, a jednocześnie posiadającą umiejętność przystosowania się do życia w chorobie.

Na zakończenie najbardziej niesamowity element – jakże doskonale korespondujący z poezją Haśki – chodzi o znajdujący się w Muzeum jej imienia zapis dźwięku chorego serca i odtwarzany z płyty (konsultowany zresztą z kardiologiem) – gdy człowiek się weń wsłucha, to może zrozumieć fenomen tej poezji.

CZEŚĆ TRZECIA – JEJ PORTRET WŁASNY (w autobiograficznej książce pt. „Opowieść dla przyjaciela”)

Autobiografia Poświatowskiej stanowi prozatorską elegię. Sposób opisu czegoś, co bezpowrotnie utracone, za czym możemy tylko tęsknić, skazując się na melancholię. Oczywiście, elegia była zawsze dotąd wiązana z poezją (nawet w tym prozatorskim dziele Poświatowskiej główną rolę odgrywa poezja). Obecnie elegia jest utworem lirycznym, poświęconym rozpamiętywaniu straty lub bywa skargą egzystencjalną opiewającą; śmierć, przemijanie, zawile koleje miłości. Rzadziej liczą się tu wyznaczniki formalne, lecz bardziej określony nastrój – smutek, powaga, refleksyjność – chodzi tu o zjawisko „elegijności” jako takie. W ogóle elegię poetycką winno się wiązać z autobiografią (np. poezja Leśmiana). Nic nie stoi na przeszkodzie, aby mówić o elegii autobiograficznej w odniesieniu do prozy, szczególnie zaś wtedy, gdy jest ona skonstruowana w poetycki sposób, silnie zmetaforyzowana, poddany uogólnieniom i roztrząsaniu filozoficznemu. I tym właśnie jest „przypadek” „Opowieści dla przyjaciela”.

Metafora skutecznie konkuruje tutaj

z wypowiedziami o konkretnym przedmiocie odniesienia. Tajemnicze miasto, do którego tęskni poetka, może być Krakowem, ale również może być miastem wyobrażonym, uwitym z mgły i marzeń, z części baśni czy z tkwiących w pamięci dawnych rycin. Z kolei postać przyjaciela nasuwa na myśl konkretną osobę – Ireneusza Morawskiego, ociemniałego towarzysza wczesnej młodości. Odkrycie jego osoby przesądzało o sposobie interpretowania „Opowieści”. Dopatrywano się też w tej autobiografii zadośćuczynienia za przeoczoną miłość, a nawet za lekceważenie jego uczucia. Jednocześnie „przyjaciół” ten pozwolił poetce wypowiedzieć – wyjawiać przed samą sobą najintymniejszą prawdę o tym, że przestała wierzyć w życie, jeśli przez nie rozumieć potrzebę miłości, pracy, wychowywania dzieci, podróży. „Przyjaciół” ten ułatwił jej powiedzenie, że życie to formuła nostalgiczna – tęsknota. Że z góry jest ono utracone, niedościgłe, dane ludziom tylko pośrednio, jako „mroczny przedmiot” wiecznego poszukiwania i od razu minione. „Opowieść dla przyjaciela” to długie pożegnanie, elegia autobiograficzna, skarga nad życiem, które utraciło już swą moc i zostało odnalezione w trudnej prawdzie: od początku było skończone, skazane na niepowodzenie, naznaczone śmiercią. Tłumaczy się Poświatowska (raczej przed czytelnikiem niż przyjacielem), że nie potrafi docenić siły życia: „A ja usiłuję wciąż na nowo wyjaśnić sobie i tobie, że to, co uczyniłam, nie było zdradą. Nawet wtedy, gdy zapragnęłam umrzeć, nie popełniłam zdrady i nie zawiodłam twojej wiary we mnie. I dlatego, przyjacielu, przeciw twojemu milczeniu będę bronić się słowami”.

Nie potrafi poetka uwierzyć w sprawczą moc życia – dla niej życie to nostalgia i pisanie. Obie te formy wypływają z jednego źródła (ograniczonego zaufania do życia) i dają w rezultacie nowe zjawisko gatunkowe – „Opowieść dla przyjaciela”, czyli elegię autobiograficzną prozą. Owa niewiara w życie nie oznacza po prostu kapitulacji – to inne spojrzenie na egzystencjalne dylematy, chodzi tutaj o rozpoznanie podstawowej prawdy o życiu. Zaraz po wyznaniu braku zaufania do życia jako takiego – następuje odsłonięcie podstawowego mechanizmu elegijnego i zarazem autobiograficznego aktu

wspominania. „Chcę ci przypomnieć siebie taką, jaką byłam poprzez te wszystkie lata, które miały nam wspólnie, dni podczas których nasze myśli płynęły równolegle, świadome swej bliskości; wystarczyło napisać list, wyciągnąć rękę, żeby napotkać twoje słowa, twój przyjazny gest. Chcę przywołać naszą przeszłość, naszą wspólną przeszłość, chcę, żebyś na tych kartkach, które białe jeszcze piętrzą się przede mną, odnalazł drganie mojego żywego serca”.

Poświatowska to kobieta, która tęskni, która tęskni... - ale przypatrując się uważnie, co wspomina poetka, jaki obraz jawi się jej oczom i pamięci: obraz siebie samej, kiedy tęskni. Poświatowska opowiada o tym, że opowiada, snuje opowieść o snuciu opowieści – bo innego życia już nie ma. A jeśli nawet jest, to poetka nie potrafi dzielić jego radości i szczęścia. Ucieka więc przed nim tak, jak uciekała z uroczystości zamknięcia roku szkolnego w Smith College. Albo życie odchodzi od niej samo jak chłopiec z pokładu, który uprzedzony przez lekarza o chorobie dziewczyny zaczyna unikać jej towarzystwa.

Spokój nurtu epickiego w narracji, który odnaleźć można w prozie Poświatowskiej jest pozorny, zakłócony przez quasi-dziennikowe wtręty: „Sierpień. Jeszcze ciągle ocean, jak długo można tak płynąć. Tak się boję najmilszy, tak się ogromnie boję. Chciałabym, żeby ten statek utonął, żeby nie pozostało po nim śladu. Codziennie wymyślam inną katastrofę i wiem, i czuję, że dojadę przecież, wyjdę na brzeg; że powiozą mnie do białego szpitala, w którym trzeba będzie doczekać tego dnia, chwycić strach za gardło, odejść. Nie umiem się bronić przed smutkiem, wszystko jest tak odległe i nieważne na tym ogromnym oceanie [...] Umrzemy prędko, zsuńmy się przez białe poręcze w bure fale, nie pozwólmy temu strachowi przybić do żadnego brzegu. Biedna ugłaskana woda jest zbyt słaba, aby go pochłoniąć”. Fragment ten nie należy już do ducha epiki. Jest lamentem dochodzącym z innego miejsca i świata.

„Opowieść dla przyjaciela” jest gatunkową hybrydą – to autobiografia, dziennik, list, narracja, baśń (nagle urwana), rozmowa wspomnienie. W tym niedługim tekście autorka przygląda się swemu życiu, szczególnie dużo miejsca po-

święcąc pobytowi w Ameryce, gdzie poddała się operacji serca. Nie pomija też dzieciństwa, spędzonego pod opieką niezwyklej matki, zakorzenionego w wojennej biedzie, ale przecież także w miłości i trosce o siebie, wysiłku, młodości, kontaktów z polskimi i zagranicznymi lekarzami, przede wszystkim z niezapomnianym (nie tylko profesorem – lekarzem), ale również serdecznym przyjacielem Julianem Aleksandrowiczem, któremu zawdzięcza wyjazd za ocean i kilka lat (uratowanego) lepszego życia. „Opowieść” jest świadectwem i wyznaniem najintymniejszych tajemnic, a także wyzwaniem, gdyż przecież opowiadanie nigdy nie jest czynnością zupełnie naturalną. Autorka składa obietnicę, że spróbuje „pisać mniej o sobie, a więcej o tym wszystkim, co dzieje się naokoło mnie”. Wymaga odpowiedzi na kilka pytań: po co piszę, dla kogo, jak to robię, na czym mi zależy.

Pisanie wymaga determinacji w odsłanianiu tajemnic, a także wysiłku związanego z techniką, formy i języka. Koncepcja „trójkąta” zastosowana w utworze, wyznaczającego biegunowe ujęcia własnej biografii – wyklucza jedność formy. W autotematycznym fragmencie, (który zaraz przytoczę) autorka ujawnia swoją skomplikowaną podmiotowość, składającą się z doznawanego uczucia i mozolnej pracy nad językiem. Jest podmiotem cierpiącym, ale też podmiotem mówiącym: „z wielką nieufnością patrzę na stos zapisanych kart. Czy słowa potrafią mnie bronić lepiej niż cisza, czy słowami można jeszcze cokolwiek powiedzieć? A jeśli tak, to jakimi słowami? Szukałam ich z trudem, każde oglądałam wiele razy, przymierzałam do nich swoją miłość, mój ból. Pragnienie przymierzałam do wyrazu pragnienie i dla mojej największej miłości – dla życia, poszukiwałam najpiękniejszych określeń”. Czy życie w chorobie i pisanie skazują na wysiłek i brak satysfakcji? Poszukiwania idą „z trudem”, więc chyba trzeba przyjąć, że mowa tutaj o dysharmonii, o kontemplacji bólu istnienia i bólu pisania. Pisanie nie koi ran zadawanych przez życie, nie niesie pocieszenia. Jest zadaniem do wykonania, tak jak ból jest zadaniem do przezwyciężenia.

Poświatowska pisze o życiu w szczególnie sposób, mając przed oczyma widmo nieuniknionej, nieuchronnej śmierci. Te sygnały umierania

dostrzega wszędzie wokół siebie, towarzyszą jej w sposób nieustający. Głównie podszyta jest nimi przyroda, niezależnie od stanu swojej bujnej żywotności. Oko Poświatowskiej wypłtuje symptomy zanikania i schyłkowości: „Po drodze było zupełnie złoto. Drzewa umierają inaczej niż ludzie. Drzewa wyglądają tak, jak gdyby cieszyły się swoją śmiercią. Wprawdzie potem będzie wiosna i one kwitną znowu, ale ty wiesz, że nigdy nie można mieć pewności”. Rytm odnowy, jaki wyznacza przyroda, nie tłumaczy dostatecznie samego okrucieństwa i bezsensu śmierci.

Umieraniem podszyta jest miłość. Umiera chory mąż poetki, Adolf Poświatowski, odchodzą, a więc w jakimś sensie umierają jej kolejni kochankowie. Życie jest oczekiwaniem na to, co nieuchronne. Poświatowska żyje i pisze z nieustanną świadomością bliskiego zagrożenia, które nie pozwala przyjmować bieżących wydarzeń z naturalnością radosnego oczekiwania, każe traktować je jako chwilowe, przemijające, nietrwałe, nieistotne, już rozstrzygnięte. Sugerując przejściowe uleganie samobójczym myślom, wyjaśnia przyjacielowi: „Nie bój się, jest we mnie coś, co sobie mnie ceni, chociaż nie wiem za co. Nie umrę jeszcze, poczekam, poczekamy razem; my umiemy przecież pięknie czekać, na życie, na śmierć, na cokolwiek...”.

Śmierć może być tylko odsunięta w czasie, nigdy uchylona. Świadomość tej perspektywy nadaje szczególną barwę każdemu życiu, dlatego nawet obcięcie włosów w szpitalu, podyktowane kokieterią albo uznaniem dla własnej urody, albo wygodą rekonwalescentki, a może kaprysem, należy do sfery symbolicznej jako jeszcze jeden gest ogałający, krok w stronę nicości. Poświatowska napisała swoją autobiografię tak, jakby wtedy, w momencie powzięcia decyzji o powrocie do Polski, jej życie rozstrzygnęło się definitywnie. Powrót zmniejszył szanse na dalsze leczenie. Być może wsiadając na „Batorego”, poetka o tym nie wiedziała. Ale na przełomie roku 1963 – 1964, kiedy konstruowała „Opowieść dla przyjaciela” – już tak. Namówiona przez matkę do spisania wspomnień, by oderwać się od choroby i znaleźć pretekst pozwalający na zdyskontowanie interesującego pobytu w Ameryce, wybrała formułę poniekąd sprzeczną z tą intencją. „Opowieść” przybrała formułę poniekąd sprzeczną z tą inten-

cją. „Opowieść” przybrała formę opowiadania skonstruowanego „z drugiego brzegu”, opartego na motywie „odwijanego kłębaka”.

CZEŚĆ PIĄTA – JEJ TRAGIZM I LEGENDA

Świat poezji Poświatowskiej to istny labirynt, tajemniczy i niepokojący. Jak już wspomniano, gatunkowo jest to liryka konfesyjna – i to bardzo w tej mierze konsekwentna i jednolita w całej naszej powojennej poezji. Nie było bowiem w całym drugim półwieczu XX wieku poetki, która by w sposób tak całkowity oraz z niebywałą żarliwością, graniczącą z ekshibicjonizmem otworzyła się w poezji. Są to naprawdę wiersze pisane krwią serdeczną z ogromnym trudem przetaczaną przez chore serce poetki. Banalna skądinąd metafora „krwi serdecznej” w tym przypadku jest tragicznie adekwatna. Pisała tę poezję (nie bójmy się użyć tego określenia) własnym życiem. Toteż biografia jest zasadniczym kluczem interpretacyjnym do tej liryki. Biografia krótka – dodajmy, a przy tym dynamiczna, naznaczona chorobą, cierpieniem i bólem. Podobna bardziej do upiornego wyścigu ze śmiercią niż do jakiegokolwiek życia. Ale przy tym także niezwykle gęsta, o intensywności przeżyć, doznań i doświadczeń, które mogłyby wypełnić niejedno długie życie. Za Słowackim można napisać o Poświatowskiej: „za trzech ludzi czuła – więc żyła potrójnie. (Notabene podobieństwo tej liryki do poezji Słowackiego jest tematem odrębnym).

„Jeśli poetów mierzy się wielkością ich niepokoju, to ja przesłama własną genialność” – tak napisała o sobie Halina Poświatowska, prawdopodobnie ujmując w tym aforystycznym wyznaniu dramat swego życia i swojej poezji. Zdanie to brzmi tym bardziej przekonująco, iż poetka pozbawiona była teatralnej pozy (przeżyłoby to jej wielkości). W jej wierszach nie występuje cierpiętnicza samokreacja (nie mówiąc już o płaczliwości na przykład). Nie ma tu teatru cierpienia. Jest także autentyczny, przejmujący głos człowieka, wyrывая się z objęć śmierci a z chwilą, gdy mija bezpośrednie zagrożenie, żyjącego normalnie, ba, żyjącego nawet ponad stan możliwości fizycznych organizmu.

Ów ludzki i instynktowny głód życia, uczestniczenia w nim czynnie, zapewne niestety przyspieszył śmierć poetki. A już na pewno doprowadzał do ciężkich stanów przedagonalnych i oswajał ze śmiercią. Do tego stopnia, że obcowanie ze śmiercią stało się... rutyną. Poetka oswoiła Tanatosa na tyle, że mogła napisać: „jeśli nie będę umierać kilka razy na dobę – czym wypełnię czas...”. Po latach szpitalno-sanatoryjnych kalwarii miała smutną pewność, że w jej życiu przyszłość jest pojęciem pustym; mogła planować w skali jednego dnia czy jednej nocy. Sama przecież wspomina: „Męczy mnie każdy krok, w nocy kołatanie serca nie pozwalało mi zasnąć i dokoła umierali ludzie”.

Śmierć wzięła ją w swe zimne objęcia jako dziesięcioletnią dziewczynkę i już nie wypuściła, naprzemiennie to zacieśniając, to rozluźniając uchwyt. Życie było tylko teraźniejszością, którą poetka pragnęła namiennie zatrzymać w wierszach. Potrafi jednakże w określonych chwilach z heroiczną pasją zabrać się do studiów w słynnym Smith College, największej żeńskiej uczelni świata w Northampton w stanie Massachusetts. Tej samej, gdzie studiowała inna znakomita jej siostra po piórze, amerykańska poetka przekłeta – Sylvia Plath. Uczy się czterech języków; studiuje filozofię i logikę. Ale jednocześnie, jak sama powiedziała: „Choroba czyniła gwałtowne postępy w moim ciele (...). Wkrótce moja skóra pokryła się sinymi wybroczynami, które wolno, nieubłagane zaczęły zlewać się w fioletowe plamy. Każde naczynie krwionośne miałam rozdęte ponad wytrzymałość”. Trzeba było przerwać ukochaną naukę. Dwa lata leżenia w domu itd. Albo coś, co wydarzyło się jeszcze wcześniej – rutynowa obojętność lekarzy wywołuje ataki hysterii u siedemnastoletniej pacjentki. „Serce rosło we mnie jak dziwny płaz, rozsadało mi piersi, coraz mniej miejsca zostawiając na oddech”. Lekarze zalecali spokój, niewiele ruchu, unikanie zadyszki. Pacjentka nie słuchała i była niesforna. Gdy pojechała do sanatorium, zupełnie zapomniła o przestrożach lekarzy. Czemu się dziwić? Ogromną energię psychiczną nagromadzoną przez lata przymusowego bezruchu, pragnęła wyładować w tańcu, zabawie i miłości.

W sanatorium też poznała swego przyszłego męża. Oto jak wspomina ten dzień: „Idąc w

słoneczne popołudnie pod zwisającymi nisko gałęziami drzew zrozumiałam tylko, że mój znajomy jest smutny i nie umie się cieszyć łąką, która najmocniej pachnie o zmroku, że nie sprawia mu radości ani szaleńcze wirowanie w tańcu, ani pocałunki. Postanowiłam nauczyć go radości”.

Pytanie zasadnicze; czy w tym ciągłym, intymnym obcowaniu ze śmiercią nie obległy czasem poetki myśli o samobójstwie, pojętych jako alternatywa wolności (ucieczki) od cierpień duszy i ciała, którą egzystencjaliści zwą „wolnością negatywną”? Na pewno! Dwa razy pisze o tym wyraźnie. Pierwsza myśl o samobójstwie nawiedziła Poświatowską w sanatorium w Żegiestowie, gdzie nabierała sił przed wyjazdem na operację. Ale wtedy chciała umrzeć nie ze strachu przed fizycznym cierpieniem, ale z miłości... Przez samobójstwo razem z kochankiem pragnęła ocalić nie tylko wyłączność, ale także nieśmiertelność uczucia – bezwiednie wykreować mit. To nie przypadek, że Tristan i Izolda pojawiają się w kilku wierszach poetki. Przecież zanim rzeczywista śmierć przyniosła uspokojenie i wytchnienie, parę razy przedtem umierała z miłości. A poza tym, czyż nadmiernie aktywny i wyczerpujący tryb życia, jaki wiodła, nie miał wszelkich cech poszukiwania śmierci? Często w sytuacjach ostatecznych – nie tylko u desperatów. Przecież nawet spacer, taniec, miłość mogły zatrzymać jej serce. A mimo to rzuciła się w wir życia z determinacją iście samobójczą – bo jak to nazwać inaczej? Ale w tym miejscu jeszcze dwie rzeczy; gdyby każdy z nas znalazł się w podobnej sytuacji, czyż nie wziąłby pod uwagę takiej oto rachuby, że – jeśli mam przez całe życie jedynie oszczędzać się, lękliwie badać swój puls kilkanaście razy na dobę, to odpowiedź sama ciśnie się na usta; po co mi takie życie – rzecz jest oczywiście przedstawiona w dużym (żeby nie powiedzieć ordynarnym) uproszczeniu, ale alternatywy takiej nie da się niestety (a może „stety”) wykluczyć.

Drugą z kontrowersyjnych opinii, jakie zdołałam sobie wytworzyć podczas pochylenia się nad postacią tej pięknej i utalentowanej kobiety, jest wniosek takiej natury, iż poetka nie umiała (lub nie chciała) w małym chociaż stopniu zastosować się do zaleceń lekarzy, aby po prostu

choć trochę oszczędzać się i muszę przyznać, że ta niezależna dusza poetki nie pozwoliła jej na to, całą nadzieję pokładając w gruncie rzeczy w operacji, trochę tak na zasadzie „niech załatwi to lekarze”. Jasną rzeczą jest, że z dystansu łatwo udzielać jest rad, czy też kogoś osądzać. Tym niemniej możliwość taka nasunęła się niejako automatycznie. Ale któż zrozumie poetów a tym bardziej bosko piękne poetki?

Druga myśl samobójcza nawiedza Poświatowską w Ameryce. Poetka patrzy, jak umierają młode dziewczyny i nie może obronić psychiki przed presją śmierci. Wygląda właśnie z okien ósmego piętra dwudziestoczeropiętrowego szpitala w Filadelfii. Tylko jeden skok – myśli... Ale nie. Jeszcze nie teraz. Pojedzie nawet na ostatnie piętro, by swą gotowość do samobójstwa poddać próbie wysokości. Pragnienie, a może tylko instynkt życia jest jednak silniejszy niż cierpienie, które obezwładnia wolę i umysł w oczekiwaniu na operację. Jednocześnie spogląda wszakże na świat tak, jakby była już poza nim. Dlatego też czasami wiersze Poświatowskiej sprawiają wrażenie pisanych pośmiertnie (!). I to niejako podwójnie. Pomiędzy kolejnymi atakami choroby. Ale także pomiędzy śmiercią męża a swoją. Da się to odczuć tym silniej, że poetka sama śmierć prowokowała, wychodziła jej na spotkanie. U Poświatowskiej to poszukiwanie śmierci, zastawianie pułapek na chore serce (sic!), wykazuje pewne powinowactwa z predyspozycjami samobójczymi Sylvii Plath, Wojaczka, Stachury.

Tomasz „Aztzenty” Barański

Adam A. Zych

ŚMIERĆ W CYKLU ŻYCIOWYM CZŁOWIEKA

(fragment książki *Pomiędzy wiarą a zwątpieniem. Wprowadzenie do psychologii religii*¹)

Otwierając ten szkic, sięgam do *Lekcji Jana Pawła II* (2005). W lekcji *Umieranie czytamy: Śmierć ujawnia dramat ludzkiej istoty: w jej perspektywie człowiek nie może uniknąć pytania o sens swojego istnienia na świecie. [...] Wobec tajemnicy śmierci człowiek jest bezsilny; zostają zachwiane jego ludzkie pewniki. I właśnie w takiej sytuacji bezsilności wiara chrześcijańska, jeśli została pojęta i przyjęta w całym swym bogactwie, staje się dlań źródłem duchowej pogody i spokoju. Bo w świetle Ewangelii ludzkie życie otrzymuje nowy, nadprzyrodzony wymiar. To, co wydawało się pozbawione znaczenia, nabiera sensu i wartości.*

Śmierć przecież to nie moment w czasie, lecz ogromnie złożony proces, a [...] Punktem krytycznym w tym procesie jest ten, w którym człowiek przestaje być człowiekiem. W którym nieodwracalnie traci świadomość, zmysły, możliwość analizowania bodźców, własnej sytuacji, nie może reagować na zagrożenie, na bodźce, na nic (Trojanowski, 2005).

Renesansowo-protestanckie spojrzenie na śmierć jako bramę do życia doczesnego wraca w myślach polskiego filozofa H. Elzenberga. W pięknym zbiorze aforyzmów *Kłopot z istnieniem. Aforyzmy w porządku czasu* (1963) autor ten pisał: *Im większa śmiertelności świadomość, tym silniejszy pęd ku wyżynie. [...] Śmierć tym większym bywa postrachem, im życie jest uboższe i bardziej wegetatywne; a im bardziej duchowe, kulturalne, bogate w siły i w pełni rozwinięte, tym lęk przed śmiercią jest mniejszy. [...] Stąd wniosek: „im piękniejsze two życie, tym mniej go będziesz żałował* (Elzenberg, 2002).

Oto znamienny paradoks słów *Memento mori* – pamięć o śmierci nie musi wcale oznaczać odwrócenia się od życia, przeciwnie: może być

mocną podstawą budowania życia pięknego i dobrego.

Ocalony z Holocaustu współczesny pisarz, Martin Gray (ur. 1922), w poruszającej książce *Siły życia* (2003), stawia istotne dla każdego człowieka pytanie: „Czy zastanawiałeś się wystarczająco nad nieubłagany wpływem czasu, nad swoim życiem?” i dodaje: *Nie zapominaj, że oblicze, które wydaje ci się wieczne, też jest ulotne. Czy przyjrzelście się młodzi czytelnicy waszym rodzicom, przyjaciółom, by na zawsze zachować czułość ich spojrzenia, łagodne piękno rysów ich twarzy? Gdy nadchodzi czas odejścia tych, których kochamy, nie do zniesienia staje się świadomość, że nie ofiarowaliśmy im całego zainteresowania i miłości.*

Oto kolejny paradoks pogodzenia chrześcijańskiej „pamięci o śmierci” ze starożytnym „uchwyceniem każdego dnia, najmniej ufając przyszłości”. Pamiętać o swojej śmierci, by tym bardziej cenić każdy dzień, ulotną chwilę, małą sekundę. Cieszyć się życiem, smakować barwy życia, przyjmować je jako dar i czynić z niego dar także dla innych. Kto tak przeżywa życie, zbliżając się do jego kresu, śmierć przyjmie ze spokojem, pogodzony z nią, posiadał bowiem sztukę przekraczania bram wieczności, zyskując spokój, pogodę, a nawet radość (Zych, 2013).

Pragnę jeszcze rozważyć „niezwykłe dotknięcie czasu”, jak zjawisko to pięknie opisał wspaniały aktor Krzysztof Kolberger (1950 – 2011), czyli czas umierania. Ten rodzaj czasu, zamykającego życie, nie tylko „jest czasem darowanym”, ale i czasem niepewnym: „Czy jeszcze, czy to już?”, a zarazem jest czasem nadzwyczajnym, gdyż dokonujemy w nim przewartościowania tego, co dla nas jest naprawdę ważne, i tego, co zupełnie nieistotne. Paradoksalnie ważne mogą być topniejące płatki pierwszego, a może ostatniego śniegu, jak w tym oto opisie, pióra Michała Płoskiego (ur. 1951): *Nierządno zmęczeni długą chorobą pragną już odejść, niemniej trzymają ich*

¹ Monografia prof. Adama A. Zycha *Pomiędzy wiarą a zwątpieniem. Wprowadzenie do psychologii religii* ukazała się w 2012 roku nakładem krakowskiej oficyny wydawniczej „Impuls” i była zgłoszona do Nagrody Teofrasta za najlepszą książkę psychologiczną w 2013 roku.

przy życiu te rozmaite sprawy, którymi żyjemy na co dzień. Niekiedy z ich piersi wyrывa się szloch. Czasami mają różne drobne życzenia. Pewna młoda kobieta poprosiła, żeby dać jej trochę śniegu z parapetu okna. Jola [wolontariuszka na oddziale opieki paliatywnej – przyp. A. A. Z.] dała jej całą garść. Kobieta trzymała śnieg na dłoni, patrzyła, jak powoli topnieje i uśmiechała się. [...] Jola mówi, że odwiedzanie terminalnie chorych ułatwia odnalezienie tego, co naprawdę jest ważne. Co jest ważne? Garstka śniegu topniejącego na dłoni?

Od stuleci napęłnia człowieka trwogą nie sama chwila gaśnięcia życia, lecz lęk przed nie-bytem, przed wykreśleniem z „egzystencjalnej ewidencji”. Człowiek małej wiary nie wierzy w swoje istnienie poza doczesnością, śmierć zaś postrzega jako nieodwołalne zawieszenie swego istnienia, przyznając rację tezm J. P. Sartre’a o tragizmie ludzkiego bytowania „tu i teraz”. Inny wybitny przedstawiciel filozofii egzystencjalnej M. Heidegger pisał: „Jesteś, aby za chwilę przestać być. Nie wierz w to, że życie ma jakikolwiek sens i cel. Bycie człowieka jest tylko byciem ku śmierci”. Jednak z powyższych słów człowiek współczesny nie wyprowadza jakiejś konstruktywnej postawy, nie ma woli i odwagi spojrzenia śmierci w oczy, tworzy sobie iluzję jej nieistnienia, wypiera ją ze świadomości. Bardzo trafnie sytuację egzystencjalną człowieka naszego czasu ujął K. Jaspers, którego zdaniem: *Śmierć stoi przed każdym. Ponieważ nie wiemy, kiedy przyjdzie, żyjemy tak, jak gdyby nie miała nadejść. Jako żyjący właściwie w nią nie wierzymy, choć jest dla nas rzeczą najpewniejszą.*

Inny niemiecki filozof, M. Scheler, który najbardziej zgłębił ucieczkę nowoczesnego człowieka od śmierci, spostrzegł, że jest to ucieczka w aktywizm, w doznania seksualne, w rozbudowaną produkcję i niepomowaną konsumpcję, w działające niczym narkotyk wytwarzanie dóbr i ich nieustanne nabywanie. W przeciwieństwie do ludzi epok minionych, dostrzegających „tryumf śmierci” – by odwołać się do pięknego obrazu Jana Swarta van Groningen a (1500–ok. 1560) – ludzie, którzy potrafili „oswoić śmierć”, człowiek dzisiejszy nie zna „sztuki umierania”. I dlatego, nie umiając umierać, nie radzi sobie również z własnym życiem (Dyżewski, 2002). Podobny pogląd wyraził twórca psychoanalizy

Z. Freud, który nie bez racji uważał, że „u kresu śmierć wydaje się łatwiejsza niż rozmaite trudy życia”. Warto zatem odbudować tę świadomość, że umieranie jest integralnym elementem tego świata, umieranie i – jak słyszymy w pieśniach Gustava Mahlera (1860–1911) – Zmartwychwstanie:

*To, co powstało, musi przeminąć,
co przeminęło musi Zmartwychwstać [...].
Na miłości skrzydłach wzleć do światła,
do którego oko nigdy nie dotarło*
(przekład Marka Dyżewskiego).

Współczesna psychologia religii ma zatem poważnie zadanie poznawcze – odkrycie znaczenia wiary, religii, duchowości i/lub religijności w momencie wchodzenia człowieka w ten niezwykle, a zarazem tak powszechny proces umierania, by idąc w ciemność, doszedł do jasności. Pojawia się również praktyczne zadanie przygotowania człowieka na niechybną śmierć, która przecież wpisana jest w nasz cykl życia, by mimo ludzkiej egzystencjalnej bezsilności w obliczu śmierci zyskał on moralną równowagę. A nie jest to wcale proste, o czym przekonuje wyznanie Simone de Beauvoir (1908–1986): *Moim największym pragnieniem było umrzeć razem z kimś kochanym, ale choćbyśmy leżeli trup przy trupie, będzie to tylko iluzja: między niczym a niczym nie ma więzi, gdyż Każdy umiera w samotności* (1947), jak lapidarnie stwierdził w tytule swej powieści Hans Fallada (1893–1947). Spotykamy się ze śmiercią samotnie, mimo że dotyczy ona każdego bez wyjątku, i w tym niecodziennym sam na sam ze śmiercią jedynie Bóg wierzących może nam pomóc...

Adam A. Zych

Literatura:

1. Dyżewski M. (2002): *Melos i Thanatos*. [Audycja Marka Dyżewskiego z cyklu: *Przestrzeń dzieł wiecznych*]. PR 2, edycja: 8 i 15 listopada 2002.
2. Elzenberg H. (2002): *Kłopoty z istnieniem. Aforyzmy w porządku czasu*. Toruń.
3. Gray M. (2003): *Siły życia*. Wyd. 5. Warszawa.
4. *Lekcje Jana Pawła II* (2005). „Gazeta Wyborcza”, nr 93 [dodatek].
5. Płoski M. (2012): *Mała cisza*. Kielce.
6. Trojanowski T. (2005): *Kiedy umiera człowiek. Rozmawiał Szymon Hołownia*. „Rzeczpospolita”, nr 248.
7. Zych A. A. (2013): *Przekraczając „smugę cienia”*. *Szkice z gerontologii i tanatologii*. Wyd. 2. Katowice.

Paulina Piasecka

Z GRANIC CZŁOWIECZEŃSTWA. „ŻYWICA” LUDMIŁY MARJAŃSKIEJ

*Doświadczenie śmierci, najbardziej graniczne
doświadczenie człowieka, udziela się nam
właściwie wyłącznie przez śmierć cudzą¹.*

Jest więc śmierć częścią życia. Skryta i przy-
czajona, uobecnia się najboleśniej w odchod-
zeniu najbliższych, dzielących z nami powsze-
dni chleb codzienności. Bywa zaskakująca,
bulwersuje bezczelnością, gdy gasi kwitnącą
młodość. Innym razem przewidywalna, brana
pod uwagę, bo dająca wytchnienie udręczo-
nej starości. Zawsze jednak nie w porę, choć
wyczekiwana i czuwająca – przy łóżku scho-
rowanego dziadka, który nie wstaje już od
miesięcy, odciętego od rzeczywistości wuja,
nadludzkim wysiłkiem łykającego na łyżeczki
dzieloną szklankę wody. I przychodzi. Zabiera.
Umyka. Znów jakby jej nie ma. Lecz przyjdzie.
Z pewnością nie raz jeszcze odwiedzi.

Czasem daje się lepiej poznać, oswaja
z nieuchronnym, gdy z wolna unieważnia
bycie. Przybliża nas też tym niespiesznym
wykreślaniem z inwentarza do prawdy o nas
samyh, o naszych barierach i możliwościach,
zahamowaniach i elastyczności. Bliżej nam do
siebie. Ludmiła Marjańska w tomiku *Żywica*,
poetycko rejestrując umieranie męża, pisze
siebie, siebie prawdziwą, bo z granicy światów,
z granicy ludzkiego doświadczenia.

Perspektywa analizy transakcyjnej, w
której pragnę odczytywać *Żywicę*, pomaga
odpowiedzieć na pytanie o stosunek poetki
do odchodzenia osoby najbliższej, o jej stan
duchowy w tym jakże przejmującym momen-
cie. Gdy odwołamy się do terminologii AT,
możemy powiedzieć, że wypowiedź autorki
najczęściej odbywa się ze stanu Ja-Doro-

śły, epatuje ona w swych zapiskach wielką
mądrością znakomitego obserwatora, także
autoobserwatora, który skrupulatnie notuje
rozedrgane emocje Ja-Dziecka i bolesne prze-
myślenia Ja-Rodzica, filtrując je poetyckim
słowem. Prostym, wyrazistym, mimo wszystko
zdecydowanym i silnym, co można zaobser-
wować np. w następującym tekście:

*Nie chodzę już do kościoła
prowadzę dziecko do łazienki
Nie słucham kolęd
usiłuję pojąć niezborne słowa
Nie płaczę
zmuszam się do uśmiechu
Zwalczam rodzącą się gorycz
spokojem
Przez sen czuwam
czy nie wstaje
moje stare dziecko
Zbudziło się w noc sylwestrową
przerazone: czy to wojna?
To nie wojna – mówię –
to powitanie nowego roku².*

W przytoczonym wierszu widać wyraźnie,
jak emocje zostały przez Marjańską przesia-
ne przez sito poetyckiej refleksji. Mówi zatem
do czytelnika kobieta zboleła, lecz świadoma
swej sytuacji, niejako pojednana z okolicz-
nościami losu. Świat, w którym żyje, uległ
bezpowrotnemu przewartościowaniu, musiała
więc oswoić się z jego nowym obliczem. Te-
raz już spokojna, wyważona i „wpasowana”

¹ A. Szymańska, *Sprostać życiu. L. Marjańska, „Żywica”, Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik, Warszawa 2001, ss. 71, „Przegląd Powszechny” 2001, nr 7/8, s. 138–139.*

² L. Marjańska, *Żywica, Czytelnik, Warszawa 2001, s. 14.*

(„zmuszam się do uśmiechu”), stara się wiązać z powierzonego jej przez życie zadania. Oczywiście nieobce są jej mentalne „wyprawy” w stronę Ja-Dziecka, kategorii osobowości będącej zlepkiem najbardziej pierwotnych uczuć, które trudno okiełznać. Wyrazem tego niech będzie choćby następujący utwór:

*Przytul mnie powiedz
że to nie koniec
miłości
że noc
nie zamyka dnia
że istnieje poranek
pełen głosów
zapachów
nadziej³.*

Łaknie tu poetka powrotu do przeszłości, do odczuwania świata w sposób fizyczny, przesycony natłokiem zmysłowych wrażeń (dźwięk, zapach, dotyk). Rozpaczliwie, choć ze świadomością niemożności spełnienia, pragnie niedostępnej już, zwyczajnej bliskości kochanego człowieka, z którym łączy ją teraz – jak pisze w innym wierszu – jedynie „gruby sznur przywiązania”⁴. Poprzez organizację tekstu Marjańska dodatkowo wzmacnia ton tej wypowiedzi.

I tak przeplatają się w tomiku wiersze pełne zrozumienia i pogodzenia się z odchodzeniem męża, jego duchową absencją i niejednokrotnie uprzykrzoną i trudną obecnością. Na kartach zbioru odciskają swe piętno wzloty i upadki kobiety, żony, asystującej mężowi w drodze ku nieuchronnemu. Jest to droga wyboista, niepozbawiona goryczy:

*Miedzy litością a rozpaczą
miedzy słabością a przymusem
po kamiennej podłodze nienawiści
schodzę na dno współczucia
krok po kroku
kamieniejąc⁵.*

Ale też pełna zrozumienia i nieustannego wsparcia przez troskę i obecność („zastępuję mu oczy”⁶). Czytelnik, biorąc do ręki *Żywieć*, mierzy się ludzkim doświadczeniem, choć spoetyzowanym, to najprawdźsiwym, nieupożowanym, pozbawionym wystudiowanych emocji. Poetka obnaża tu swoje jestestwo w sposób czysty, nie kamufluje rozpacz, złości, bezsilności, lecz zdaje sprawę z siebie, z człowieczeństwa partykularnego w obliczu przeżyć krańcowych, emocjonalnie najgłębszych.

Język, jakim posługuje się autorka, odzwierciedla wielką dojrzałość w zetknięciu z najtrudniejszym chyba życiowym doświadczeniem. Ludmiła Marjańska, choć inspirowana własną sytuacją, pisze o odchodzeniu w ogóle, o rozstawaniu się z bliskim sercu człowiekiem, dotąd zawsze obecnym, w lapidarnych strofach kreśli studium współodczuwania śmierci, asystowania w krańcowości egzystencji.

Dzięki rejestracji uczuć towarzysza w umieraniu, bo upraszczając, tak przecież można określić status Marjańskiej, trwającej wraz z mężem w pełnym wyczekiwania zawieszeniu bycia (pisze poetka: „Ani to życie ani umieranie”⁷), otrzymujemy szansę uchwycenia niezwykłości czasu odchodzenia. Szczególnie wówczas, gdy sami mamy za sobą podobne doświadczenie. Wtedy poezja ta chwyta za gardło ze zwielokrotnioną mocą, otwiera przymknięte pudła pełne „tamtych” emocji. Wiersze składające się na *Żywieć* ukazują asystę w odchodzeniu w sposób pełny, Ludmiła Marjańska wprost mówi o trudzie, fizycznym zmęczeniu, złości i niemocy. Najzwyczajniejszej. Ludzkiej. Ale mówi też o wielkiej miłości, empatii i człowieczeństwie. Z niego w tych kilkudziesięciu miniaturach zdaje najprawdziwszą relację.

Paulina Piasecka

³ Tamże, s. 17.

⁴ Tamże, s. 21.

⁵ Tamże, s. 15.

⁶ Tamże, s. 8.

⁷ Tamże, s. 28.

Jarosław Cieślak

ZAMIATANIE PIÓROPUSZEM

Marian Pilot (ur. w 1936 roku), który zadebiutował w roku 1962 zbiorem opowiadań „Panny szczerbate”, jest autorem o dość bogatym dorobku, aczkolwiek stosunkowo mało znanym (największą popularnością zdawała się cieszyć dotychczas powieść z roku 1974 zatytułowana „Zakaz zwalki”). Przyznana mu w roku 2011 Nagroda Literacka Nike może ten stan rzeczy zmienić, ale wcale nie musi. Problemem okazać się może nie tylko tematyka nagrodzonej książki, która na pierwszy rzut oka sprawia wrażenie przysłowiowych „odgrzewanych kotletów” (raz, że restytuuje jakąś zaściankową, kaliską rzeczywistość z lat 50., dwa, że opowiada o uwikłaniu pisarza w rzeczywistość komunistyczną, a więc tą, która do lamusa odeszła, przypomnę tę oczywistość, ponad 20 lat temu!), ale przede wszystkim bariera językowa, która w najnowszej książce Pilota i tak nie sprawia takich problemów jak w przypadku np. „strumienia świadomości” zastosowanego w „Zakazie zwalki”. I choć to strona językowa zdaje się być jedną z podstawowych zalet książki Pilota, na co zwracali uwagę liczni recenzenci, to warto też przyjrzeć się tej historii pod kątem jej bohatera, którego losy stanowić mogą przyczynek do ciekawych refleksji o wolności czy tożsamości.

Marian Pilot przenosi nas w swej książce do małej wsi Siedlików w powiecie kaliskim. Są lata 50. Iście Kafkowskie paradoksy tego czasu podaje nam Pilot w konwencji wyraźnie Gombrowiczowskiej, ale to one właśnie stają się punktem zwrotnym w życiu bohatera. W momencie, gdy jego ojciec zostaje aresztowany jako rzekomy wróg systemu („niszczenie majątku narodowego”), przestaje w istocie być już tylko śmiesznie, ale staje się i groźnie. „Pogrom” w domu bohatera, jakiego dokonują przedstawiciele aparatu władzy, rozpoczyna proces jego społecznej alienacji, choć wyalie-

nowany, a nawet zdegradowany społecznie jest on już de facto z racji swego urodzenia z piętnem „złodziejskiego syna”. Od dziecka bity, wyszydzany, wyzywany i opluwany przez wieś odpłaca uporem i nienawiścią. Po aresztowaniu ojca postępowi degradacji społecznej bohatera zaczyna towarzyszyć postęp jego swobody. Pozbawiony silnej ojcowskiej ręki robi, co chce (casus Cezarego Baryki). Outsider zadaje się, choć nie bez oporów, z lokalnymi outsiderami, z Ciuciem, a następnie z Heniem Krajonkiem (w ten sposób następuje swoisty dialog wykluczonych, przełamanie obcości – Ciuciu jest Niemcem, a Krajonek Rosjaninem). Życie upływa na marginesie wioskowego życia – głód, kradzieże, bijatyki, pierwsze kontakty seksualne... standard. Naturalny tok rozwoju społecznego wyrzutka, odszczepieńca, który dalszy los ma wypisany na twarzy.

Niespecjalnie garnący się do nauki bohater jednocześnie jest nieustannie zmuszany przez niepiśmienną matkę do pisania listów, próśb do różnych dygnitarzy i urzędników wyższego i niższego szczebla, ba! – nawet do samego Józefa Stalina w intencji i obronie uwięzionego ojca. W końcu ojciec faktycznie zostaje uwolniony, a bohater przechodzi wewnętrzną przemianę – zyskuje wiarę w słowo, w jego przekształcającą rzeczywistość moc, idzie na studia i zostaje pisarzem. Skąd jednak bierze się ta wiara?

By to stwierdzić, musimy wrócić do sytuacji wcześniejszej, tej mianowicie, kiedy bohater kradnie rodzinie Krajonków choinkowe bombki. Wstawia się za nim Heniu, a następnie znajdują schronienie w starym, zniszczonym młynie. Młyn staje się azylem dla dwóch prześladowanych przez otoczenie outsiderów:

Gorzej niż psy my oba byli żeśmy. My żeśmy wypędki, wysrańcy, ścigańcy, smrody ostatnie. Siedzieliśmy na wiatraku jak wróble na zgniętej źerdce.

W naszej wsi było jedno osikowe drzewo. Jedno jedyne. Rosło na smentarzu pod murem, na niepoświęconej kwaterze. Patrzałem na nie nieraz. Takie ono dziwne, niespokojne. Trzęsło się bez ustanku i drżało. Starzy ludzie nazywali je Judaszowym drzewem. Krzyż Jezusowi mieli strugać z tego drzewa. Ale czy sprawiedliwie trzęsło się i drżało to drzewo. I na całym świecie ono jedno lękało się bożego sądu

Czemu my z Haniem Krajonkiem osiczki dygoczące. (s. 207)

Ale staje się czymś jeszcze – staje się bastionem oporu, twierdzą kontestacji. Dwaj outsiderzy tworzą tu swoisty utopijny azyl, stąd tworzą wymaginowaną rzeczywistość, snują plany przekształcenia świata w duchu komunistycznym (radyzm ideologiczny zbliża tu jednocześnie znów bohatera do Cezarego Baryki – motyw wyklęcia ojca z punktu pryncypialnych założeń ideologicznych). Tłumione pragnienia, nienawiści, chęć rewanzu za poniżenia dochodzą tu wyraźnie do głosu. Nie bez znaczenia w tym procesie okazuje się być odnaleziona przez bohaterów stara, młynarska księga, odzwierciedlająca w dodatku, odkrywająca niesprawiedliwość świata (brak nazwisk przodków bohaterów jako klientów młyna) – dopisanie czegoś do księgi ma się stać początkiem zmiany świata. Jakaż wiara w moc księgi, jakaż wiara w moc pisma!

Młyn, jego usytuowanie, dające poczucie bezpieczeństwa, pozwala osiągnąć bohaterom złudzenie wyższości, a nawet swoistej boskości, co jest związane również z symboliką samego młyna jako siedziby Boga (o czym niedawno przypomniał Lech Majewski w filmie „Młyn i krzyż”). W tym wypadku młyn staje się siedzibą idealistów, marzycieli, obszarem niedosięgalnym dla „grubasów, wypasionych parobczaków”, którzy są reprezentantami tego, co przyziemne i ludzkie. Księga staje się zaczątkiem marzenia, ale także przyczyną nieszczęścia bohaterów. Inność (wyływająca w tym wypadku z izolacji, z wyłamania się z wioskowej hierarchii), budzi nienawiść otoczenia i kończy się tragicznie, szczególnie dla Henia Krajonka. Marzenie, zainicjowane wiarą w słowo, w jego

kreacyjną moc ma tragiczny finał, okazuje się nie tylko płonne, ale i niebezpieczne. Jest to wyraźne ostrzeżenie, którego bohater jednak nie słucha. Zafascynowany słowem postanawia zostać pisarzem, wierząc w idee prawdy i awansu społecznego.

Na pozór rozwój bohatera potoczył się, od tego momentu, nad wyraz pozytywnie: zostaje wyrwany z bagna wioskowej biedy, przeprowadza się do miasta, zdobywa wykształcenie, wszystko dzięki magicznej władzy słowa – ale i tym razem jego wiara okazuje się być jedynie utopią. Tak jak w wypadku przygody z młynem ceną była śmierć przyjaciela, tak w tym wypadku okazała się nią własna godność, autentyczność, poczucie wartości (choć równie dobrze można odczytać jego los jako zdeterminowany brakiem tego poczucia wszczepianym mu przez otoczenie już od dziecka. W ten sposób ojciec stałby się figurą ambiwalentną – z jednej strony immanentnie podziwianą i kochaną, z drugiej nienawidzoną, determinującą los bohatera jako wyrzutka, śmiecia. Z zaniżonym poczuciem własnej wartości bohater boryka się przecież w zasadzie do końca opowieści, a dowodem tego steki inwektyw rzucane wobec własnej osoby, ale i taki sam zestaw inwektyw wobec świata, który wydaje się być próbą, tragicznie beznadziejną, dowartościowania swej osoby). Bohater przy tym w tę ambiwalencję jest uwikłany i nie potrafi się jej wyrwać, prowadzi ona go nawet do urojeń, bo za takie można uznać myśli o „zdalnym” sterowaniu jego losem przez ojca zza więziennych krat. W tym kontekście ojcowskie dary – okulary i pióro Pelikan stałyby się rodzajem przeklętego spadku determinującymi jego los.

Analiza dzieciństwa czyniona przez Pilota jest tu – myślę – nie bez znaczenia. To właśnie z dzieciństwa wypływa cały tragizm dorosłości bohatera. Mimo, iż twierdzi on, że – jako pisarz – jest osobą szczęśliwą, to jednak jego nieszczęściem jest ciągła zależność, nieumiejętność osiągnięcia mentalnej niepodległości – ucieczka od ojca (która z racji wspomnianych urojeń jest również niepełna), wtłacza bohatera w sidła zależności od aparatu władzy, ale i od samych

słów, którymi bohater „nie śmie” rządzić, którym jest (jako rodzajowi natchnienia) podległy:

Złodziej z rodu, z profesji piśmider, szpicel mizy ludźmi, lichota, nie ośmieliłbym nazwać się panem jednego najmniejszego słówka, ani nie považyl przywłaszczyc sobie choć jeden mały wyrazek. Nade mną słowa sprawowały nadzór i miały rząd. (s. 311)

W młynie słowa stały się ucieczką od brudnej rzeczywistości, przy czym miały ją jednak zmienić. Twórczość bohatera jako pisarza pozostała już tylko ucieczką od rzeczywistości, od pracy kapusia, miała pozwolić zapomnieć. W ten sposób budowany ze słów „pióro pus” staje się zwykłym odgrodzeniem od świata człowieka słabego, gotowego tylko uciekać i analizować swoje położenie, w żaden sposób niezdolnego jednak do jego zmiany, kreacji. W tym kontekście książka ta, jako rodzaj wyznania, staje się świadectwem słabości raczej niż siły, staje się portretem pisarza słabego, zatopionego w introspekcji własnej słabości, w żaden sposób nie heroicznego, a jednocześnie budzącego

współczucie i, mimo wszystko, sympatię. To może zaś sprawiać wrażenie pewnego moralnego relatywizmu. Samoosąd bohatera bowiem, mimo że ma miejsce, jest tylko rodzajem samoudręki, gestem, za którym nie idą czyny, a mimo to daje złudzenie rozgrzeszenia. W ten sposób pisarstwo, i to w dodatku wbite w Polskę w szablon heroizmu pisarstwo lat komunizmu, staje się symbolem, odzwierciedleniem słabości, ucieczki od rzeczywistości, staje się swoistym azylem uwikłania.

Jarosław Cieślak

Marian Pilot, *Pióropusz*, wyd. Wydawnictwo Literackie, Kraków 2010, ss. 320.

Jarosław Cieślak – doktorant na kierunku literaturoznawstwo w Akademii im. Jana Długosza w Częstochowie. Publikował dotychczas w „Ruchu Literackim”, „Akancie” i książkach zbiorowych. Założyciel i przewodniczący Doktoranckiego Koła Naukowego Krytyków Literackich. Pasjonat Dwudziestolecia międzywojennego.

PODZIĘKOWANIA

PANU KAZIMIERZOWI KOWALCZYKOWI

Drogi Panie Kazimierzu, „Głosa VII” poświęcona mojej książeczce pt. „Wczoraj” bardzo mnie wzruszyła. Wyznaję, że brak mi słów wdzięczności i uznania. Zacytuję z Pańskiego tekstu fragment, który mnie powalił: „Władysław St. Reymont, to ten nasz laureat literackiego Nobla, kiwałby zapewne z uznaniem głową, gdyby czytał rozdział głosowanej książki zatytułowany „Kuźnia mojego Ojca Kazimierza”. Opis kuźni, dokonany ręką Pani Alicji, tchnie potrójnym znawstwem, literackim, plastycznym, no i sztuki kowalskiej...”

Panie Kazimierzu, czy ja na pewno zasługuję na takie porównanie, na takie dobro, na takie słowa? Cieszę się bardzo z każdego słowa i bardzo, bardzo dziękuję.

PANU BOGDANOWI KNOPOWI I PANI ALEKSANDRZE KELLER

Panu Bogdanowi Knopowi i Pani Aleksandrze Keller dziękuję za zorganizowanie i prowadzenie wieczoru literackiego, w którym prezentowałam swoje teksty.

Pani Aleksandrze Keller jeszcze raz bardzo dziękuję za słowo wstępne do mojego tomiku. Za czas poświęcony i ciepłe słowo o wierszach. Za dogłębną analizę, inne spojrzenie, którego nie mogłam się spodziewać.

Jestem bardzo wdzięczna Pani za słowa, które podniosły mnie na duchu. Dziękuję Pani serdecznie, życzę weny twórczej i dalszych publikacji.

Alicja Nowak

**Małgorzata
Nowakowska - Karczewska**

ROMAN BRANDSTAETTER

1906 – 1987



Romantyk do późnej starości, nieco skryty z natury, w chwilach przypływu zniechęcenia lubił słuchać melancholijnego kumkania żab („Jak mądry i podnoszący na duchu w porównaniu z ludzką głupotą jest wieczorny koncert żab.”) Bywał chętnie w przytulnych kawiarenkach, ot, choćby w „Dziurce” na Krupówkach, by przy filiżance mocnej kawy po turecku porozmawiać a to o niegdysiejszych jesieniach, a to o przygodach Poldzia Staffa na Capri, a to o „Myślach” Pascala, które lubił czytywać o zmierzchu, ale i o strachu przed samotnością w cierpieniu i o tym, jak „Trudno jest działać i tworzyć w tym świecie, Którego sensu nie umiemy dociec/.../”.

Długie życie Romana naznaczone było pasmem nieszczęść, sprzeczności i paradoksów.

„Upadam pod wielością
Niezrozumiałych dla mnie zdarzeń”.

Jako twórca mozolnie zmagał się z trudną materią słowa, („Piszę z dużym wysiłkiem, oporem i niezwykle powoli, ślęczę godzinami nad białą

kartką papieru /.../ zanim wydukam z siebie jedno zdanie.”), ale wytrwały i pracowity, jak niemal każdy Koziorożec, pozostawił spory i różnorodny dorobek (tetralogia „Jezus z Nazarethu”, zbiory wierszy, dramaty, szkice prozą, tłumaczenia, nawet libretto do opery Szeligowskiego „Bunt żaków”).

Przodkowie Romana przybyli do Polski w czasach panowania przychylnego Żydom Jana III Sobieskiego, wydaleniu z granic cesarstwa austriackiego, jak wszyscy Żydzi, edyktem Leopolda I. Ostatni z rodu („Może ta świadomość jest atributem moich wspomnień, które usiłuję przekazać, chociaż nie wiem komu i po co.”), poeta pieczołowicie spisywał dzieje swych zacnych antenatów. Uwiecznił i kupca zboża Izaaka, który popadł ongiś w spór z Kryspinem hr. Żeleńskim, i pradziada Abrahama, gorliwego chasyda, który w piątki na podwórzu swego domu rozdawał ubogim chleb i olej, a dożył aż stu lat, i dziadka Mordechaja, który niebaczny na dezaprobatę rodziny obciął pejsy, odrzucił tradycyjny strój żydowski (czarna jarmułka, długi jedwabny chałat, białe pończochy i czarne lakierki), i został świetnym pisarzem, i matkę, która to każdej wiosny sadziła na balkonie rdzawą rezedę.

Roman przyszedł na świat („Urodziłem się na dwa lata przed śmiercią Wyspiańskiego/.../), w Tarnowie – mieście, które, jak wspominał z nutką humoru, dumnie było nie tylko ze swego ratusza z czasów Łokietka i mauzoleum generała Bema, ale i nowoczesnego więzienia, którego cele były „godne najwytworniejszego hotelu”/.../, w mieście, w którym nawet niebo było niezwykle. „Neapolitańskie! Może jest w tym określeniu nieco przesady, ale ponieważ jest to niebo mojego dzieciństwa, przesada jest nie tylko w pełni uzasadniona, ale posiada wszelkie cechy umiarkowanego prawdopodobieństwa”.

Chwile w domu dziadka („portrety/.../przodków, stare lichtarze chanukowe,/.../ długie półki uginające się pod ciężarem książek, /.../oszlklona szafka pełna srebrnych kadzielniczek, /.../ mis paschalnych na tradycyjne potrawy /.../”), wybitnego prozaika hebrajskiego, który z humorem malował w swych opowiadaniach galicyjskich chasydów, oszustwa podstępnych cadyków i wieczory poświęcone wspólnemu czytaniu Pisma Świętego były dla Romana najpiękniejszymi wspomnieniami z czasów chłopięctwa.

Dziadek nauczył go miłości do Biblii. „Bę-

dziesz Biblię nieustannie czytał. Będziesz ją kochał więcej jak rodziców... Więcej niż mnie. Nigdy się z nią nie rozstaniesz. A gdy zestarzejesz się, dojdiesz do przekonania, że wszystkie książki, jakie przeczytałeś w życiu, są tylko nieudolnym komentarzem do tej jednej Księgi". Wierny pamięci dziadka wnuk cały swój dorobek pisarski nierozzerwalnie związał ze światem Biblii.

„Księgo,
Do której codziennie wracam
Coraz uboższy o świat
I coraz bogatszy
O ciebie,
O ciebie,
O ciebie” /.../”.

Z rodzinnego domu wyniósł też Roman trwającą przez całe życie miłość do muzyki (matka grała na fortepianie), i miłość do teatru. „Dla mnie teatr jest kościołem sztuki. Przedstawienie jest nabożeństwem słowa/.../”. Dzieciństwo poety było szczęśliwe. To był czas, kiedy słuchając nocą zegara z kukułką, wierzył, że to Pan Bóg roztacza nad jego domem szczególną opiekę i „ptaszęcym głosem daje znać o swoim czuwaniu”, „dzieciństwo to był czas, kiedy „nie było śmierci”.

Odebrał Roman staranne humanistyczne wykształcenie, (filologia polska i filozofia, doktoryzował się na podstawie dysertacji poświęconej politycznej działalności Mickiewicza), zaczął pisać, pracować, podróżować po Europie. Był przed wybuchem wojny żarliwym syjonistą do tego stopnia, że oburzony jakąś sugestią, jakoby zamierzał się ochrzcić, skierował sprawę do sądu, a błyskotliwym esejem „Zmowa eunuchów” odpowiedział na antysemityczne ataki, których doświadczył po wydaniu swych wierszy.

Kres dotychczasowemu życiu Romana, choć początkowo pewnie nie przypuszczał, jak dalece się wszystko odmieni, położył wybuch wojny. Przez wiele lat, obciążony poczuciem winy, nosił w sobie wspomnienie ostatniego pożegnania z matką. „Pamiętam tę noc i te schody, którymi wtedy schodziłem. Stałaś w drzwiach zapłakana. Domyśliłem się, że chciałaś mnie zatrzymać, ale nie śmiałaś tego uczynić /.../. Ty już dawno nie żyjesz [oboje rodzice poety zginęli w komorach gazowych w Treblince – przyp. M.N.-K.]. A ja wciąż schodzę tymi samymi schodami i wciąż boję się za siebie obejrzeć”. Roman wyjechał do Wilna, pojawiła się nawet szansa na szczęście, poślubił tam bowiem po-

znaną wcześniej Żydówkę, Tamarę Karren, parającą się, podobnie jak on, literaturą. Pobyt w Wilnie rychło stał się niebezpieczny, musieli wyjechać do Jerozolimy, (zbyt mocno zainteresowało się nimi NKWD), gdzie Roman współpracował początkowo z wydawnictwami hebrajskimi, a potem, dzięki pomocy swego profesora z lat studiów – Stanisława Kota – otrzymał posadę w nasłuchu radiowym w Polskiej Agencji Telegraficznej.

Lata spędzone w Jerozolimie okazały się być dla Romana czasem bardzo trudnym,

„/.../Każdy ma swoją pustynię, na której
Umiera z żaru, głodu i pragnienia/.../”,

tu doszła do niego wieść o śmierci rodziców. „Był nerwowy – wspominała Tamara – trudny we współżyciu /.../ skłócony z otoczeniem, coraz bardziej wyobcowany ze środowiska, zarówno żydowskiego, jak i polskiego. Spokój znajdował w wędrówkach murami starej Jerozolimy, w zagłębianiu się w jej miejsca święte/.../”.

Kolejnym ciosem było dla Romana odejście żony. Tamara nie wytrzymała ciągłego napięcia, zmiennych nastrojów, nerwowych ataków Romana i opuściła go (rozeszli się na mocy tzw. przywileju świętego Pawła, który umożliwia przeprowadzenie rozwodu, jeżeli jeden z małżonków przyjmuje chrzest, a drugi, będąc wyznawcą religii niechrześcijańskiej, kategorycznie odmawia pozostawania w związku małżeńskim z ochrzczonym), „to ja odeszłam od niego /.../ bez uprzedzenia. Poznałam oficera wojska polskiego, lekarza chirurga, bohaterskiego operatora zbombardowanego Tobruku/.../. Wydał mi się ostoją spokoju, równowagi, opieki. Zakochałam się w nim/.../”. Roman cierpiał, nie mógł, ale i nie chciał zapomnieć niczego, czym doświadczył go los.

„Nie chcę zapomnieć,
Chcę zachować pamięć,
Chcę pamiętać wszystko.
Wszystko.
Na przekór pragnieniu”.

Pewnej nocy, po zakończeniu służby w radiowym nasłuchu, przypadkiem odnalazł wśród starych gazet zgromadzonych w pokoju reprodukcję siedemnastowiecznej rzeźby z kościoła San Damiano w Asyżu, przedstawiającą ukrzyżowanego Chrystusa (z obrazkiem tym nie rozstał się już do końca życia). W przebiegu jakiejś swoistej iluminacji (nigdy nie powiedział wprost, co dokładnie

zdarzyło się tej nocy), doznał głębokiej duchowej przemiany, dostrzegł życie w martwym Chrystusie, uwierzył w Jezusa jako Mesjasza. („.../doznałem uczucia niepokromionej dumy, że ten najpiękniejszy Człowiek Historii urodził się z krwi moich starożytnych praojców”). Opuścił Jerozolimę i przez Egipt dotarł do Rzymu, gdzie przyjął chrzest.

„Było to wówczas, gdy pinie schodziły
Ze wzgórz jak orszak zielonych westalek
Z dłońmi na głowach. Pod latyńskim niebem,
Słuchając mego wewnętrznego głosu,
Który mi mówił, że powinien Boga
Wynieść wysoko na szczyt mojej prawdy,
Począłem dźwigać w trudzie rąk i czoła
Ten Głaz najświętszy na wierzchołek góry”.

Decyzję o zmianie wyznania uznał Roman za absolutnie oczywistą. „Ja nie byłem poganinem, bym miał się nawracać. Po prostu uznałem Nowy Testament za całkowite wypełnienie Obietnicy Pańskiej zawartej w Starym Testamencie. I na tym koniec. Cała reszta była tylko logiczną konsekwencją tego faktu”.

Stał się zdrajcą dla Żydów (był świadom negatywnego osądu przez swoich – „Oni mi tego nie wybaczą nigdy”), konwersja bowiem, zwłaszcza na katolicyzm, w judaizmie odczytywana jest jako zdrada nie tylko religii przodków, ale i tożsamości narodowej. Z punktu widzenia judaizmu wykluczone jest godzenie przynależności do innej religii z żydowską narodowością. W oczach Żydów Roman jako konwertyta przestał być Żydem. Naraził się dodatkowo, bo nie odciął się od judaizmu, przeciwnie, twierdził, że jako katolik stał się pełnym Żydem.

Ożenił się powtórnie (małżeństwo oparte było na wielkiej, wiernej miłości – „Była mym domem”), z Reginą Wiktor herbu Brochwicz, sekretarką ambasadora polskiego w Rzymie. Musiał też zdecydować o przyszłości. Po latach tułaczki postanowił wrócić do kraju. Szczęściem przejmowało wszystko, nawet pierwsze, skromne śniadanie na polskiej ziemi, zamówione na jakimś dworcu, chleb, kiełbasa, herbata („.../ Chleb był razowy, świeży, dobrze wypieczony, o ścisłym miększu, nieco przypalanej skórce /.../, po raz pierwszy od wielu, wielu lat trzymałem w palcach ojczysty, polski chleb”). Zamieszkał z żoną najpierw w Poznaniu, (ówczesny minister kultury nie zezwolił na osiedlenie się w Warszawie czy Krakowie), a potem na lat parę w Zakopanem, którego klimat lepiej

służył chorej na płuca Reginie.

Nielatwo było Romanowi odnaleźć spokój, równowagę duchową:

„.../Po dwóch wojnach,
Dziesięcioletniej włóczędze
I długich nocach Walpurgii
Siedzę nad partyturą czasu
Rozłożoną na pulpicie
I nie wiem, co mam uczynić
Z moim dziedzictwem –
Rozbitek, który przeżył lepszych od siebie/.../”.

Niepokoilo go coraz więcej negatywnych zjawisk w świecie – ateizm, egoizm, ubóstwienie techniki:

„Zostawimy wam w spadku /.../
Bombę kobaltową
I penicylinę,
I cybernetykę,
I elektryczną maszynkę do golenia
I nudę postępu /.../”,

chciał więc doskonalić świat, pokazywać ludziom, jakimi być powinni, choć nie było łatwo wypełnić takie posłannictwo.

„.../Ludzkiemu życiu trzeba znów przywrócić
Straconą wartość.
Jakim sposobem?
Nie wiem... Nie wiem... Nie wiem...”.

Chciał być sumieniem dla siebie i współczesnych jako katolik, ocalić świat, zmierzający, jego zdaniem, do zagłady.

„.../Oto jest kodeks poety,
Który sobie ubzdurał /.../
Że potrafi świat uleczyć,
A co najmniej uzupełnić,
Słowami”.

Stawiał sobie wysokie wymagania, bo przecież źródłem dobrego pisania była dlań moralność.

„.../tylko wówczas
Jestem,
Gdy jestem dobry.
Oto jedyna miara
Mojego człowieczeństwa
I istnienia”.

Żona stworzyła mu szczęśliwy dom, prowadzili szerokie życie towarzyskie. Ona lubiła grać w brydża, on wołał, sącząc dzin i paląc fajkę, przyglądać się grającym i rozmyślać nad swoim

powołaniem.

„/.../Poezja jest labiryntem,
Z którego nie wolno znaleźć
Wyjścia”.

Ona hodowała kwiaty”

„/.../Jest fikus, mieszczański aptekarz,
I są storczyki o paszczach chińskich smoków,
I biała hortensja w koronkach,
Ale nad wszystkim króluje
Burza azalii/.../”.

on dumiał o zagadkach bytu:

„/.../ciało,
Ten strój
Mało odpowiedni
Do przechadzek
Metafizycznych/.../”.

Nadał, rozdarty między miłością i cierpieniem,
przeżywał napady niepokoju:

„/.../za mną chodzą wszędzie
Te same niepokoje,
Te same, te same
Dyskutujące erynie/.../”.

Nie szukał, jak wielu, ucieczki od rzeczywistości: „Jeden ucieka przy pomocy alkoholu, drugi lektury, trzeci samotności, czwarty milczenia, inny znów przy pomocy marzeń, bujnej wyobraźni, snów”. Siły szukał w modlitwie, walcząc, by była szczerą, głęboką, bo przecież

„/.../Jak łatwo jest udawać wiarę
Jak łatwo jest poruszać wargami
I zmawiać modlitwę ugorów,
Litanię kamieni,
Litanię pustki/.../”.

Rodzinne miasto odwiedzał rzadko: „Któż chętnie jedzie na cmentarz minionych lat?”. Ostatnie lata spędził znów w Poznaniu. Wieczorami,

„Gdy ma się ku zachodowi
I z lipy przed moim domem opadają liście/.../”.

zwykle czytał, najchętniej Pismo Święte.

„/.../Siedzę nad Tobą
Biblio
I uczę się śmierci,
Może tego jednego w końcu się nauczę”.

Mysł o śmierci („Im puściej robi się dokoła mnie, tym więcej roi się w moich medytacjach

od przybyszów z zaświatów”), pojawiała się coraz częściej:

„/.../śmierć
Może bogatsza od życia?
A może po prostu mądrzejsza od życia?”.

Regina odeszła wcześniej.

„Minęła radość poranków.
Minęła radość wieczorów.
I tylko noce się kłębią
Przysypane popiołem
Zimnym, wygasłym/.../”.

Roman rozpacział, upływający czas nie okazał się być litościwym lekarzem, żonę przypominały trwalsze, niestety, od ludzkiego życia przedmioty, pelargonie na oknie, jakiś stary bilet, ubrania w szafie. Samotny, zbolaty siadywał pod lipą,

„Przecież muszę się jakoś pomieścić
W ciasnych wymiarach
Tego bezlitosnego wieczoru”.

by nadal rozmawiać z Reginą:

„/.../można rozmawiać
Z umiłowanym milczeniem”.

Czekał, czekał trawiony przemożną tęsknotą za ukochaną żoną, na własną śmierć.

„Wciąż myślę o tobie.

Wciąż.

Dniem i nocą.

Aż powiesz:

- Już czas ...

Odpowiem

- Tak – Już czas ... /.../”.

Nie czekał długo, zbolące serce nie wytrzymało, zmarł na zawał w rok po Reginie. Spoczywają we wspólnym grobowcu, na którym wcześniej polecił umieścić słowa Apostoła – „Przeszliśmy ze śmierci do życia”.

Małgorzata Nowakowska – Karczevska

Bibliografia:

Roman Brandstaetter: *Hamlet i łabędź*, Wydawnictwo Poznańskie Poznań 1988, *Przypadki mojego życia*, W drodze, Poznań 1988, *Dwie Muzy*, PAX, Warszawa 1965, *Krąg biblijny*, PAX, Warszawa 1986.

Wikipedia

Ida Jadwiga Łubińska

MOJE CAMINO

Daniela rozpoczęła podróż dobę wcześniej. Wczoraj przyjechała swoim samochodem z Płocka. Zostawi go na czas wędrówki pod naszym domem. Bilety na samolot mamy, wyznaczoną trasę podróży, mapy i przewodniki.

Jest 20 czerwca. Od rana świeci słońce. Adam odwozi nas na lotnisko w Katowicach – Pyrzowicach. O godzinie jedenastej startujemy. Jest znakomita widoczność. Z perspektywy stalowego ptaka krajobrazy odpływają wraz z chmurami. Staramy się rozpoznawać widziane z góry miasta i kraje. Przelatujemy nad połową Europy. Punkt docelowy rejsu – Madryt. Ze stolicy Hiszpanii, jeszcze nocą, czeka nas jazda autobusem do miejsca wyjścia – do Astorgii.

Zadumałam się. Czym dla mnie jest ta podróż? Przygodą, poszukiwaniem siebie, skonfrontowaniem się z własną siłą, a może słabością? Na co dzień nie jestem piechurzem. Przed tygodniem wyszłam ze szpitala. Musiałam dodatkowo do plecaka dołożyć prawie kilogram leków. Oczywiście, nie przyznałam się prowadzącym mnie lekarzom do swoich planów.

Bilety czekały od pół roku, siostrzana dusza – Daniela też.

I było marzenie, by dotrzeć na plac Obradoiro przed katedrą Św. Jakuba w Santiago de Compostela, były koperty, a w nich trzydzieści trzy prośby i modlitwy – moje, przyjaciół, znajomych... I rodzaj niepokoju, jak sobie poradzimy, jak wytrzymamy upały, trudy drogi, obcy teren... Utrudnieniem będzie nieznajomość angielskiego, nie dość dobra niemieckiego, język francuski nie szlifowany od młodości a hiszpański poznawany z „rozmówek”. Ale nic to.

Za szybą samolotu zapada zmierzch. A ja jestem coraz bardziej refleksyjna. Nie wyjaśniłyśmy sobie z Daną naszych osobistych oczekiwań, potrzeb, celu...

W marcu, gdy wyznaczyłyśmy trasę pielgrzymki, tak, pielgrzymki, bo każda podróż przeprowadzona w służbie duchowej natury jest pielgrzymką, wysłałam do Daniela maila. Mniej więcej takiej treści:

„Santiago de Compostela jest miejscem, które posiada szczególną moc i wyjątkową, i długą tra-

dycję. Ale są przecież na świecie również niechrześcijańskie miejsca o niezwyklej mocy. Wszystkie te ośrodki kultu są czczone przede wszystkim ze względu na wiarę niezliczonych rzesz, które ściągają w te miejsca od wieków, nie jako turyści, lecz jako poszukiwacze prawdy o sobie i swoim związku ze światem duchowym”.

Co jest celem tej wędrówki? Zawsze na początku jest ciekawość, odkrywanie nowych miejsc, kultury, obyczajów, poznawanie ludzi. To klasyka podróży. Jest też aspekt metafizyczny. Otwarcie się na doświadczanie innych stanów świadomości, bez oczekiwań, bez definiowania, osądzania... odnalezienie w sobie dziecięcego zachwyty, spontaniczności. I empatii. Wobec słabości i niedostatków zarówno tych własnych i tych, które przypisujemy naszym współtowarzyszom... To stanowi sens i cel tej drogi.

Zrozumienie przekazu, jakie niesie droga, nie będzie proste. Bo przychodzi stopniowo, etapami, niekiedy wiele lat później. Zupełnie jak zasiane ziarno, które – zanim wyda owoc – potrzebuje czasu, by dojrzeć. Bez względu na to, co odkrywamy, zmienimy się. Może zmiana zaskoczy nieoczekiwaną perspektywą, otworzy nowe możliwości? A może da poczucie harmonii lub przeciwnie, niepewności i zaintrygowania?

Zawsze będzie to kolejny krok w kontynuacji i pogłębianiu własnej praktyki duchowej...

Mea culpa! Zagalopowałam się w swoich rozważaniach...

Przecież każda droga jest inna, nawet, jeśli idziemy w tym samym czasie, rytmie, obok siebie – inne będziemy mieć oczekiwania, inne odczucia, inne spostrzeżenia. Tak jak niepowtarzalna jest każda istota ludzka, jak nieporównywalne są nasze losy. Tak też niewyobrażalne jest Camino de Santiago. Spoglądam na Danielę. Śpi wtulona twarzą w kurtkę.

Autobusem przez noc

W Madrycie lądujemy po zmroku. Lotnisko połączone jest ze stacją metra, które dowozi nas do dworca autobusowego. Wyjeżdżamy w dalszą drogę po północy. Czuję się bardzo zmęczona. Cały dzień w podróży. Chyba szybko zasnę. Niestety, zmęczenie nie pomaga. Myśli kołaczą po głowie. Osobliwością nocnej autostrady jest to, że wynurzające się z mroku obrazy szybko znikają, jak klatki taśmy filmowej. Za szybko...

Przywołuję w pamięci legendę i historię pielgrzymiej drogi.

Ósmy wiek. Głębokie średniowiecze. Galicia, dzikie krańce chrześcijańskiej Europy, pieszo – trzy dni drogi do Atlantyku. W górzystych, wilgotnych lasach, do których nie zapuszczają się nawet mużłmańscy zdobywcy kraju, w odludnym miejscu klęka do modlitwy mnich Pelayo. Wznosząc pobożnie oczy ku niebu, spostrzega płynącą wstęgę spadających gwiazd. Wszystkie lecą w jednym kierunku. To znak – myśli! Nie zastanawiając się, rozgarnia gałęzie, przeciskając się przez krzaki, pędzi w tamtą stronę. Nagle potyka się o głaz. Ten głaz to... sarkofag. Polana pełna jest rozbłysków gwiazd.

Zwraca się o pomoc w wyjaśnieniu zagadki do biskupa Teodomira. Jakiś czas później wokół kamienia zbierają się mieszkańcy tej górskiej krainy, Galowie. Zgromadzeni wokół biskupa, przyglądają się, jak ostrożnie otwiera sarkofag i bada szczątki. Wokół zalega pełna oczekiwania cisza. „Pamiętacie historię Jakuba – pyta wreszcie Teodomir – pierwszego męczennika z grona dwunastu Apostołów Pana Jezusa? Gdy Jezus przemieniał się na górze Tabor, było z nim trzech Apostołów: Piotr oraz Jan i Jakub, dwaj bracia, synowie Zebedeusza. Byli z nim też w Ogrójcu. Piotr spoczywa w Rzymie. Jan, spisawszy swą Ewangelię, zasnął w nieznanym miejscu. Jakub był niezwykle aktywnym misjonarzem i zawędrował najdalej ze wszystkich uczniów Jezusa, do Hiszpanii. Ją też sobie upodobał. Gdy zmarł męczeńską śmiercią, uczniowie przewieźli jego zwłoki do Hiszpanii i ukryli. Oto przed wami trumna i szczątki Apostoła, Jakuba Większego” – zawyrokował.

Wiść błyskawicznie rozniosła się po okolicy, a potem po państewkach chrześcijańskiej północy.

Chociaż nie wszyscy wierzą w autentyczność grobu, nic nie może zatrzymać lawiny pielgrzymów z Europy, a potem z całego świata.

W chwili, gdy gwiazdy rozbłysły nad głową mnicha Pelayo, narodziła się legenda i największy pieszy szlak pielgrzymkowy w dziejach chrześcijaństwa.

Przystanek – Astorga

Około piątej rano. Przystanek – Astorga. Głos z mikrofonu jeszcze dźwięczy w uszach. Chociaż autobus pełen był pasażerów, na przystanku wysiadamy tylko ja i Daniela. Dworzec autobusowy

pozamykany na „wszystkie spusty”. Na dworze ciemno, siąpi deszcz i wieje wiatr. Dopiero teraz uświadamiam sobie, że w tej części Europy słońce wstaje znacznie później, niż w Polsce i zachodzi też o wiele później. Na ulicy żywej duszy. Tylko czasem przemknie taksówka. Rozglądamy się. Po przeciwnej stronie ulicy pięknie podświetlony pałac. Wokół skwer, ławki a nieco dalej wysmukłe wieże. Wieże na drugim planie należą do najślawniejszego zabytku Astorgi, XIV-wiecznej, gotyckiej katedry. A przed nami fantastyczny Palacio Episcopal autorstwa młodego Antonio Gaudiego.

Z pałacem wiąże się pewna anegdota. Do nowo wybudowanej rezydencji z jasnoszarego granitu, z przestronnymi, zdobionymi ceramiką wnętrzami, infulaci nie chcieli się wprowadzić, uważając ją za zbyt nowatorską. Teraz jest atrakcją architektoniczną.

Jesteśmy niewyobrażalnie zmęczone, śpiące, uginamy się pod ciężarem plecaków. Ruszamy w górę ulicy w poszukiwaniu noclegu, miejsca, by odpocząć, cokolwiek.

Czuję się przewodniczką, więc nadrabiam miną i głosem, ale w środku, w głębi cichutko miauczę: Święty Jakubie dopomóż, nie pozostawiaj strudzonych pątniczek na ulicy. Światła latarni wydłużają nasze cienie. Jedna przecznica, potem druga... Na rogu neon i napis „Hostel”. Naciskamy klamkę. Otwarte. Ulga. Wchodzimy do oświetlonego holu. Jest recepcja, ale nikogo w niej nie ma. Pukamy, wołamy „halo, halo”. Żadnego ruchu, dźwięku. Po paru minutach zdejmujemy z ramion plecaki, rozsiadamy się na krzesłach. Budzę się z otwartymi ustami i głową opadającą w bok, obok pochrapuje Daniela. Wygląda podobnie. Patrę na zegar. Wskazuje wpół do siódmej. Za oknem ciemno. Znów zapadam w drzemkę. Po godzinie ósmej do holu schodzi pani. Jest zdziwiona, jak dostałyśmy się do wnętrza? Przecież, jak zwykle, zamykała na noc drzwi. Pojawia się też właściciel. Wynajmujemy pokój. Gospodarz podaje rachunek. Płacimy za jedną noc, najbliższą. Nareszcie możemy wziąć prysznic i pośpać do południa.

Dziękuję, Święty Jakubie.

Czas na zwiedzanie

Przed godziną trzynastą, odświeżone, wyruszamy na zwiedzanie. Założona przez Rzymian

Astorga była ważnym miastem na *Via de la Plata* (Srebrny szlak). Zniszczona w IX wieku przez Maurów odzyskała w średniowieczu świetność. Jest ważnym przystankiem na Camino de Santiago.

Astorga zachwyca. Tu współczesność, średniowiecze i starożytność współistnieją obok siebie. Ten pierwszy dzień ma urok egzotyki. Wszystko wydaje się inne, ciekawe. Gubimy się w wąskich, urokliwych uliczkach. Ale niespodziewanie pojawia się *cicerone*. To Jose – Hiszpan, w słomkowym kapeluszu, krótkich spodniach, z rowerem. Poszukiwacz chętnych do słuchania jego opowieści o ukochanym mieście. Z pomocą idą ręce i wszystkie znane i nieznane języki. Jose pokazuje wczesnośredniowieczne ruiny, ślady arabskiej kultury w enklawach berberyjskiego ludu Maragatos, w nowoczesnym markecie pod szklaną podłogą odsłania przed nami starożytne fosy i mury. Kolej na zwiedzanie katedry. Po kilku godzinach biegania z Jose nie mamy ochoty na dalsze zgłębianie historii ani penetrację kolejnych, ważnych obiektów. Uprzejmie, ale stanowczo żegnamy naszego przewodnika, pozując do pamiątkowej fotki.

Ładujemy na wygodnej kanapie w pobliskiej restauracji. Przed nami suną leniwie gromady spacerowiczów, a my smakując nieznane potrawy, folgujemy podniebieniu.

Wyruszamy o świcie

Godzina ósma. To jeszcze świt, czy już dzień? Wczoraj o dwudziestej trzeciej było widno i głośny gwar dochodził z ulicy. Kierujemy się na szlak. Jeszcze tylko zdjęcie do dokumentacji. Na kamienistej drodze jesteśmy z Danielą w pątniczym rynsztunku i pełnej gotowości.

Co powinien mieć pielgrzym? Kij, kapelusz, muszlę, plecak, dobre buty i zdrowe nogi, kiedyś tykwę z wodą a dziś plastikową butelkę. Muszla była znakiem Jakubowego błogosławieństwa, pełniła też funkcje praktyczne, np. można nią było czerpać wodę ze źródła. Pielgrzym idzie pieszo, z plecakiem. Bardziej zamożny i wygodny może zamówić samochód, który przewiezie jego bagaż do wskazanego schroniska.

Aby otrzymać *compostelę*, czyli świadectwo drogi, trzeba przejść pieszo minimum sto kilometrów. Compostelę otrzymują też pątnicy – ro-

werzyści i jeźdźcy konni. Rowerzystów sporo. Wiedziałam też kilku pielgrzymujących na koniach. Ci muszą pokonać dwieście kilometrów, by otrzymać świadectwo drogi. Stroje, zachowania przeróżne.

Wspólne jest pozdrowienie, które towarzyszy wszystkim napotkanym, tym pielgrzymującym i tym, którzy żyją w pobliżu drogi. Tradycyjne pozdrowienie to: „*Buen Camino*”, „*Buen dias*” lub przestarzałe, rzadko używane: „*Ultreia!*”. Pochodzi z pieśni ku czci św. Jakuba: „*ultra ia et sus eia*”... – „Idź naprzód, sięgaj wyżej!”.

Na Camino nic nie dziwi... dlaczego ma dziwić? ...Ultreia!

Dzisiaj chcemy dotrzeć do Ponferrady. To kawał drogi. Słońce świeci. Kapelusz chroni. Jest pięknie.

Dróg do Santiago jest wiele

Nasza należy do najstarszego i najdłuższego (ponad osiemset kilometrów) szlaku francuskiego. Zaczyna się we Francji, w Saint Jean-Pied de Port, górskiej miejscowości, u stóp Pirenejów. To również najczęściej uczęszczana droga.

Wybrałyśmy z Danielą jej fragment – 250 kilometrów. Tylko tyle i aż tyle. Zważcie kochani, że dopiero opuściłam szpital. Moje szczęście, że nie potrafię zamartwiać się problemami zdrowotnymi. Daniela też nie mogła wziąć dłuższego urlopu. Trzy tygodnie, to w sam raz na naszą wędrowną i inne projekty. A plany mamy ambitne.

Jest jeszcze Camino Aragones, Camino de Norte, Camino Primitivo, Camino Portuques i pomniejsze. Jakubowe szlaki z całego świata zbiegają się w kilka odnóg, które jak linie pątniczej muszli – prowadzą ze wschodu i południa do jednego celu. Każda z tych dróg kryje historie tysięcy pielgrzymów, których stopy wydeptowały ścieżki do grobu Apostoła.

Dla tych, którzy po wielodniowym trudzie znajdują się na placu Obradoiro, przed katedrą w Santiago de Compostela, podobno podróż nie kończy się.

Teraz kroczymy, podpierając się dwoma kijami po kamienistej, wijącej się wśród krzaków i zieleni drodze. Jest gorąco i parno. Rosnące na poboczach drzewa rzucają przyjemny cień. W zasięgu wzroku usadowiły się przydrożne głązy. Pewnie przysiadziemy, napijemy się wody.

Układamy się na ziemi. Jest chłodna, oczy same się przysmykają, nad uchem brzęczy owad, oganiam się. Poleżymy trochę.

Kamień na drogę

Tradycja nakazuje, aby przed wyjazdem na Camino wziąć z domu kamień, który utożsamia stare przewinienia, niepotrzebne nawyki, a potem zostawić go tam, gdzie sterta ułożonych kamieni. W ten sposób chcemy pogrzebać zbędne przywary, obciążające stereotypy, by mógł narodzić się nowy człowiek. Nowy i lepszy... Tylko dlaczego na naszym szlaku nie zauważamy miejsca ze stosem kamieni? Czy dlatego, że nie dźwigamy go z sobą?

Prośby i modlitwy zostawiamy w szczelinie, przy grobie Świętego, w Santiago.

Trzeci zwyczaj każe spalić stare, zniszczone przez mitręgę ciuchy, przy zerowym słupku na Finisterze, cyplu wysuniętym daleko w wody oceanu i uważanym w średniowieczu za koniec świata. To także ostatni, choć nie obowiązkowy, przystanek na Jakubowym szlaku.

Jednym z charyzmatów Drogi Św. Jakuba jest to, że stając się pielgrzymem, zgadzasz się na wszystko, co cię spotyka, przyjmujesz z pokorą i zaufaniem wszelkie trudy, kontemplujesz zdarzenia i próbujesz rozszyfrować, czego uczy cię dana sytuacja, czego uczy Camino.

Hiszpańskie powiedzenie: „*El turista exige, el peregrinos agradece*”, czyli „turysta wymaga, pielgrzym dziękuje” uświadamia tę istotną różnicę.

W dali widać mury Ponferrady...

Położone wśród gór miasto wzięło nazwę od średniowiecznego mostu wzmocnionego żelaznymi elementami (*pons ferrata*). Położone nad rzeką Sil i Boeza przez wieki rozrosło się, stając się ważnym ośrodkiem handlowym i administracyjnym.

Najciekawszą i największą budowlą Ponferrady jest zamek zakonu Templariuszy górujący nad głęboką doliną. Budowano go ponad 160 lat (1218 -1380) Tę ogromną fortecę z wieżami i blankami wzniesiono dla ochrony przed Maurami zmierzających do Santiago pątników. Historia zamieszkałych tu rycerzy zakonnych nie była wiele dłuższa niż budowa twierdzy. Kolejne wieki to czas sporów i bitew o prawa do zamku.

Najpierw jednak chcemy znaleźć *alberque*, pielgrzymią noclegownię. Ponferrada jest stolicą dystryktu El Bierzo. W sezonie nocuje tu wielu wędrowców. Alberque są tanie, czyste, zazwyczaj pod opieką municypalną. Aby otrzymać zakwaterowanie, trzeba wylegitymować się paszportem pielgrzyma, a następnie dopilnować wpisu i pieczętki. Kiedy miejsce do spania jest „zaklepane”, wyruszamy coś zjeść. Dzisiaj był trudny dzień. Jesteśmy wyczerpane, nie przywykłe do ekstremalnych wysiłków, ale to miejsce jest wyjątkowe. Będziemy zwiedzać!



Wejście do Twierdzy Templariuszy w Ponferradzie

Twierdza Templariuszy jest pomnikiem narodowym od 1924 roku. Wchodzimy przez stary, zwodzony most otoczony dwiema wieżyczkami połączonymi ze sobą łukiem. Majestatyczne mury dają cię, ale i przywodzą tajemnicze i smutne dzieje wyrzuconych stąd Rycerzy Świątyni.

U stóp zamku, w dolinie, rozciąga się Starówka, gdzie pośród wąskich uliczek z romantycznymi arkadami i wykuszami znajduje się większość zabudów miasta: Torre de Reloj – historyczny zegar, datowany na XVI wiek, umieszczony na jednym z łuków starych murów, kościół de San Andreas, Museo del Bierzo, z udokumentowaną historią miasta i regionu od paleolitu... i wiele innych.

Wędrowki ciąg dalszy

Po wczorajszych doświadczeniach decydujemy się na losowy przystanek. Wędrowanie ma być krótsze, mniej męczące, przyjemniejsze. Wczorajszą drogę czujemy w nogach i kościach. Z nieba leje się żar. Dana nałożyła tetrową pieluchę, by osłaniać głowę i ramiona.

Ja też bardziej upodobałam się do średnio-wiecznego pątnika – zamiast eleganckich kijków, kupionych w Astordzie za sporą kwotę, w euro, mam do podpierania potężny kostur. Współczesne *nordic walking* zgubiłam na pierwszym postoju, nie przyzwyczajona do ich towarzystwa. Teren tu nierówny, pofałdowany; wzgórza, stromizny, podłoże kamieniste, twarde. Przy ostrych zejściach nieodzowna jest podpórka.

Rejon El Bierzo przyciąga turystów pięknymi krajobrazami, malowniczymi wioskami, fantazyjnymi skałami i formami pobliskich wzgórz. Są po drodze niezliczone winnice, gaje eukaliptusowe, pola hiacyntów, łąki, pastwiska. Są stare, kamienne budowle, niekiedy opuszczone, wymarłe wioski i wyschnięte koryta rzek.

W trudnym terenie wędrowiec większość czasu spędza patrząc w ziemię. Wtedy idzie się łatwiej, ciężar plecaka mniej uwiera, gdy nie potyka się o nierówności. Co jakiś czas spoziera wokoło, aby obejrzeć krajobraz i jeśli widok oczaruje, wyprostuje się, zatrzyma na chwilę, pstryknie zdjęcie. Potem znów zanurza się w myślach.

Można też spojrzeć na drogę jak na konspekt ludzkich emocji, psychicznych huśtawek. Są chwile zachwytu i znużenia, radości i smutku, wiary i zwątpienia, spokoju i grozy. Spotykasz ludzi, którzy towarzyszą ci dłużej i takich, których widzisz krótko, zapamiętujesz lub nie.

Na Camino codzienne problemy zredukowane są do najprostszych czynności: trzeba coś zjeść, zrobić zakupy, pranie, znaleźć nocleg. Dzięki temu możesz lepiej zobaczyć, jak reagujesz na to, co przynosi życie, jakie są twoje relacje z innymi ludźmi, jakie masz uprzedzenia, słabości. Ale też siłę charakteru, wytrwałość...

No właśnie. Teraz jest mi gorąco, podkoszulek przykleja się do pleców. Czuję znużenie. Pić się chce. Czy słabość to, czy zwykłe zmęczenie? Stop filozofii drogi... Według mapy, gdzieś tu, powinna być wioska Camponaraya. Jeszcze troszkę. Za wioską, w nowoczesnym pawilonie, cafeteria. Dobre miejsce na odpoczynek: cień drzew, siedziska, stoły i fontanna. Pijąc mrożoną kawę, próbujemy ochłonać, wyciągnąć leniwie nogi, wymienić parę uwag.

W toalecie czysto, papier, mydło. Będzie tak na wszystkich postojach. Powoli idziemy dalej. Skwar i duchota wyjątkowo trudne do wytrzy-

mania. Trzymamy się poboczny, by uchwycić choć trochę cienia i przysiadamy częściej, szukając wytchnienia na zacienionych polanach leśnych.

Podążając wzdłuż rzeki Wua, docieramy do Cacabelos, wioski znanej już z czasów rzymskich. Tu się zatrzymujemy. Przy kościele Santa Maria de la Plaza, którego fragmenty przetrwały od XVI wieku, znajduje się – najciekawsze moim zdaniem – alberque parafialne. W okracającym kościół białym murze, z niszami urządzono dormitorium dla pątników. W niszach małe, proste, z dwoma drewnianymi łózkami, cele. W murach usytuowano też prysznice i toalety. Po wielogodzinnej wędrówce najważniejszy jest chłodny prysznic. Drzwi od cel otwarte. Pod konarami potężnych drzew ustawiono stoły i ławy. Tutaj przygotowujemy posiłek, rozmawiamy z sąsiadami. Poznajemy Mariana. Pochodzi z Bieszczad. Swoją wędrówką podjął w francuskim Saint Jean-Pied de Port. Maszeruje od trzech tygodni. W drodze zaznał przejmującego zimna, ulewnych deszczy, upałów, wielu niedogodności i trudów. Tak pogodnie o tym opowiada.

Nasze alberque, choć surowe, jest niezwykle piękne. Emanuje spokojem i niezwykłą energią. Czuję się nadzwyczaj szybko zregenerowana.

Za chwilę zadzwonię do domu, do Adama. Wymienimy się nowinami, wrażeniami. Dopytam o dzieci. Odnajdę bliskość, mimo dzielących odległości i czas, tykający tu jakby innym rytmem, wolniejszym. Komórka to fajny gadżet.

Villafranca del Bierzo

Kolejny poranek. O tej porze jest rześko. Nogi przyzwyczały się do wędrowania i niosą nas lekko i łatwo. Jak dobrze, że kupiłam markowe, wygodne obuwie sportowe. Słońce skrywa się za obłokami. Ciszę zakłócają trele ptaków wyśpiewujących swoje opowieści. Droga oddzielona jest szerokim pasem niskiej roślinności od trasy samochodowej. Jak na wczesną godzinę, sporo pielgrzymów, pieszych i jadących na rowerach. Wąski, piaszczysty dukt zmusza, by schodzić na zielone poboczne. Denerwują rowerzyści, jadący ostro i szybko. Tym trzeba uskakiwać na boki.

Tuż obok minął nas szybkim, sprężystym krokiem wysoki, smukły mężczyzna. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie pies, posłusznie trzymający się nogi. Co dziwnego? Oglądał się do

tyłu i patrzył na mnie przeciągłym, przenikliwym wzrokiem. Gdy zaintrygowana przystanąłam, niespiesznie odwrócił się i grzecznie poszedł za swoim przewodnikiem. Jacy dziwnie podobni. Pies ma lśniąco czarną sierść i jego pan też cały czarny: takie spodnie i podkoszulek z kapturem założonym na głowę. Nie wiem czemu, poczułam się nieswojo. Dziwne skojarzenie – pomyślałam i machnęłam ręką, przeganiając je.

Teraz zza drzew wynurza się uboga, opustoszała wioska. W obejściach jest jednak jakiś ruch... z obórek buchają niezbyt miłe aromaty. Stado krów bez pardonu wchodzi na drogę, zagradzając ją i tępo gapiąc się, nie chce iść dalej. Ale przed pomalowaną na niebiesko chatą niesamowite hortensje. Ogromne krzewy, wielkie, błękitne kwiaty i różowe, i białe. Daniela wciska się w bukiety mieniających się kolorami hortensji i nakazuje przerwę na sesję zdjęciową.

W kolejnej wiosce przekazujemy małe *tapas* i pijemy *café con leche*.

Do Villafranca del Bierzo docieramy późnym popołudniem. To jedna z bardziej malowniczych miejscowości na Camino.

Wchodząc do miasteczka mijamy kościół Św. Jakuba, w którym znajdują się *Puerta del Perdon* (Drzwi Przebaczenia). Osoby, które nie mają siły iść dalej do Santiago, mogą w tym miejscu otrzymać dyspensę i dostąpić takich samych łask, co przy grobie Apostoła. Jest warunek. Muszą przekroczyć Puerta del Perdon.

Alberque znajdujemy niedaleko kościoła. Pokoje są nieduże, z piętrowymi łózkami i przestronnymi balkonami. W naszej salce nocuje jeszcze włoska para i ich dziewięcioletnia córka. Mirella, kiedy jest zmęczona, jedzie na osiołku, który dodatkowo dźwiga bagaże. Teraz osiołek odpoczywa, spokojnie żując trawę, za naszym budynkiem.

W restauracji zamawiamy specjalności kuchni regionalnej. Ten region to Asturia. Próbuje *la calderaty*, przygotowanej z gotowanych owoców morza z dodatkiem papryki, karczochów. Nie odmawiamy też sobie szklanki *sidry*, niskoprocentowego (6%) wina robionego z jabłek. To tutejszy przysmak. Sidrę nalewa się z wysoko uniesionej butelki do szklanki.

Zrelaksowane spacerujemy po ruchliwych uliczkach. Czerwone dachówki domów pięknie

komponują się na tle granatowo-szarego pasma gór. Przysiadamy na nabrzeżu rzeki Burbii. Wiatr łagodnie muska włosy i ramiona. To bardzo odpręża.

Wieczorem idziemy na mszę do kościoła San Francisco (XIII wiek) ufundowanego, jak głosi legenda, przez św. Franciszka z Asyżu w czasie jego pielgrzymki do Santiago. Po wieczornym nabożeństwie – spotkanie pątników. Jest spory tłum. Przedstawiają się, mówią, skąd pochodzą. To nieprawdopodobne. Odliczają się ludzie z wszystkich kontynentów: z Azji, z Ameryki Północnej i Południowej, z Afryki i z Australii. Wśród Australijczyków jest Polka, Maria. Tak spędza swój wypadek do Europy. Najwięcej pielgrzymujących jest z Europy.

Taka wielonarodowa różnorodność, kolorowość a jednocześnie jedność, życzliwość i otwartość zmienia optykę na wiele spraw. Pomaga doceniać i cieszyć się z drobiazgów. Dziękczynienie staje się częścią codziennej modlitwy. Dziękujesz za bezdeszczową pogodę, że ktoś podał ci pomocną dłoń, że było miejsce w schronisku, że nie przeszkadzało chrapanie, że skarpetki na czas wyschły...

Villafranca jest bazą przed wyruszeniem w góry. Nim zaśniemy, musimy przeanalizować kolejny etap wędrówki, trzydziestokilometrowy.

Do O'Cebreiro

To najwyżej położona miejscowość na szlaku. Czy podołamy, w górzystym terenie, w jeden dzień przebrnąć taki szmat drogi? Bardzo chcemy dotrzeć, bo miejsce niezwykle. Przewodniki podają, że czas tu jakby się zatrzymał.

W małym O'Cebreiro zachowały się *pallozas* – kryte strzechą chaty o pochodzeniu celtyckim. Uważane są za jedne z najstarszych budowli wzniesionych na naszym kontynencie. Tu też znajduje się najstarsze sanktuarium na Szlaku św. Jakuba. Według podań, w preromańskim kościele Santa Maria la Real z IX wieku przechowywany jest św. Graal, kielich, w którym zdarzył się cud przemiany wina i chleba w Ciała i Krew Chrystusa. Jest kilka innych legend opowiadających o niezwykłości tej wioski. W godle regionu, na błękitnym tle, widnieje złoty kielich.

Stąd aż do oceanu rozpościera się ostatnia

kraina na szlaku Jakubowym, Galicia.

Wybieramy z Daną najłatwiejszy wariant z trzech możliwych dróg. Mimo to, trzeba będzie przejść prawie trzydzieści kilometrów w górzystym terenie. Postanawiamy zdać się na los, chart ducha, siły. Teraz możemy spokojnie spać.

Nazajutrz

Za Villafranca przechodzimy przez most i podążamy za strzałkami, kierując się na Pereje. Droga wiedzie obok szosy. Niedawno specjalnie przystosowano ją dla potrzeb pielgrzymów, jest więc bezpieczna. Szpalery drzew oddzielają nas od hałasu pędzących samochodów. Żwawo marszerujemy, wiedząc, że ranki są najlepszą porą na pokonywanie kilometrów. Czujemy energię. W środku, wewnątrz coś śpiewa. Jest tak pięknie. Rozwidlenie.

Gdzie podziały się jakubowe strzałki i muszla małży? Dotąd zawsze towarzyszyły naszej drodze. Bez namysłu przebiegam jezdnię, by zapytać stojącego na przeciwnym poboczu człowieka o kierunek. Wysoki krawężnik, potykam się... upadam... robi się ciemno, tracę przytomność. Czyjeś ramiona pomagają mi się podnieść. Wokół kilka osób. Podjeżdża taksówka. Mężczyzna zza kierownicy usadawia nas z Danielą w aucie i wiezie do najbliższego ośrodka zdrowia. Relacjonuje recepcjonistce zdarzenie. Chyba nie wyglądało to różowo, bo szybko podjeżdża łóżko. Europejska karta zdrowia, którą na szczęście mam z sobą, sprawia, że otwierają się kolejne gabinety, wykonywane są specjalistyczne badania. Taksówkarz, który z zaangażowaniem opiekował się nami, żegna się. Zdecydowanie nie przyjmuje zapłaty. *Gracias, muchas gracias*. Dziękujemy za bezinteresowną pomoc.

Po kilku godzinach opuszczamy placówkę lekarską z przykazaniem spokoju i odpoczynku. Dobrze, że mogę iść, noga tylko trochę boli, ale rozległy krwiak koło nosa nie napawa optymizmem. Jest po prostu okropny.

Ludowa tradycja mówi, że na Camino z pielgrzymującymi kroczą święci i aniołowie...

Czy mam dość wiary, by umieć dostrzec pątniczych patronów... A ta przygoda, a raczej wypadek? W czym pomogli, przed czym ustrzegli, czego nauczyli?

Camino pisze nowy scenariusz

Jest popołudnie. Co mamy robić? Na pobliski przystanek podjeżdża autobus. Jedzie do Lugo, stolicy jednej z czterech prowincji Galicii. Niewiele zastanawiając się, wsiadamy. Siedząc w autobusie, chyba się odpoczywa. Zbaczamy z zaplanowanego szlaku, ale mamy czas na przemyślenie awaryjnej wersji drogi. Na O'Cebreiro już nie pójdziemy. Wspinanie się na 1300 metrów wysokości, po moim wstrząśnieniu mózgu, nawet niewielkim – nie jest wskazane.

Na dworcu autobusowym kierujemy się do punktu informacyjnego. Pytamy o możliwości powrotu na szlak, o godziny odjazdów, o noclegi. Naszą uwagę cały czas absorbuje wygląd pani z okienka. Koafiura i rzymskie szaty jakoś nie pasują do miejsca i czasu. Wychodzimy przed budynek i kolejne zdziwienia. Przechodnie, kierowcy samochodów – też poprzebierani za Rzymian. Nawet niemowlęta w wózkach ubrane są w malutkie togi. Co jest?

Sobota i wielka zabawa mieszkańców i gości Lugo. Rekonstrukcja starożytnych wydarzeń. Niewyobrażalna skala tego świętowania. Takie, jak my osoby, ubrane we współczesne stroje są w mniejszości. Zostawiamy plecaki i nieobciążone kierujemy się w stronę starego miasta. Rozglądamy się za restauracją. Jest szyld „Pescaderias”. Tego szukamy. Tu serwuje się ryby i owoce morza. Wiadomo, że smakują wybornie, bo pochodzą z pobliskich wód. Do stolika na zewnątrz lokalu sympatyczny kelner przynosi zamówione przeze mnie *chipirones a la plancha*, czyli małe kalmary z patelni. Daniela konsumuje ryżową *paellę* z krewetkami, małżami... Na deser – regionalny specjał, *churros*, paluszki smażone w głębokim oleju. Do tego gorąca czekolada. Endorfiny buszują w krwiobiegu, jest spokój i wypoczynek! Ba! Błogostan.

Z dała dobiega hałas, odgłosy instrumentów dętych, bębnów. Staramy się rozpoznać charakterystyczne dźwięki dud, tradycyjnego tu instrumentu. Grupki Rzymian suną w jednym kierunku, na rynek Starego Miasta. Czas kończyć kulinarną ucztę.

Lugo to jeden z ważniejszych w Galicii, obok La Coruny i Santiago, ośrodków kultury. Istniało już ponad tysiąc lat temu, a jego nazwa pochodzi z języka celtyckiego.

Dochodzimy do potężnego muru. Powstał w czasach rzymskich i ma dwa kilometry długości, grubość od czterech do siedmiu metrów, zaś wysokość dochodzi do dwunastu metrów. Potężne umocnienia znakomicie broniły mieszkańców przed najeźdźcami: Swewami, muzułmanami, normandzkimi piratami... W murze, który okala dzisiejszą starówkę, usytuowanych jest dziesięć bram i siedemdziesiąt jeden wież. Spacer po starożytnym murze jest dla turystów świetną lekcją pogładową.

Nas interesuje reklamowane na wszystkich słupach widowisko historyczne. Jest teraz moda na odległe wydarzenia i stare cywilizacje. Przewodniki podają, że mieszkańcy północnej Hiszpanii uwielbiają wszelkiego rodzaju fiesty, bez względu na porę roku.

Idziemy do centrum przedstawienia – na Plaza Santo Domingo. Po drodze mniejsze, zorganizowane gromady przebranych mieszkańców, prezentują scenki z odległej przeszłości. Obok nas ciągnie hurma barbarzyńców, zakutych w kajdany, wśród nich uprowadzone z podbitych krain kobiety. Rzymscy wojownicy na koniach i z łupami, nahajami poganiają ślaniających się na nogach, wycieńczonych niewolników. Na centralnym placu odprawa wojsk rzymskich: rycerze w zbrojach, pieszo i na koniach. Tych akcji odbywa się kilka, równolegle. Nie wiemy, gdzie się kierować. Idziemy za maszerującą kohortą.

Widowisku towarzyszy rozległy jarmark ulokowany trochę na obrzeżu. Na straganach sprzedawane są regionalne wyroby i pamiątki.

Nas obligeje wieczorny autobus. Przez Lugo wiedzie północny szlak do Santiago, łączący miejscowości nadmorskie. Jedziemy do Sarrii. Tam szlak francuski i północny połączą się. Dzisiaj, jeszcze przed 24.00, dotrzemy do miasta.

Z Sarrii wyruszamy o świcie

Refugio (inna nazwa schroniska), opuszczamy przed siódmą rano. Dobrze, że mamy latarki. Na zewnątrz czarna noc. Drogę wyznaczają żwawo maszerujące ciemne postacie z plecakami. Dość szybko rozwidnia się.

Sarria jest miejscem, z którego często wyruszają pielgrzymi do Santiago de Compostela, do którego jest 111 kilometrów. Wystarczająco, by

uzyskać świadectwo drogi. Miasto założył Alfons IX, który zmarł właśnie podczas pielgrzymki do Grobu Świętego. Sarria szczyci się średniowiecznymi zabytkami sakralnymi, szpitalami dla *peregrinos*, fortecami oraz czterema średniowiecznymi mostami. Nas ciągnie Camino.

Za O' Cebreiro teren opada, przeważnie rzeczny dolinami. Tam też, za kamiennym monumentem z napisem Galicia, godłem i znakiem Jakubowym, wychodzi się na otwarte przestrzenie z widokiem na góry i doliny.

Na początku podróży ustaliłyśmy z Danielą, że będziemy ograniczać rozmowy do minimum, w ciszy kontemplując doznania, obserwacje, drogę. Chyba nam się udaje. Ułatwia fakt, że nie zna się bieżących wydarzeń, nie ogląda telewizji ani nie czyta prasy. Z Polską tylko sporadyczne kontakty. Dyscyplina milczenia też daje wiele satysfakcji.

Teraz Camino wiedzie przez wioskę, zaglądając na podwórka i do zagród, gdzie pobekują owce, muczą krowy, ujadają psy... skąd dochodzą typowe, gospodarskie zapachy, a siwe płoty pochylają się. Tak, jak w naszych zapomnianych, starych wsiach, tyle, że w tle gaje oliwne.

Po drodze kolejne sioła, Barbadelo, Morgade a za nimi ładna, stylowa kawiarenka, gdzie serwują pyszne sorbety. Za kafejką przycupnęła stara kapliczka, zaniedbana i pomazana przez pseudopielgrzymów.

Nieco dalej studnia, kran i napis: *aqua potable*, co oznacza, że woda jest zdatna do picia. Nabieramy do butelek. Na Camino sporo zastosowanych do użytku źródełek i fontann, gdzie można czerpać wodę. Trzeba nauczyć się tylko dwóch hiszpańskich zwrotów; *potable* (pitna) i *no potable* (nie pić).

Horyzont zamykają lasy eukaliptusowe. Te ogromne drzewa, ze względu na szybki przyrost drewna, zostały sprowadzone z Australii w ubiegłym stuleciu. Egzotyczna nowość botaniczna zza oceanu porosła rozległe połacie ziemi.

Łau! Przebiega mnie złowrogi dreszcz. To ta dziwna para: człowiek i pies. Znów nie mogę uchwycić rysów twarzy tajemniczego mężczyzny. Zbyt szybko przemknął obok. Pies ociągając się, patrzy w moją stronę, tak jakoś... diabolicznie. Nie usłyszałam też obowiązującego na szlaku: *Buen Camino*, którym pozdrawiają mijający nas ludzie. Podbiegam do Danieli, by pokazać jej te niepokojące

jące postacie. Spogląda na mnie zdziwiona. Przecież często spotykamy tych samych pątników. W ten sposób stają się naszymi znajomymi, najpierw ich rozpoznajemy, a potem zamieniamy kilka lub więcej zdań. Że z psem? Więcej dystansu, kochana. To przecież tylko gościeńce podróżny.

Zwalniam kroku. Zostaję w tyle... co ja wymyślam? Niezrozumiałe uczucie lęku, zaciekawienia, pozostaje. Teraz muszę uważać. Trakt pnie się wysoko w górę i łagodnie opada. To nieustanne wspinanie i powolne schodzenia wymaga sporego skupienia.

Najlepiej poznałam Galicie

Położona na północno-zachodnim krańcu półwyspu iberyjskiego, blisko oceanu, kraina jest górzysta i wilgotna. Krajobraz tonie w zieleni, wiodąc przez tunele bujnej roślinności, korytaraże utworzone z gałęzi potężnych drzew, pośród malowniczych łupkowych murków i kamiennych zabudowań porośniętych mchem i bluszczem.

Około 1170 roku na zamówienie papieża Kaliksta II powstała wszechstronna relacja o szlaku pt. *Liber Sancti Jacobi*, bardziej znana jest jako *Codex Calixtinus*. Bogato iluminowane księgi opisują m. in. cuda na drodze św. Jakuba, czyny Karola Wielkiego i jego rycerzy. Tom V Codexu – to najstarszy przewodnik świata, przede wszystkim przewodnik po drodze Św. Jakuba. Bardzo kiedyś potrzebny. Średniowieczni pątnicy wiedzieli bowiem, że muszą być przygotowani na najgorsze. Pisali testamenty, porządkowali sprawy, żegnali się z bliskim, przebaczały i czynili zadość. Bardziej niż żywiołów i dzikiej przyrody obawiali się ludzi. Rozbójnicy, piraci, oszuści byli groźniejsi niż stromizny, rzeczne nurty czy ciężkie choroby.

To w Kodeksie Calixtinusa można przeczytać, że Galicia jest lesista, pełna wspaniałych rzek, czystych strumieni, łąk i sadów, ale także uboga. Ten opis niewiele odbiega od rzeczywistości. Wszelkie zmiany docierały tu z opóźnieniem. A otaczające znaki przeszłości – rzymskie trakty, starochrześcijańskie kościoły, kamienne mosty i słupy pokazujące drogę stają się terazniejszością, uświadamiając jednocześnie ciągłość ludzkich losów, ciągłość historii, spajając różne wymiary czasowe.

Mieszkańcy krainy wywodzą się od przybyłych wiele wieków przed naszą erą Galów (Cel-

tów). Z udokumentowanych dziejów wiemy, że przez całe wieki mężnie stawiali opór kolejnym najeźdźcom, zachowując niezależność.

To poczucie niezależności jest widoczne na każdym kroku. Wyrazem odizolowania jest dziś inna flaga i język – *gallego*. Podobny do kastylijskiego, jednak Galicijczycy podkreślają jego odrębność, co przejawia się w nazwach miejscowości, drobnych różnicach w pisowni (zamiast J - X, Juan – Xuan). Napisy na przydrożnych tablicach zawsze dwujęzyczne: w hiszpańskim i w języku *gallego*. Galicia i Kraj Basków, od 1981 roku, jako jedyne w Hiszpanii, mają statusy autonomiczne.

Tu też nieco inne jest oznakowanie szlaku. Wszędzie są żółte strzałki, lecz dodatkowo, co pół kilometra mija się słupki, na którym wypisana jest odległość do katedry w Santiago.



Kamienne tablice wyznaczają kierunek

Foto: I.J. Lubńska

spichlerzach, nazywanych tu *horreos*. To jedna z galicjijskich osobliwości. Trudno je opisać. To jakby połączenie babcinej szafy z miniaturową japońską świątynią. Chociaż znacząco różnią się od siebie, zawsze jednak osadzone są wysoko na podmurówce, albo na nóżkach i przykryte spadzistymi dachami. Służą do przechowywania zboża, umożliwiając wentylację i zabezpieczając przed gryzoniami. Są wdzięcznym obiektem do fotografowania i ozdobą przydomowej architektury.

Na naszym gościńcu coraz więcej ludzi z plecakami. Nam spieszo do Portomarin, gdzie zamierzamy zatrzymać się na noc. Chcemy zdążyć przed zamknięciem sklepów, by zrobić zakupy.

Portomarin

To zupełnie nowe miasto. Zbudowane od podstaw, gdy stare zostało zatopione przez wody nowego zbiornika. Potężna tama łączy dwa brzegi. Nowo powstały akwen pełni też funkcje rekreacyjne.

Wcześniej miasto znajdowało się w dolinie, po obu stronach rzeki Mino. Na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych XX wieku część zabytkowych budowli przeniesiono na wzgórze. Trzynastowieczny kościół obronny Saint Nicolas został rozebrany na części i ponumerowany, a potem kamień po kamieniu, złożony w nowym miejscu, tuż obok pięknego portalu, wykonanego ongiś przez mistrza Mateo, sławnego z autorstwa Portico de la Gloria w Santiago de Compostela.

Zakwaterowanie znajdujemy w nowoczesnym, dużym refugio. Dobrze, że minęła szesnasta, bo spora kolejka pielgrzymów oczekiwała na tę godzinę, na otwarcie. Zatrzymał się tu też poznany wcześniej Jerzy. Umawiamy się na wspólne wyjście na obiad i na zakupy potrzebnych wiktuałów.

W Portomarin są liczne sklepy spożywcze, bank, bary i restauracje. Poszukujemy miejscowego kolorytu. Hm. Jest „Pulperias”. Galicja słynie z owoców morza. Lokale o tej nazwie specjalizują się w przygotowaniu tutejszego przysmaku. Brzmi ono: *pulpo*. Ośmiorniczka, pokrojona w kawałki i ugotowana, podawana jest na drewnianych taczkach w towarzystwie papryki, oliwek oraz chleba i ziemniaków. Troszkę gumowa, ale takiej chyba nigdzie indziej nie posmakujemy. Właściciel namawia, aby spróbować innej specjalności regionu – białego wytrawnego wina. Degustujemy, starając się zapamiętać smak napoju z winnicy w Rias Baixas na wybrzeżu Atlantyku.

Zakupy, trochę zdjęć i wieczorna msza w pobliskim, romańskim kościółku. Młodzi klerycy śpiewają „Barkę”. Rozrzewniam się. Piękny polski akcent – półgłosem mówię do Danieli. Ta pieśń nie jest polska, tylko nasz papież bardzo ją lubił – odpowiada... Nie wiedziałam.

W deszczu

Ubieramy się jeszcze po ciemku, by nie budzić współtowarzyszy marzeń sennych, we wszystkie ciepłe ciuchy, na cebulkę. Na wierzch nakładam

pomarańczową kurtkę kupioną przed wyjazdem, z etykietą „przeciwdeszczowa”. Na zewnątrz mży, porywisty wiatr potęguje wrażenie zimna.

Przewodniki ostrzegają, że Galicja jest jednym z chłodniejszych rejonów Hiszpanii, krainą mgieł, jak ją często nazywają. Taki klimat sprzyja rozrostowi palm i eukaliptusów. Dzięki zaś stromym górcom i bliskości oceanu, często padają obfite deszcze. Tego teraz doświadczamy. Ale wcześniej wprost przeciwnie. Temperatury w ciągu dnia przekraczały 40 stopni... Upał w połączeniu z wilgotnym powietrzem bywał niekiedy nieznośny.

Idziemy do głównej drogi, by niżej przejść żelazną kładką dla pieszych. Dalej towarzyszy nam potężny las. Po godzinnym marszu jestem cała przemoczona. Kurtka zdecydowanie nie jest przeciwdeszczowa. Na szczęście przejaśniło się i jest cieplej. Zdejmuję kolejne mokre warstwy i zawieszam na stelażu plecaka. W podkoszulku szybciej wysuszę się i ogrzeję. O niedawnej ulewie przypominają nisko ścielące się białe opary, które niczym chmury zalegają pola i łąki. W powietrzu nadal czuje się wilgoć.

Dziarskim krokiem podążamy w stronę Palas del Rei.

Na górcę, przed sobą dostrzegam dwie czarne sylwetki. Staram się nie patrzeć w ich stronę. Tylko trochę zwalniam. Serce bije mocniej.

Na całym szlaku, szczególnie tu, w Galicji spotkać można liczne kościoły, najczęściej zbudowane w stylu romańskim, charakterystyczne krzyże na rozdrożach i zrujnowane ślady rzymskiej bytności. Zwiedzamy stojące na naszych ścieżkach zabytkowe budowle i osobliwości, utrwalając je na zdjęciu.

Ciuszki wyschły i mogę schować je do plecaka. Nie będą powiewać jak flagi na wietrze ani gubić się w przydrożnych krzakach. *Buen diaz*, uśmiechamy się i grzecznie pozdrawiamy, mijając kolejne grupy pątników. Wielu z nich to już nasi towarzysze drogi. Zamieniamy kilka zdań, relacjonując wrażenia i dalej idziemy własnym rytmem. Nie jestem zbyt szybka w marszrucie, Daniela zawsze przede mną. Jest zdecydowanie lepszym piechurem.

Droga – życie – relaks

W Palas de Rei wszystko, co potrzebne, jest w zasięgu: sklepy, restauracje, alberque. Na wejściu

do miejscowości jest darmowy basen miejski. Trzeba tylko zapłacić za czepek. Jak nie skorzystać? Wszak życie to nie tylko droga. Teraz potrzebny jest nam relaks i trochę zabawy. Pluskamy się radośnie w zachodnim słońcu, w nagrzanym basenie.

W pejzażu miasta o tej porze roku dominują pątnicy. Na placu zabawne, kolorowe figury, ni to mieszczeni, ni bigotki, w strojach z lat pięćdziesiątych ubiegłego stulecia. Nie umiem nazwać tworzywa, z którego są wykonane. Ceramika, gips, może masa plastyczna? Wyglądają jak żywe.

Wieczorem wielojęzyczny tłum ciągnie do kościoła na wieczorną pielgrzymią mszę i tradycyjne błogosławieństwo. Tablica na portalu wejściowym informuje, że jest XI - wiecznym zabytkiem.

W miejskim refugio duże sale, z piętrowymi łózkami. Są ciasno ustawione. Dobrze, że popływałyśmy w basenie, bo woda w kranach zimna. Wspinam się na wolną piętrowkę. Ale spać się nie da. Wyjątkowo przeszkadza chrapanie. Dochodzi z kilku łóżek. Nocują tu przecież bardzo strudzeni ludzie.

Cóż, trudniejsze momenty są wpisane w drogę. Ale nie zrezygnujemy z tej formy noclegu. Nie tylko dlatego, że niedroga, ale ze względu na niezwykłą aurę tych miejsc, na bliskość i integrowanie się z ludźmi z różnych krajów, środowisk, kultur, na ciekawe obyczaje, życzliwe relacje. Zawsze też znaleźć można potrzebną informację o drodze, kwaterze, zabytku, niedogodności.

Kolejny etap wędrówki. Nogi same niosą a codzienne czynności stały się niemal rutyną. Trzeba zebrać wysuszone pranie, przygotować śniadanie w przyległej do sal noclegowych kuchni. Naczynia i sztućce są przeważnie na wyposażeniu a jadalnie usytuowane tuż obok. Przy stołach wymiana doświadczeń z sąsiadami i wymarsz na Camino. Po drodze gospody, bary lub kawiarnie. Można coś przekąsić, zamówić kawę lub herbatę, czasem lody lub miejscowy specjał. Toaleta i hajda dalej. Pod ręką butelka z wodą, czasem owoc.

Za Leboeiro, w restauracyjnym ogródku, w cieniu palm wygodnie się siedzi. Trudno się zebrać, by wyjść na żar i kurz piaszczystej, nierównej drogi. Chyba z lenistwa ten odcinek będzie krótki.

Docieramy do Melide około trzeciej. Rzadko tak wcześnie do miejsca docelowego. Miasto robi wrażenie dużego, wysokie bloki, szerokie arterie a liczy niecałe dziesięć tysięcy mieszkańców. Są

hotele, hostele, banki, markety i sklepy oraz kilka kościołów. Przy głównym placu, obok kościoła Santa Maria, największe z dotychczasowych alberque. W halach oddzielonych od siebie kotarami po 40, 50 łóżek. Opłacamy nocleg i ruszamy na kulinarną przygodę.

W bocznej uliczce, w Pulperia Ezequiel zamawiamy, jedyną w swoim rodzaju, ośmiornicę na ostro, serwowaną tradycyjnie na drewnianych tackach. Do tego kieliszek białego Ribeiro. Pycha! Trunek pochodzi z winiarskiego regionu Ribeira Sacra, położonego w dolinie rzeki Sil. Wytwarzane tam szlachetne wina czerwone i białe cieszą się renomą wśród europejskich koneserów.

Spacer po miasteczku. Przed nami okazała fontanna z wyrzeźbionymi postaciami. Danieli spodobał się kamienny młodzian. Pozują do zdjęcia.

Dalej placyk, na którym ulokowały się restauracje i kawiarenki. Przy jednym ze stolików, przy piwie – mój nieznajomy. Z rozmysłem podchodzę bliżej. Chcę go zobaczyć. Bez kaptura, z rozwianą czupryną robi... sympatyczne wrażenie. Twarz młoda, ładna, uśmiechnięta. Przez chwilę nasze oczy spotykają się. Nie czuję nic, żadnej reakcji! Pies, pod stolikiem, zajęty jest chleptaniem wody z miski. Nawet nie zamachał ogonem.

Święty Jakubie! Czym zatem był tamten przestrach, co oznaczał mój lęk?

Lawiruję między stolikami, by wydostać się na otwarty plac. Nie wspominam Danieli, kogo przed chwilą widziałam. Zastanawia mnie, czym były te nieuzasadnione odczucia. Wiem, że jeśli jakaś osoba intryguje, niepokoi, denerwuje, znaczy, że ma do zaoferowania pewien dar, wskazówkę. Psychologia nazywa ten stan projekcją, lustrzanym odbiciem, cieniem. Ma uzmysłwić nam taką cechę naszej osobowości, którą wypieramy lub negujemy, aby utrzymać poza świadomością. Albo zwrócić uwagę na jakąś postawę, wzorzec, które ciągniemy przez życie, jak uciążliwy i niepotrzebny balast, nie zdając sobie sprawy z jego istnienia.

Więc, co to było? Co takiego, ta niepokojąca, jak mi się zdawało para, utożsamia? Jaki nieznany aspekt samej siebie muszę odzyskać? ...Czym jest cień, który dopadł mnie tu, na zachodnim pogórzu Gór Kantabryjskich, na krańcu euro-cywilizacji...

Nie wiem jeszcze. Może to wynik autoanalizy, głębszego wglądu w siebie? Kiedy to odkryję...

O... oo! Może już odkrywam... odkryłam inne, własne źródło mocy i pozytywnych emocji.

Dobrze jest spojrzeć w twarz swojemu lękowi.

Wędrownka na Górę Radości

Przed nami Arzua, dalej małe wioski. Prawie w każdej alberque, bar tapas, czasem hostel. Czujemy się wyczerpane. Adam nazwałby taki stan „zmęceniem materiału”. Ostre słońce nie zachęca do marszu. Za to kameralny, przydrożny zajazd kusi kolorowym parasolami. Siadamy w ich cieniu. Przed nami panorama wzgórz, piękne widoki. Stare, potężne drzewa łagodnie szumią, wachlując lekko gałęziami. Zamawiamy coś dla ochłody. W menu atrakcyjnie brzmiące nazwy potraw. Pokazujemy kelnerowi palcem to, co pałaszują goście obok. Wygląda bardzo apetycznie. Wkrótce na stolik wjeżdża taca. Dla mnie *patatas bravas*, czyli frytki polane pikantnym, pomidorowo-paprykowym sosem, dla Danieli *tortilla espanola*, rodzaj omletu z dodatkiem cebuli i ziemniaków. Wymieniamy się potrawami. Po skosie, wśród kęp zieleni małe, przytulne refugio. Gorące powietrze wprost parzy i pora dość późna. Pewnie nie zdążymy przed wieczorem dotrzeć do zaplanowanego miejsca. To jeszcze kilkanaście kilometrów. Decydujemy się pozostać. I nie żałujemy. Zwiedzamy okolice.

Do Monte do Gozo kroczymy radośnie. Nie tylko dlatego, że po polsku znaczy Góra Radości. To ostatni przystanek przed Santiago. Po drodze Pedrouzo. Wioska tonie w zieleni wysokich eukaliptusowych drzew. Niewielka, przydrożna cafeteria, wysuniętymi na chodnik stolikami, zachęca do odwiedzin. Dla nas jeszcze za wcześnie. Na odpoczynek trzeba zasłużyć.

Oj, zapowiada się pogoda w kratkę. Z rana prażyło słońce, teraz ostry, przenikliwy wiatr przegania ciepło a zachmurzone niebo zapowiada deszcz. Teren, po którym kroczymy, trudny, męczący. Najpierw pod górkę, stromo w dół, przejście przez kamienisty strumień, znów pod górę, zapis drogi powtarza się. Wejście na wysoki grzbiet wynagradza widok białego oceanu na horyzoncie.

Gdy w średniowieczu peregrinos zbliżali się do Monte del Gozo (hiszpański), do Gozo (galicyjski), biegli na szczyt wzgórza. Stąd widać było wieżę katedry w Santiago. Dziś przysłaniają je korony drzew. Tu stoi monumentalny pomnik

Jana Pawła II. Jest on dla Santiago postacią szczególną. Ogłoszony przez papieża w 1982 roku Akt Europejski wzywał do odnowienia wiary m. in. przez pielgrzymowanie do Santiago. Sam dał przykład, pokonując niewielki odcinek Camino Frances. Drugi raz był tu w 1989 roku, w czasie IV Światowych Dni Młodzieży.

Stąd do katedry w Santiago de Compostela już tylko 9 – 10 kilometrów. Główne alberque na Monte do Gozo to ogromna (dla dwóch tysięcy osób), nowoczesna noclegownia.

Polacy zwykle podążają kilkaset metrów dalej do Europejskiego Centrum Pielgrzymkowego im. Jana Pawła II. Zarządza nim ksiądz Roman Wcisło, a obsługę stanowią polscy wolontariusze. Serdeczna atmosfera, *alberque donativo* (co łaśka), wieczorem – kolacja, na którą są zapraszani pielgrzymi, z darmową zupą lub innym daniem.

Wśród polskich akcentów w menu m. in. pyszne, ruskie pierożki, przygotowane przez prowadzące kuchnię Polki. A na wzgórzu pośród hiszpańskiej, galicyjskiej, europejskiej i papieskiej flagi powiewa biało-czerwona.

Marsz do katedry w Santiago, bez bagażów, to sama przyjemność. Postanawiamy zakwaterować się w tej polskiej oazie na kilka dni. Stęskniłyśmy się za swoją, swobodną konwersacją. Poza tym to dobra baza do wypadów, do miasta. Przystanek autobusowy jest kilkadziesiąt metrów dalej.

Santiago de Compostela

Nazwa miasta – to zlepek słów: Święty Jakub z pola gwiazd! *San Jacob de campus stellae*! Santiago de Compostela!

W ikonografii chrześcijańskiej znane są trzy wizerunki Świętego Jakuba Większego: Matamoros – rycerz, Apostoł i Pielgrzym. Do dziś żywe są przekazy, jakoby Święty Jakub Matamoros, obecnie patron całej Hiszpanii, pojawiał się na polach bitew, pomagając Hiszpanom w słusznych bojach. Najpopularniejsza jest postać Świętego Jakuba Pielgrzyma, przedstawiana zawsze z kijem, tykwą i muszlami na piersiach.

Idziemy wolno, bo wiele miejsc zatrzymuje, zaciekawia. Santiago to tętniące życiem duże miasto a jednocześnie stolica regionu. Pada drobny deszcz. Po drodze muszę kupić nieprzemakalną, chroniącą przed zimnem kurtkę. Za drugim razem

udaje się. Jest taka, jakiej potrzebuję, ładna i ma wszystkie zalety uniwersalnego okrycia. Sporo kosztuje, ale stać mnie. Pielgrzymowanie po Camino okazało się znacznie tańsze, niż zakładaliśmy.

Aby dotrzeć na plac Obradoiro, trzeba przemierzyć nowsze dzielnice a później ulice starego miasta z ciasnymi zaułkami. Nad placem góruje katedra Świętego Jakuba, z barokową fasadą z dwiema bliźniaczymi wieżami. Sanktuarium powstało na przełomie XI i XII wieku. Codex Calixinus przedstawia je jako najdoskonalsze dzieło sakralne. Złocenia, drogie kamienie, okrągłe aniołki znacząco odmieniły pierwowzór.

Galijczycy wznosili osady na planie koła. Santiago powstało i rozwinęło się pierwotnie wokół Sanktuarium. Zbudował je Alfonso II, król Asturii, w miejscu odkrycia pochówku. Plac jest zatłoczony. Peregrinos i turyści w gigantycznej kolejce stoją do kilku wejść katedry. Bariere i ochroniarze. Zaburza to dotychczasową percepcję drogi.



Katedra Św. Jakuba w Santiago de Compostela

Główne wejście do katedry wiedzie przez Portyk Chwały – Portico de la Gloria z 1188 roku. W bogato zdobionym ołtarzu znajduje się figura Świętego Jakuba w aureoli, z wpisaną w nią muszlą. To do niego wierni niosą swoje modlitwy. Obyczaj pozwala na pewną bliskość z Świętym.

Tuż za głównym ołtarzem, w którym ustawiona jest figura patrona Hiszpanii, znajdują się wąskie schodki, po których pielgrzym może wspiąć się w górę, by objąć głowę Świętego, na chwilę przytulić, wyszeptać swoje prośby. To także gest dziękczynny za opiekę podczas pielgrzymowania. Pod ołtarzem, w srebrnej trumnie, przechowywane są relikwie Św. Jakuba.

Mszę świętą dla pielgrzymów poprzedza przez wielu wyczekiwany moment. Ksiądz wita przybyłych i odczytuje, z jakiego kraju, miasta przybyli, gdzie rozpoczęli pielgrzymkę. Dane pochodzą z biura pielgrzyma, w którym rejestrują się, by otrzymać certyfikat drogi.

Godną uwagi osobliwością katedry jest *botafumeiro* (*botar* – wyrzucać, *fume* – dym), największa kadzielnica świata, zamocowana na linie w samym jej środku, używana podczas szczególnych okazji.

Dziś jest taka okazja. Po mszy dla pielgrzymów o godz. 12 tłum nieruchomieje w oczekiwaniu na to wydarzenie. Dźwięki organów układają się w niezwykle przejmującą melodię, a piękny sopran wybija wysoko, ponad pułap katedry. Oczy wiernych wpatrują się w gigantyczne, bujające się kadzidło. Botafumeiro jest dosłownie wyrzucane na wysokość transeptu. Panuje podniosły nastrój. Zapach aromatycznego kadzidła wypełnia świątynię.

Tradycja narodziła się podobno w XI wieku. Od tego czasu uświetnia ważniejsze uroczystości w katedrze. Kadzenie – to nie tylko efektowny element liturgii. W przeszłości chodziło o zniwelowanie przykrego odoru zmęczonych długą drogą pątników.

Obecny egzemplarz pochodzi z połowy XIX wieku. W informacji można wyczytać, że waży 80 kilogramów, mierzy 160 centymetrów. Jego jednorazowe rozbijanie kosztuje 250 euro. Jest wyrzucane na wysokość 21 metrów i pędzi z prędkością 60 km/godz. Paliwo na tę okazję to 40 kilogramów kadzidła wymieszanego z węglem drzewnym, które ładuje się łopatami. Do rozhuśtania potrzeba ośmiu obsługujących, ubranych w uroczyste, czerwone szaty. Zatrzymanie rozpędzonego butafumeiro jest podobno nie lada wyczynem.

W obrębie katedry mieści się też, warte zwiedzenia, Muzeum Tkanin. Niektóre z prezentowanych tapiserii wykonano według projektów

Rubensa i Goi. Jest tu również bogata kolekcja średniowiecznych strojów.

Po wyjściu z katedry inny nastrój. Kolorowy tłum, zgłęb, uliczni artyści: muzycy, śpiewacy, przeróżne artystyczne prezentacje i scenki. Robimy sobie zdjęcia z mimem ucharakteryzowanym na Św. Jakuba. W biurze pielgrzyma spora kolejka. Wolontariusze sprawdzają tzw. *credenciales*, w szczególności, ilość wbitych pieczętek. Wszystko zgadza się, otrzymujemy compostelę, potwierdzone pieczętkami błogosławieństwo.

Można wracać do domu. Ale my najbliższe dni przeznaczamy na zwiedzanie Santiago.

Polskie ślady

Na placu Obradoiro, po przekątnej od katedry św. Jakuba, usytuowany jest luksusowy *parador*, Hostal de los Reyes Catolicos, którego historyczne, bogato zdobione wnętrza, udostępnione są zwiedzającym. W budynku tym, przez wiele wieków, mieścił się szpital. To tu peregrinos, po dotarciu do Santiago, leczyli rany i choroby drogi. Dzisiaj na pamiątkę tamtych czasów właściciele hotelu oferują bezpłatnie pobyt dwóm pielgrzymom dziennie. Inna pogłoska wspomina o dziesięciu darmowych posiłkach. Na podstawie zapisków pielgrzymiego szpitala, powstało bogate archiwum pątniczych dróg. Bo do Grobu Świętego, od ponad dziesięciu wieków, rzesze ludzi ściągały ze wszystkich stron świata, tworząc jego niezwykłą historię. Ciekawostką dla mnie była informacja, że pielgrzymka do grobu Apostoła bywała traktowana jako element resocjalizacji, że nakazywały ją sądy niektórych krajów.

To ze szpitalnych ksiąg wiemy też o Polakach pielgrzymujących do Santiago już od XII wieku.

Ślady te odnalazła i spisała profesor historii z Uniwersytetu w Santiago. Dwojga nazwisk, nie zapamiętałam. Żona Polaka, lekarza osiadłego w tym mieście, stąd zapewne zainteresowanie Polską. Nazwiska i imiona pielgrzymów zapisane były w średniowiecznym języku galicjijskim – fonetycznie. Dowiadujemy się, z jakiego miasta pątnik lub pątniczka przybył, co z sobą miał, w co był odziany, co mu doskwierało. Na Camino od początku panowało równouprawnienie różnych stanów i płci. I trzeba przyznać, z dalekiej Polski, we wczesnym średniowieczu, przywędrowało i korzystało

z opieki szpitalnej, kilkadziesiąt rodaczek i tyleż rodaków. Podobnie w późniejszych wiekach, polskie nazwiska i miejscowości często pojawiały się w historycznych zapisach pielgrzymiego szpitala. Te fakty i inne opowieści, z polskim rodowodem w tle, usłyszałam na wykładzie w naszym Centrum Pielgrzymkowym, na Górze Radości.

Z Santiago i polonicami wiąże się jeszcze inny przekaz. Otóż w 997 roku miasto Św. Jakuba zostało zburzone przez Almanzora, władcę Cordoby. Imię najeźdźcy, wodza Maurów, jest znane z pieśni wajdeloty „Grenada”, naszego wieszczą, Adama Mickiewicza. Ale to tylko dygresja.

Wracając do teraźniejszości. Także teraz pątnicze historie mają swoje kontynuacje. Opiekun naszego pawilonu, Andrzej ze śląskich Woźnik przeszedł od progu swojego domu do Santiago ponad 3 000 tys. kilometrów, w ciągu czterech miesięcy. Jego opowieści o pielgrzymce słuchałyśmy z zapartym tchem.

Jak bardzo wędrowanie, droga może stać się sensem życia, mówi przykład Janiny, żony Andrzeja. Podczas naszego pobytu na Górze Radości, Janina pokonywała trudny, północny szlak pielgrzymkowy do Santiago. Motywacja? Bo na Camino de Norde jeszcze nie była. Pozostałe, wszystkie hiszpańskie i portugalskie trasy, przemierzyła.

Panuje opinia, że życie to Camino, więc trzeba iść, do Santiago lub tam, gdzie jesteś powołany. Camino jest jak narkotyk. Jego uczestnikom, niemal natychmiast od zakończenia pielgrzymki, zaczyna towarzyszyć poczucie tęsknoty. Nogi same niosą na kolejne odcinki.

I coraz więcej jest chętnych do powrotu do domu, pieszo. Z tej nostalgii zrodziła się współczesna sieć szlaków Jakubowych opłatających niemal całą Europę. Coś z tych klimatów i nam się udzieliło. Zamiast autobusem, codziennie zasuwamy na piechotę, do Santiago.

Wiele razy słyszałam zdanie: na Camino nic nie dziwi! Jednak trochę dziwi i... zastanawia.

Najpiękniejsze zabytki

Zanim wyruszymy w dalszą drogę, zwiedzamy Santiago, jego najważniejsze i najpiękniejsze zabytki i miejsca. Wiele z nich wpisanych jest na listę dziedzictwa UNESCO. Większość znajduje

się w obrębie Starego Miasta, a to na szczęście, wyłączone jest z ruchu kołowego.

Na Praza de Obradoiro, od jego południowej strony, usytuowane jest zabytkowe Colegio de San Jeronimo. W ciągu wieków budynek pełnił różne funkcje. Dziś jest tu siedziba rektoratu Uniwersytetu Santiago de Compostela. Z wcześniejszej, XV-wiecznej konstrukcji zachował się bogato zdobiony późnoromański portal. Za bramą głównego, XVII-wiecznego gmachu znajduje się romantyczny dziedziniec z fontannami.

Podzielony schodami na dwie części plac Quintana znajduje się tuż za katedrą, u stóp barokowej wieży zegarowej. Miejsce uchodzi za jedno z piękniejszych. Na schodach rozlokowali się wędrowni artyści. Kilkudziesięcioosobowa grupa młodzieży profesjonalnie, na głosy, śpiewa pieśni religijne. Przysiadamy na schodkach, by posłuchać.

Warto odwiedzić pałac arcybiskupi. Pochodząca z XIII wieku budowla uważana jest za najważniejsze dzieło cywilnej architektury w Galicii. W refektarzu, pod sklepieniem krzyżowym zachowały się średniowieczne reliefy obrazujące obyczaje dworskie.

Gotycki Dom (*Casa Gotica*) poświęcony jest kultowi św. Jakuba i pielgrzymim dziejom.

A mieszczące się w XVII-wiecznym klasztorze San Domingos muzeum, zgromadziło cenne zbiory etnograficzne i antropologiczne związane z historią Galicii.

Można by zwiedzać i zwiedzać. Prócz zabytkowych budowli są wspaniałe parki, jest wiele imprez rozgrywających się na powietrzu, są restauracje, bary, kawiarnie oferujące specjalności kraju i regionu, prześcigające się w kulinarnych ofertach i gościnności. Zaś barwny, hałaśliwy tłum sprawia, że miasto tętni życiem do późnych godzin nocnych.

Trzeciego dnia wybieramy się nad ocean. Bagaż uwolniony od ubrań, których pozbywałam się na kolejnych kwaterach, od leków, które zużyłam nie jest tak ciężki, jak na początku. Po najbliższej nocy, zniknie jeszcze z plecaka duży objętościowo śpiwór. Zostawię go na Górze Radości.

Na końcu świata

Do Atlantyku, do Cabo Fisterra, mamy czterdzieści kilometrów. To najdalej wysunięty na

zachód, porośnięty wrzosami, skrawek Hiszpanii. Hiszpańska nazwa – *Finisterre* (łac. *finis terrae*), tłumaczy się jako koniec ziemi, zaś określenie wybrzeża – *Costa de la Muerte* (Wybrzeże Śmierci) jednoznacznie oddaje niespokojny charakter oceanu.

Porywisty wiatr wita wędrowców. Szafir oceanu hipnotyzuje i przyciąga. Latarnia morska, stojąca na tym, uważanym za najniebezpieczniejszy, odcinku wybrzeża Atlantyku, jest jednym z symboli Galicii. Brzeg oceanu – stromy, surowy. Nieopodal romański kościół Santa Maria, a przed nim jeden z oryginalniejszych galicyjskich *cruceiros* – kamiennych krzyży, które mieszkańcy regionu ustawiali w miejscach kultu, wypadków drogowych, przed wejściem na cmentarze. Krzyży takich wiele – ale podobno trudno znaleźć dwa podobne do siebie.

Schodzę w dół, do małej zatoczki. Zamierzam nazbierać trochę muszli przegrzebków, symboli Jakubowych, które tu mają swoje siedlisko. Zawiozę je do Polski jako pamiątki drogi. Pierwszą kupiłam w Astordze, bo to nieodzowny znak Camino. Wałęsam się po plaży, zaglądam w załomy skał, wchodzę do wody i nie umiem wypatrzyć ani jednej muszelki, nawet najmniejszej. Zniechęcona kładę się na piachu, pozwalając białym, mokrym grzywom łaskotać stopy. Jest tak pięknie, dziko. Poddaję się muzycznym brzmieniom oceanu. W symfonię atlantycką wpisują się akordy wiatru, poszumy nadmorskich traw i trzciny, śpiew ptaków, bębnienie fal... Leżę tak, szczęśliwa, zasłuchana.



Finisterra

Po południu idę na dłuższy spacer górzystym nabrzeżem. Linia brzegowa pocięta jest malowniczymi riasami. Z wysokości widać szerokie plaże, kąpiących się i plażujących. Jeszcze dalej mającą

osady rybackie. W zatoce, po drugiej stronie cypla duży ruch. Kutry, jachty, statki, łódki, z tej perspektywy wyglądają jak miniaturowe, kolorowe zabawki. Ich ruchy, kierunki wydają się przypadkowe, jakby sterowane ręką dziecka.

Ale spojrzenie dalej, na ocean zmienia optykę. Dosięga cię potęga, bezmiar otchłani, tajemnica, żywioł.

Łagodny, wiodący w dół wąwóz prowadzi na szeroką plażę. Rozejrzę się za muszlami. Podmuchy wiatru szarpią odzież, włosy. Patrę w niebieskie, niebiańskie niebo i wzdycham: „Święty Jakubie, wspierałeś mnie w drodze, pomagałeś w potrzebie. Dzięki Tobie uwierzyłam w świętych obcowanie. Chciałabym znaleźć Twoją muszlę”. Ledwie wypowiedziałam prośbę, zawstydziłam się. Żeby takimi drobiazgami zwracać głowę Świętemu!

Uparta natura ciągnie do oceanu. Idę do wylewającej się na brzeg białej fali. Spoglądam na piasek. Koło mnie, gdzie nie spojrzę muszle, muszle małe, duże, nieznanne... Zbieram na klęczkach. Nie muszę się przemieszczać. Fale wyrzucają kolejne partie muszelek. Zapakowałam do plecaka co najmniej kilogram skorupki. Nie mogę się powstrzymać, żeby nie dobrać większych, oryginalniejszych. Część zwracam wodnym odmiotom. Ileż można wozić samolotem. Radosna i zadowolona usadawiam się pod wydumą. Posiedzę trochę na plaży.

Ostatni dzień – to pożegnanie z oceanem, drogą. Później wylot z Santiago do Madrytu. Ale to inna bajka. Siedzę na wysuniętym, hen w ocean, porośniętym trawą i trzciną skrawku ziemi. Przede mną bezkres błękitu, głębia. Daleki horyzont łączy niebo z materią, powietrze z wodą. Nie mogę oderwać oczu, ocean oczarowuje, jakby chciał zawładnąć. Wiatr zawodząc, śpiewa swoje mantry. To, co czuję, jest esencją najpiękniejszych stanów ducha: ekstazy, zachwyty, wewnętrznej harmonii, spełnienia. Tu, w tym miejscu, czuję obecność Boskiej Kreacji. Z oczami pełnymi łez, wyszeptuję słowa płynące z głębi duszy. W tej modlitwie jest dziękczynienie, ufność i wiara.

Jeszcze nigdy nie byłam tak blisko Nieba.

Ida Jadwiga Łubińska

Jan Łączewski

JANA ŁĄCZEWSKIEGO PRZYZYCNKI DO HISTORII CZĘSTOCHOWY

UKRAIŃCY W CZĘSTOCHOWIE

Po raz pierwszy w większej liczbie zaczęli przybywać do Częstochowy w ostatnim kwartale 1920 roku. Byli to w większości żołnierze armii Ukraińskiej Republiki Ludowej, dowodzonej przez atamana Symona Petlurę (tzw. petlurowcy), walczący po stronie polskiej w wojnie z Rosją Sowiecką, demobilizowani, gdy Polska podjęła rokowania pokojowe, a następnie podpisała traktat pokojowy w Rydze. Zostali oni internowani w 10 obozach w Polsce, w tym na częstochowskim Stradomiu, a częściowo też w samym mieście. Oprócz żołnierzy przybyła też dość liczna grupa wyższych i średnich funkcjonariuszy ukraińskiej administracji rządowej z rodzinami. Tych zakwaterowano w hotelach „Krakowskim” i „Kupieckim” po około 150 osób w każdym oraz w bursach przy ulicach Stradomskiej (dziś 1 Maja) nr 40 i Kolejowej 5 oraz w kwaterach prywatnych. Szeregowych żołnierzy oraz pracowników ochrony, personel obsługi i około 60 byłych studentów uniwersytetu w Kamieńcu Podolskim – w barakach na Stradomiu i przy ulicy Piotrkowskiej. Mieścił się tam też ukraiński szpital wojskowy, wydział sanitarny sztabu i apteka. Razem było to około 2 tysięcy osób. Całej operacji nie uzgodniono z władzami miasta, stąd wynikły trudności w zaopatrzeniu zubożałego wówczas miasta w żywność, a także kłopoty lokalowe. Rada Miasta starała się – bezskutecznie – wpłynąć na magistrat, by skrócił termin pobytu Ukraińców w mieście.

Ukraińskie władze emigracyjne – z siedzibą w Tarnowie – powołały Centralne Biuro Uchodźców. Szefem częstochowskiej filii, która znajdowała się przy ulicy Jasnogórskiej 34a, był Antin Stryzewskij. CBU udzielało uchodźcom pomocy finansowej przy współpracy z YMCA i częstochowskim oddziałem PCK. Mieszkańcy Stradomskich baraków byli kierowani do różnych płatnych prac, także specjalnie organizowanych. Uruchomiono dwa ukraińskie przedszkola dla około 40 dzieci, gimnazjum dla 75 uczniów i Ukraiński Uniwersytet Narodowy dla około 250 słuchaczy.

W 1923 roku generał Stanisław Szeptycki zdecydował o likwidacji obozów internowania i wstrzymaniu organizowanych dla nich robót. Większość Ukraińców opuściła wówczas Częstochowę. Ci, którzy pozostali, w większości ulegli polonizacji, pozostając jednak przy wyznaniu greckokatolickim. Cerkiew do 1942 roku mieściła się przy ulicy Waszyngtona 42. Po śmierci Józefa Piłsudskiego w 1935 roku odbyła się tam wspólna panichida w intencji Marszałka i Symona Petlury, zamordowanego we Francji w 1926 roku.

Po raz drugi Ukraińcy pojawili się w Częstochowie w latach II wojny światowej. Byli to sojusznicy III Rzeszy – żołnierze 14. Dywizji Grenadierów SS „Hałyczyna” (potocznie zwanej 14. Dywizją SS „Galicja”). Dla mieszkańców Częstochowy byli oni – podobnie jak Niemcy – okupantami, zwłaszcza że uczestniczyli w aktach hitlerowskiego terroru wobec Polaków. Niemcy przekazali im kościół św. Jakuba, będący w latach 1870 – 1918 cerkwią prawosławną. W 1945 roku wszyscy opuścili Częstochowę.

BÓG NAS KOCHA REFLEKSJE W DZIEŃ ZADUSZNY

Pan Bóg nas kocha. Każdego, mnie także. Przez całe życie otrzymywałem bezcenne dary kochającego Boga. Otrzymywałem je – nie zdając sobie z tego sprawy – za pośrednictwem ludzi.

/Rozważania w nocy/

CZĘSTOCHOWA – tutaj mieszkam od półwiecza. Na stradomskim cmentarzu spoczywa moja pierwsza żona **WIEŚŁAWA** i jej rodzice. Prawdopodobnie i moje zwłoki znajdą się tutaj po latach. Na cmentarzu Kule pochowano mojego serdecznego przyjaciela **EDWARDA** – malarza-batalistę. Niestety, nie wszyscy mają nawet własny grób. W takich przypadkach pozostaje modlitwa i pamięć. Pamięć w miejscach, które budzą grozę. Trzeba tą pamięcią objąć ludzi, zanim zetracą się w ostatnie o nich wspomnienie...

POZNAŃ – moje rodzinne miasto. Chyba na każdym z poznańskich cmentarzy leży ktoś, kto był mi kiedyś bliski, chociaż nie każdy ma tam swój grób. Mój wujek **CZESŁAW**, starszy brat mojej matki, został rozstrzelany przez hitlerowców w listopadzie

1939 roku w Forcie VII (katowni Wielkopolan). Był prawnikiem, notariuszem, milionerem, posłem na Sejm. Gdy został zamordowany przez wrogów, miałem 5 lat i nie wiem, czy kiedykolwiek widział mnie jako dziecko, ale jego fortuna przejęta przez rodzinę umożliwiła mi ukończenie studiów. Dał mi pośmiertnie wykształcenie i zawód. Modłę się za niego

OJCIEC – poniósł śmierć w obozie oświęcimskim, gdy miałem 8 lat. Dopiero po niemal 60 latach dowiedziałem się, że przekazał mi cenną rzecz, a mianowicie żydowską krew, krew narodu wybranego przez Jahwe jako narodu Abrahama, Mojżesza i Tory (Biblii). Żydem już nie zostanę, za późno na zmiany. Z ojca jestem dumny. Z żydostwa odszedł, przyjmując chrzest, ale ja mogę być dziś pewnym, że nigdy nie zostanę antysemitą.

MATKA – jej darem dla mnie były zainteresowania humanistyczne i umiłowanie Polski ze szczególnym uwzględnieniem literatury. Być może moje piarstwo jest niedołężne i nie pozbawione elementów grafomanii. Ale wyrażam w nim siebie, swoje myśli i odczucia, które otrzymałem od matki. Ona dała mi umiłowanie polskości, ale i europejskiej kultury.

WANDA i MIECZYŚLAW – młodszy brat matki i moja matka chrzestna. Nosila to samo imię, co moja biologiczna matka. To moje ukochane i najpiękniejsze imię żeńskie. Dziś niemodne. Modłę się za wszystkie Wandy, także, by było ich w Polsce więcej oraz o beatyfikację Wandy Malczewskiej. Wuj Mieczek zainteresował mnie problematyką Śląska i powstań śląskich oraz postacią wojewody Grażyńskiego – swojego przyjaciela. Zrobiłem doktorat i po dziś dzień jestem traktowany jako pewien „autorytet” w tych sprawach, do których swego czasu zainspirował mnie wuj.

ZOFIA Ł. – matka mojego ojca. Pokazała mi swoim życiem, że można radować się z każdego przeżytego dnia, z każdej codziennej czynności. Nauczyła, jak stawiać opór klęskom i problemom. Obdarowała mnie optymizmem. Nie ma złego, co by na dobre nie wyszło.

ALFRED (dla bliskich FRED) – Ślązak, żołnierz II Korpusu (armii Andersa) we Włoszech, przez lata pracował w Międzynarodowych Targach Poznańskich, wspaniały człowiek, mąż mojej trochę starszej kuzynki Teresy.

WITOLD – według genealogii mój wujek, ale

faktycznie ze względu na zbliżone poglądy na pracę i życie mogłem traktować go jako przyjaciela.

Nie ma w Poznaniu grobu męża średniej siostry mojej matki – TEODOZJI (która spoczywa w Puszczykowie) – KAZIMIERZA, oficera Wojska Polskiego. Jest tylko nazwisko wśród ofiar bezprzykładnej zbrodni w odległym ukraińskim CHARKOWIE.

PUSZCZYKOWO – tam spoczywa moja matka WANDA, osoba najbliższa i dla mnie wzór postępowania w życiu oraz moja siostra MAŁGORZATA (Gosia). Niemal przez całe życie cierpiała z powodu różnych chorób. Ufam, że przez te cierpienia wysłużyła sobie u Boga skrócenie męki czyścicowej. Modłę się też w tej intencji. Spoczywają tam również: najmłodsza siostra mojej matki FELICJA i jej mąż ZYGMUNT.

KATARZYNA I LUDWIK – rodzice mojej pierwszej żony, ludzie prości, których być może trochę zawiodłem, bo pewnie oczekiwali, że obdarzę ich wnukiem, co się nie stało. Przekazali mi umiejętność rezygnacji z rzeczy, które są nieosiągalne i radowania się drobiazgami.

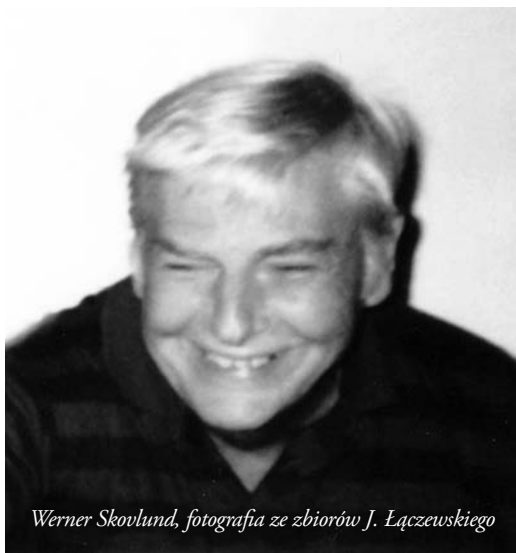
Wiele też zawdzięczam swoim nauczycielom ze śremskiego gimnazjum i liceum, profesorom i asystentom na uniwersytecie w Poznaniu, kolegom z „mojego” roku. Z niektórymi utrzymuję do dziś ograniczony odległością geograficzną, wiekiem i brakiem środków finansowych, ale jednak trwały kontakt, który mnie duchowo ubogaca.

PRZYJACIELE – nie miałem w życiu zbyt wielu przyjaciół i chyba częściowo z własnej winy. Chcę jednak w tej modlitewnej zadumie wymienić trzech mężczyzn, którzy obdarowali mnie cenny darem przyjaźni (kobiecą przyjaźnią i miłością obdarowały mnie żony).

EDWARD – nieżyjący już, znany i sławny malarz-batalista. Wspomagał mnie jako historyka godną podziwu wiedzą o wrześniu 1939 roku (nazywano go malarzem Września) i o innych wydarzeniach, które malował: partyzantka czasu II wojny światowej, epoka napoleońska, Monte Cassino itd. Imponował mi dokładnością, z jaką przedstawiał każdy kawałek broni czy guzików munduru. W takich sprawach nigdy nie ustawał w wysiłku. Nie potrafię być tak dokładnym ani tak twórczym.

WERNER – jego rodzice po II wojnie światowej

zaprosili mnie do spędzenia trzech miesięcy w Danii (takich rodzin było więcej – do Danii przyjechało około tysiąca sierot i półsierot wojennych z Polski). Warunki życia w tym kraju były bez porównania lepsze niż w całkowicie zniszczonej Polsce, ale trudne, np. żywność była racjonowana na kartki itp. Ale te rodziny rozumiały, że nawet przy własnych trudnościach trzeba dzielić się z jeszcze biedniejszymi. Piękna postawa chrześcijańska – szkoda, że dziś w Polsce niepopularna. Taki był (i jest) też Werner.



Werner Skovlund, fotografia ze zbiorów J. Łączewskiego

BOGDAN – najmłodszy z trójki moich najlepszych przyjaciół, mój były uczeń, ksiądz katolicki, werbista i misjonarz. Dzięki niemu poznałem Kościół, trochę od wewnątrz, bezpośrednio – chociaż nader krótko – uczestniczyłem w pracy misyjnej, zrozumiałem, na czym polega ekumenizm. Dopóki był w Europie (wyjechał potem do Afryki), był moim spowiednikiem.

GNIEZNO – kolebka rodu. W grobie rodzinnym moja babcia MARIA, jej mąż a mój dziadek PIOTR, który zmarł na prawie 20 lat przed moim urodzeniem, najstarsza siostra mojej matki WŁADYSŁAWA, stara panna, która po śmierci mojej matki (gdy miałem 17 lat) zastępowała mi ją oraz jeszcze kilka osób żyjących w XIX i XX wieku.

OŚWIĘCIM – hitlerowski obóz koncentracyjny Auschwitz, zamieniony dziś w muzeum. Jedyną „pamiątką” po moim ojcu jest wyciąg z akt dotyczących śmierci FELIKSA Ł. w styczniu 1943 roku i trzy fotografie.

LWÓW – rodzinne miasto mojego ojca. Na nieistniejącym dziś Cmentarzu Stryjskim leżeli jego przodkowie, także mój pradziadek FILIP, lekarz z wykształcenia, ale znany przede wszystkim jako tłumacz książek J.I. Kraszewskiego i innych pisarzy na język niemiecki.

Śmierć – w nieco innym aspekcie, bardziej przenośnym – dotyczy także miejsca. Cios śmiertelny dotknął między innymi polskie miasto, które przez sześć wieków było centrum naszych radości i perłą w ich aureoli. Cios ten nie został zadany przez otwartego wroga. Nie był też wynikiem jakiegos przypadku. Morderstwa dokonało trzech dyplomatów w Jalcie bez udziału czy nawet zapytania samego miasta i jego gospodarzy. Taki cios boli bardziej i czyni miasto bezbronnym. Ćwierć wieku wcześniej to miasto obroniło się, bo wróg był jawny. W 1945 roku wróg ukrył się pod hasłami rzekomej „sprawiedliwości”. Życie miasta uwiędło. Tak umarł polski LWÓW. Niektórzy obserwatorzy twierdzą wprawdzie, że to miasto istnieje i jakoś żyje. Porównałbym jednak to życie – oderwane do sześciu wieków historii – do osoby rozbudzonej z letargu, która posiada wprawdzie oczy i sprawne nogi, ale straciła pamięć i świadomość. Nie wie, kim jest i kim być powinna. Czy w takim przypadku możliwe jest zmartwychwstanie?

Budzi się też nieco inna refleksja. Podobna śmierć została po wojnie zadana także niektórym innym europejskim miastom. W przypadku Niemiec (Breslau, Danzig, Königsberg) wydarzenie takie przypomina raczej śmierć samobójczą, bo to sami Niemcy – ich państwo i naród – doprowadzili te miasta do ruiny, rozpętując zaborczą wojnę, którą przegrali. Czy świadomość własnej winy (której to świadomości, i nie tylko w przypadku Lwowa, Polacy oczywiście mieć nie mogą), jest dla przesiedlonych do zachodniej części swego kraju Niemców z Wrocławia czy Szczecina czynnikiem łagodzącym ból czy wręcz przeciwnie – dodatkowym obciążeniem?

Mnie w Dniu Zadusznym towarzyszy modlitwa: Daj Boże, by Polacy nie zapomnieli Lwowa, nawet jeżeli wszystkie okoliczności zewnętrzne będą niesprzyjające, *ta-joj*.

LORETO – na polskim cmentarzu wojskowym spoczywa mój starszy kuzyn JERZY. Zginął jako żołnierz w bitwie nad rzeką Trebią w 1944 roku. Miał 19 lat.

WARSZAWA (i WAWER) – w powstaniu warszawskim zginęło trzech moich starszych kuzynów: ZBIGNIEW (lat 20), BARBARA (lat 18), i WŁODZIMIERZ (lat 17). Basia zginęła, idąc ulicą z narzeczonym. Mieli się wkrótce pobrać. Włodek spłonął żywcem w podpalonym budynku. Ich śmierć nie przyniosła wolności miastu, które obróciło się w gruzy. Wieczny odpoczynek racz im dać, Panie!

LONDYN – w polskim kościele pw. św. Andrzeja Boboli, w gablocie przy wejściu, znajdują się spopielone zwłoki młodszego brata mojej matki MIECZYŚŁAWA – powstańca śląskiego, prawnika, który m.in. wyprocesował dla Polski niemiecki koncern przemysłowy „Wspólnotę Interesów”, a na emigracji walczył o odszkodowania dla polskich ofiar nazizmu oraz jego żony, mojej matki chrestnej, WANDY. Ich przyjaciel, wojewoda śląski MICHAŁ (pisałem o nim książkę i cały szereg mniejszych artykułów) ma swój grób na cmentarzu w Putney. Tam też spoczywa mój kuzyn (syn Mieczysława i Wandy) WOJCIECH. Był starszy ode mnie tylko trzy lata i zawsze potrafiłem się z nim „dogadać”. Zmarł nagle.

KRAKÓW – na Cmentarzu Rakowickim spoczywają: moja babcia od strony ojca – ZOFIA. Zmarła w wieku prawie stu lat, do końca pozostała żywotna i pałająca optymizmem; jej dwie córki (siostry mojego ojca) STANISŁAWA – pielęgniarka, która całe pokolenie swoich siostrzeńców i bratanków (w tym mnie) prowadziła podczas wakacji do lekarzy, dentystów i psychologów; i JANINA, która wyszła (w 1922 roku) za mąż za Niemca i podczas II wojny światowej przeżywała z tego powodu wiele trudnych chwil. Również jej syn, mój kuzyn, STEFAN, polonista i dziennikarz, młodo zmarły na białaczkę (miał 30 lat) spoczął po śmierci na tym cmentarzu.

Tym wszystkim, których wspominałem tej nocy, a także wielu innym osobom, które gdzieś zachowałem w pamięci i tym, o których mogłem już zapomnieć, ofiaruję te kilka słów wspomnień. Wszystkim, którzy mnie ukształtowali – Bóg zapłać!

Jan Łączewski

Aleksandra Keller

CIAŁO W RATUSZU

2 października 2013 roku w reprezentacyjnej sali częstochowskiego Ratusza odkryto ciało... ciało o tyle niezwykle, że ze snu Janusza Mielczarka. Mowa oczywiście o najnowszej książce wielokrotnie nagradzanego fotografa i autora opowiadań, która tego dnia ujrziała światło dzienne podczas oficjalnej promocji.

„Ciało twojego snu” to zbiór ośmiu opowiadań – zamkniętych tematycznie i fabularnie całości. Jediną wspólną kategorią jest tutaj ręka autora i charakterystyczny dlań styl snucia historii, budowania nastroju przenikniętego elegancją swobodą i niewymuszoną naturalnością. Jeśli dodać do tego zmysł fotograficznego zatrzymywania się na szczególe, nie dziwi ilość wyróżnień, jakimi dotychczas uhonorowano tę prozę, m.in. I nagroda w X Konkursie Literackim im. Szaloma Asza (w 2011 r.) dla opowiadania „Sposób na życie”, II nagroda w VIII Konkursie „Śladami Żeromskiego” (w 2012 r.) dla opowiadania „Organki Piccolo” i wyróżnienia dla opowiadania „Mężczyzna ze szramami na dłoniach” w III Konkursie Edytorów KUL (w 2012 r.).

Podczas promocyjnego dyskursu z prowadzącym wieczór Bogdanem Knopem, autor podzielił się z zebraniem audytorium kilkoma uwagami nad ideą pisania. „Pisanie czyni mnie kimś, kto może ze spokojem patrzeć w lustro” – wnosi element optymistyczny, przeciwstawiany zgorzknieniu, w podejmowane działania. „W pisaniu mam luksus własnej głowy i to, co ona wymyśli” – w ten sposób Janusz Mielczarek uzasadnia przejście od fotografii do literatury, która jest szersza, daje większe możliwości wypowiedzi. Nie zabrakło także odniesień do słynnego już „Hrabalowskiego” inspirowanego fascynacją Hrabalem, które stało się swoistym hołdem dla czeskiego pisarza wyrażanym poprzez sposób pisania i uwznioślenie codzienności do literackiej rangi. „Ciało twojego snu” odbiega od klasycznej narracji w Hrabalowskiej stylistyce. Częściej dochodzi do głosu metafizyka, osobiste wspomnienia i pejzażowość przeniknięte nostalgią.

Trzeba również dodać, że pod względem edytorskim najnowsza książka Janusza Mielczarka zadowoli najbardziej wymagających czytelników.

Okładka utrzymana w chłodnej kolorystyce szarości i błękitów oraz ascetyczna w szczegółach od pierwszej chwili subtelnie sygnalizuje nastrojowość treści, którą dopełniają sensualne, wizyjne ilustracje innego utalentowanego artysty-rysownika – Arkadiusza Zajęca – wewnątrz.

Janusz Mielczarek zdradził w kulisach, że pracuje nad kolejnym zbiorem.

Czekamy więc z niecierpliwością.

ZA DUSZE LITERACKIE
WSPOMNIENIE...

Odeszłym losu kolejną w tajemne przestrzenie – ogień pełgający słabo, lekko. Za spokój duszy – czyjej i własnej – łyk i kęs.

Tyłu ich było, że czas literackich Zaduszek, jakie 2 listopada 2013 roku odbyły się w „Domu Poezji – Muzeum Haliny Poświatowskiej”, przeciągnął się długo w listopadową noc i wyszedł w miasto okryte ciszą. Spotkanie, zainspirowane przez uznanego w kręgach literackich i fotograficznych Janusza Mielczarka, a wspierane przez Zbigniewa Mygę oraz Literackie Towarzystwo Wzajemnej Adoracji „Li-TWA”, miało charakter intymnego wydarzenia artystycznego, w którym wspomnienia o autorach przeplatały się z prezentacją ich twórczości na tle muzycznych impresji w wykonaniu Jarosława Woszczyzny – cenionego w kraju i za granicą klawirzysty, saksofonisty i kompozytora uhonorowanego stypendium Prezydenta Miasta Częstochowy w 2006 r.

W dźwiękach saksofonu, klarnetu i elektronicznych brzmień Yamahy WX5 doskonale wybrzmiewały emocje osób, które tego dnia zechciały podzielić się z zebranymi swoimi refleksjami o bliskich, przyjaciółach lub osobach, z którymi połączyła jakaś szczególna nić porozumienia, choćby bez oficjalnie zawartej znajomości.

Zbysław Janikowski wspominał swojego krewnego – profesora Józefa Mikołajtisa, cenionego polonistę, animatora i organizatora kultury zasłużonego dla Częstochowy. Jadwiga Wrzaszczyk – nauczycielka języka polskiego w II LO im. Romualda Traugutta – przypominała sylwetkę prof. Gustawa Grackiego, także polonisty we wspomnianym liceum, człowieka o niezłomnym charakterze, ale przede wszystkim obdarzonego darem przenikania do serc i umysłów uczniów, który był autorytetem

i mentorem, uczył dostrzegania piękna, dobra i prawdy tkwiących w literackich dziełach, dbając przy tym o umiowanie ojczystej mowy.

Duch Haliny Poświętowskiej unosił się nie tylko w miejscu, w którym rosła jej poezja. Postać poetki została przywołana w opowiadaniu pt. „Kotek” skreślonym ręką brata – Zbigniewa Mygi oraz w refleksjach prof. Elżbiety Hurnikowej, która ognikiem wspomnienia oświeciła także postać Ludmiły Marjańskiej – wybitnej poetki, znakomitej tłumaczki literatury angielskiej, częstochowianki...

Jarosław Kapsa (którego wspomnienie można przeczytać w niniejszym numerze GALERII), poświęcił kilka słów barwnym postaciom częstochowskiego środowiska dziennikarskiego i artystycznego, ale przede wszystkim swoim przyjaciółom – Mirosławowi Falco Dąsalowi, Tadeuszowi Miśkiewiczowi, Jackowi Mikołajowi Olszewskiemu, Waldemarowi Gaińskiemu, Tadeuszowi Gierymskiemu, Andrzejowi Grądzmanowi i Marcinowi Rumińskiemu.

Zmarłym w tym roku pisarzom – Sławomirowi Mrożkowi i Joannie Chmielewskiej – „łyk i kęs” za spokój dusz oddali Marian Panek i Izabela Kołdej-Ptak, a Bruno Schulz rozsnął się w drohobyckich impresjach niżej podpisanej.

W spotkaniu uczestniczyli także: Małgorzata Nowakowska-Karczewska, Jadwiga i Bogdan Knop, Agnieszka Złota, Beata Brodowicz-Szymanek, Wiesław „Kardynał” Wyszynski i Jacek Gierasinski.

Nad porządkiem obrzędu – niczym Mickiewiczowski Guślarz – czuwał *spiritus movens* Janusz Mielczarek. On także wyprowadził żałobników w miasto, którzy, błądząc pomiędzy zaułkami bram i podwórek, osiedli wreszcie przy wspólnym stole, by dokonać ofiarnej uczty i złożyć odeszłym losu kolejną w tajemne przestrzenie *Wersy (za)duszne* na znak pamięci.

RADOMSKA OMERTA

Trudno mówić otwarcie o traumach, które przez lata ulegały wypieraniu ze świadomości. Tym trudniej, jeśli dotyczą losów zbiorowości napiętnowanej. Między innymi tym zagadnieniom poświęcona jest książka Wojciecha Pestki – „Powiedźcie swoim” – która 20 listopada 2013 została zaprezentowana częstochowskim czytelnikom podczas wieczoru promocyjnego w OPK „Gaude Mater”.

„Powiedźcie swoim” to fabularyzowany zapis kroniki wydarzeń określanych powszechnie jako „radomski czerwiec” albo „Radom ’76” w odniesieniu do fali społecznych protestów przeciwko systemowi komunistycznego państwa. Dlatego na okładce wybrzmiewa dosadnie cytaty z telefonicznej rozmowy Edwarda Gierka z ówczesnym I sekretarzem radomskiego Komitetu PZPR, Januszem Prokopiakiem: *„Powiedźcie tym swoim radomianom, że ja mam ich wszystkich w dupie i te ich wszystkie działania też mam w dupie. Zrobiliście taką rozróbę i chcecie, by to łagodnie potraktować? Te warchoby, ja im tego nie zapomnę”*.

W tej książce Radom dostaje nie tylko kawałek własnej historii, jakkolwiek trudnej, lecz o istotnym znaczeniu dla tkanki społecznej. „Powiedźcie swoim” podejmuje próbę przełamania swoistego prawa omerty, które fakty wiadome wszystkim nakazuje przemilczać za cenę świętego spokoju.

W samej książce wątek miasta i udziału jego mieszkańców w czerwcowych protestach (a może zamieszkach?) pojawia się jako tło. Wypadki radomskie i samo miasto z atmosferą lat 70. zostały skrupulatnie przefiltrowane na potrzeby narracji, lecz pojawiają się wyłącznie w reminiscencjach. Punkt ciężkości został przeniesiony na wyostrenie sylwetki charakterologicznej postaci. Zresztą, pod względem konstrukcji fabularnej powieść Wojciecha Pestki jest dość ascetyczna, skoncentrowana na soliście-głównym bohaterze i zróżnicowanej warstwie tekstowej – a więc w warstwie zdarzeniowej przybiera statyczną formę, poza kategorią spektakularności.

Pestka nie wybrał łatwej wersji świadectwa o Radomiu, jaką byłaby relacja szeregowego uczestnika protestów. Głównym bohaterem czyni zdegradowanego oficera Służby Bezpieczeństwa. Zdegradowanego w hierarchii służbowej, zdegradowanego moralnie, zdegradowanego w końcu w swojej ludzkiej kondycji do roli wariata, który

Od lewej: J. Mielczarek, prof. E. Hurnik, J. Gierasinski, J. Kapsa, foto: Z. Myga



dożywa swoich dni w odosobnieniu za murami psychiatrycznego szpitala. I to jego wersja wydarzeń będzie dla nas punktem odniesienia.

Nadrzędną rolę sprawuje tu literackość i zamysł autora, a ten zainicjował proces dekompozycji klasycznej formy przekazu. Książka rozsypuje się (niczym skoroszyt pełen fiszek) i na poziomie założeń konstrukcyjnych, i na poziomie narracji, i na poziomie stylistycznej spójności. Poprzez zróżnicowanie stylistyk i tekstowego budulca książka rozpada się na luźne notatki, bez wyraźnej linii przyczynowo-skutkowej czy chronologicznej, która spajałaby tekst w jakimś określonym porządku gatunkowym. Taka forma jest oczywiście dość trudna w odbiorze jako skończona całość, niesie ryzyko odrzucenia jej jako nieczytelnej, ale jest też niezwykle kreacyjna – pozwala na wielokrotność odczytań, interpretacji, a nawet wielość tworzonych światów. Trzeba czasu i pewnego wysiłku, żeby przebrnąć przez świat pogmatwany, niejasny, wyłaniający się z cienia tylko tam, gdzie skieruję swoją uwagę narrator.

Rozrzucona radomska kartoteka (parafrazując tytuł dramatu Różewicza), w „Powiedzie swoim” niesie ze sobą jakąś nerwowość, pośpiech, a jednocześnie zachłanność, by wypowiedzieć jak najwięcej. Czerwiec ’76 wciąż czeka na swoje przepracowanie, może nawet w zaciekłym sporze, konfrontacji z rzeczywistością. Stąd prowokacja wobec zainteresowanych środowisk (m.in. dawnego aparatu partyjnego, obecnych elit rządzących w Radomiu, grup biznesu i kleru) jest tutaj jawna i zuchwała. Pestka porusza nie tyle lokalny problem z historią, ile stawia elementarne pytanie o prawdę, może nawet podejmuje się karkołomnej misji ujawnienia metod manipulacji, demistyfikacji zakonserwowanych układów, odbrażowania tamtych wydarzeń i przywrócenia zwykłym ludziom odebranej godności. Jednocześnie ma świadomość, że jest w tym wszystkim sam – wobec wrogo nastawionego, zdegradowanego aparatu ówczesnej władzy, wobec obecnych uprzywilejowanych grup interesu i wobec milczącej rzeszy uczestników protestu, a nawet wobec urzędników stojących na straży nietykalności stosownej dokumentacji w państwowych instytucjach.

Za książką przemawia wyraźne dystansowanie się od opowiedzenia się po określonej stronie politycznych podziałów i niechęć do pisania pod zadaną tezę.

Aleksandra Keller

Janusz Mielczarek

VI FESTIWAL „MONODRAM 42-200”

W PIESZCZOCIE PIAN

Dla osób z mojego pokolenia Kalina Jędrusik była kimś więcej niż tylko aktorką. I nie tylko dlatego, że pochodziła z pobliskiego Gnaszyna i pobierała nauki w Liceum im. Juliusza Słowackiego w Częstochowie. Nie chodzi też o to, że w siermiędze PRL-u dla wielu była synonimem seksu. Ona po prostu była Inna. Ten jej szczególny walor po mistrzowsku wykorzystano w Kabarecie Starszych Panów, który z przyjaciółmi oglądaliśmy w s p ó l n i e u tego, kto miał najlepszy telewizor.

Pozwoliłem sobie na ten wstęp, pisząc kilka zdań o spektaklu „Kalina”, który obejrzałem w grudniowy wieczór na scenie Teatru From Poland. Dla porządku: monodram „Kalina”, autorstwa Jagody Rall, aktorki Teatru Nowego w Rzeszowie, zdobył Grand Prix VI Festiwalu „Monodram 42 – 200”.

Monodram to ta „ścieżka” teatralna dla aktora, na której najłatwiej się potknąć. W nim także widzowie najpełniej dostrzegają spełnienie aktorskich zamierzeń, biegłość warsztatową i wiele dowiadują się o wykonawcy jako o człowieku.

„Kalina” Jagody Rall zbudowana jest prosto i czytelnie; aktorka, jako



Jagoda Rall

podstawowe tworzywo literackie spektaklu wykorzystała fragmenty tekstów piosenek śpiewanych kiedyś przez Kalinę Jędrusiak, głównie autorstwa Jeremiego Przybory, Wojciecha Młynarskiego i Agnieszki Osieckiej. Nie śpiewa ich, a jeżeli, to pośpiewuje, przez nie przywołuje osobę, dla której były tworzone, które nam ją przypominają i której już pozostaną.

Łącząc ten element z tekstem, ruchem scenicznym, ogrywając symboliczny i wieloznaczny rekwizyt oraz nawiązując dialog z publicznością – momentami prowokacyjny, któremu także dałem się uwieść – aktorka rysuje nam portret swojej Kaliny. Od uwodzicielskiej, uwielbianej, wspominającej pierwszy bal, do osamotnionej, wstępującej z trudem na swoje 72 schody. Czyni to subtelną, delikatną kreską, by przekonać do swojej wizji, także głosem. To jej się udaje! Są w spektaklu momenty, że czuje się drżenie jej ręki przy tym dziele, ale tak być miało, żeby w nas, widzach, też drżały emocje. Zadrżały!

Dlatego, choć spektakl pożegnały szczere brawa, to w wielu z nas on wciąż trwał i nie chciało się opuszczać Teatru. O to, aby w ten wieczór, po „Kalinie”, w Teatrze From Poland pozostać jak najdłużej, zadbał również jego gospodarz – Wojtek Kowalski. Zastawił stół ogórkami ukiszonymi przez jego mamę, własnoręcznie wytopionym smalcem, kielbasą i napitkiem. Nijak więc takiego miejsca opuścić *n i e w o l n o*, bo gdzie dzisiaj spotka się „miejsce z duszą”? No, gdzie? A tam ono jest!

Ale po uczcie duchowej, nakarmiwszy się i napiwszy, dodać należy, że częstochowskie laury dla Jagody Rall i jej spektaklu to jeden z wielu sukcesów młodej aktorki, absolwentki Szkoły Aktorskiej im. Haliny i Jana Machulskich w Warszawie. Ma za sobą również znaczące role teatralne w Teatrze Nowym w Rzeszowie. Brała udział w międzynarodowych warsztatach teatralnych organizowanych przez Teatr „Mumerus” w Krakowie. Z „Kaliną” wystąpi też na prezentacjach monodramów nagrodzonych w Ogólnopolskich Konkursach Recytatorskich, jakie w lutym odbędą się w Bolesławcu.

Życząc Jagodzie sukcesów na scenie, którą kocha, wierzę, że przyjedzie ponownie na Festiwal „Monodram 42-200” z ciekawą propozycją.

Janusz Mielczarek



Toast Roberta Dorostawskiego z Jubilatem



Z „Hemarem w chmurach”



Powinszowania od Tadeusza Piersiaka z małżonką



Życzenia od Jadwigi i Bogdana Knop

JUBILEUSZOWA GALA ANDRZEJA KALININA - 15 grudnia 2013 r.

(fotorelacja)

Danuta Polak

NA JUBILEUSZ

Drogi Andrzeju Jubilacie,
z dużym dorobkiem Literacie,
Mistrzu elegancji oraz dobrego słowa
i Kalininówki, od której nie boli głowa!

Kilka dziesiątek lat masz za sobą,
ale najlepsze jeszcze przed Tobą.
Dbaj więc o zdrowie i kondycję,
żeby zachować swoją pozycję.

Nadal tak dobrze się trzymaj
i kolejny rok życia zaczynaj.
Przegnaj choroby, dolegliwości,
by nie bolały Cię mięśnie i kości!

Żyj, nie licząc dalszych lat
i z ufnością patrz na świat,
niechaj młodość w duszy wrze,
ogrzewając serce Twe!

Życzę Ci szczęścia i radości,
nie zaznaj smutku i przykrości,
niech Cię wszelkie zło omija,
samo dobro życiu sprzyja.

Niech Ci dobre wiatry wieją,
byś z radością i nadzieją,
budził się każdego ranka,
tego życzy Ci – była Posłanka Danką!

Częstochowa, 15.12. 2013 r.

Danuta Polak

*Fotografie dzięki uprzejmości
p. Eugeniusza Grzebieluchy*



Życzenia od Izabeli Ptak i Małgorzaty Franc



*Gratulacje od Wiceprezydenta - Jarosława Marszałka
i Przewodniczącego Rady Miasta - Zdzisława Wolskiego*

Nasztazja Lewinsky

LIMERYK DO SZTAMBUCHA LITERATA*

Pewien pisarz, co zakochał się w Kusiętach,
Niegdyś orzekł, że Bóg o nim nie pamięta.
Bóg na to rzecze:
Spójrzaj człowiecze –
Gdybym zapomniał... dziś nie byłoby święta.

**Proszę potraktować jako laur na urodzinowym
torcie.*

Nasztazja Lewinsky (wielbicielka)

NOTY O KSIĄŻKACH

Adam A. Zych: *Pomiędzy wiarą a zwątpieniem. Wprowadzenie do psychologii religii*, Oficyna Wydawnicza „Impuls”, wydanie I, Kraków 2012, ss. 310.

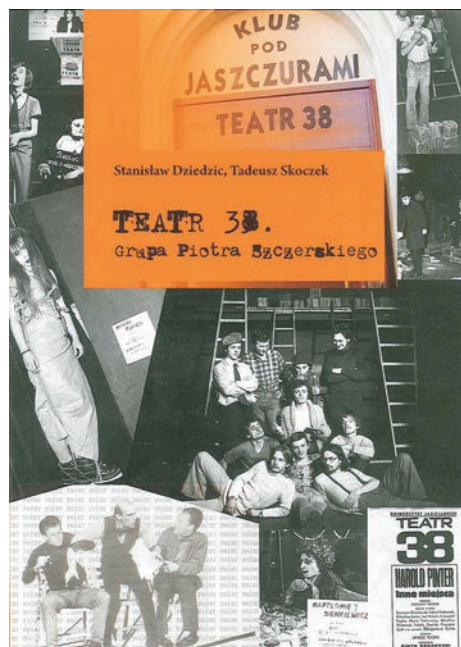
[Z noty wydawniczej]: Dlaczego jeden wierzy, drugi zaś wątpi w istnienie Boga, a jeszcze inny jest obojętny wobec kwestii religijnych? Co czyni osobę religijną? Czy jest ona ze swej natury „istotą religijną”, czy też staje się nią w procesach rozwoju, wychowania i/lub socjalizacji? Czy mamy do czynienia tylko z jednym źródłem religijności człowieka, czy też możemy mówić o wielopostaciowych korzeniach religii i religijności? Jaka jest rola religii i religijności w psychicznym funkcjonowaniu jednostki? Jak przebiega rozwój religijności człowieka i czym jest on uwarunkowany? Czy osoba dorosła, tracąc ufne spojrzenie dziecka i bezkompromisową postawę młodzieńca, wraz z dojrzałością zyskuje równowagę i uspokojenie światopoglądowe? (...) Czym współcześnie jest religia oraz jakie jest jej miejsce w świecie sekularyzacji? Dlaczego ludzie wierzą? Na te i wiele innych, wcale nieprosty pytań próbuje odpowiadać w swojej książce dr hab. Adam A. Zych, profesor Dolnośląskiej Szkoły



Wyższej we Wrocławiu. [opr. A. Keller]

Stanisław Dziedzic, Tadeusz Skoczek: *Teatr 38. Grupa Piotra Szczerskiego*, Prowincjonalna Oficyna Wydawnicza, Bochnia – Kraków, Warszawa 2013, ss.160.

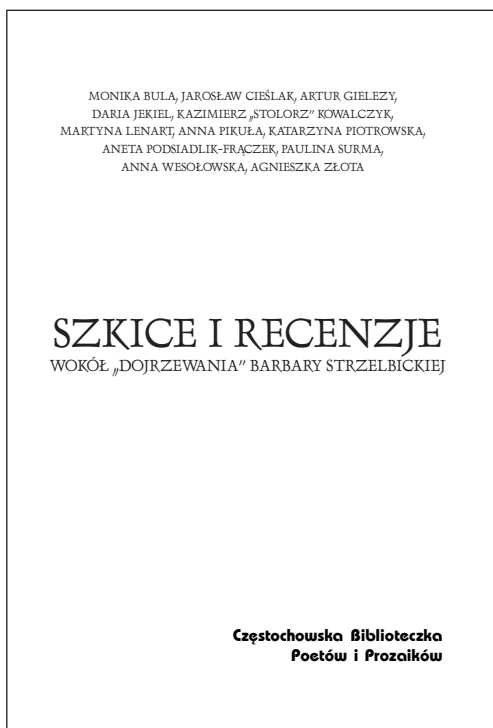
Trzeci tom o historii Teatru 38. Dwa poprzednie również ukazały się w tym wydawnictwie: *Teatr 38. Awangardowy zespół Waldemara Krygiera* (2007), *Przygody z metacodziennością. Teatr 38 w latach 1960 – 1972* (2010). Tym razem autorzy omawiają dzieje teatru prowadzonego przez Piotra Szczerskiego – jego artystyczne sukcesy, przemiany, inscenizacje, udział w zagranicznych festiwalach teatralnych. Przywołują znaczące komentarze, recenzje prasowe, wypowiedzi na temat fenomenu Teatru 38 w teatralnym pejzażu Krakowa. Zwłaszcza inscenizacje „Procesu” Franza Kafki (1981) została tu wyraziście omówiona i zdokumentowana. Książka ta zawiera bogaty indeks nazwisk świadczący o wadze i działalności Teatru 38. na przestrzeni lat 1979 – 1992 i jego kreatywnych dokonaniach. Istotnym uzupełnieniem całości tej monograficznej pozycji są autorskie wypowiedzi Piotra Szczerskiego. Pozycja ta prezentuje wiele fotografii oddających klimat i sceniczną atmosferę



wydarzeń z tamtych lat. [opr. M. Panek]

Agnieszka Złota: *Raport o zieleni*, Wydawnictwo HARIT – Krzysztof Bednarek, Częstochowa 2013, ss. 112+2.

Trzeci tomik częstochowskiej poetki wydany tym razem nakładem własnym autorki i zarazem pierwszy dwujęzyczny (tłumaczenia na niemiecki dokonała Małgorzata Rabęda). Eksperymentalny charakter zbioru dopełniają fotografie autorstwa Macieja Skalika zamieszczone między lirykami na zasadzie klucza interpretacyjnego... [Ze słowa wstępnego prof. Agnieszki Czajkowskiej]: „Agnieszka Złota daje nam do lektury swój „raport” z życzliwym i nieco przekornym uśmiechem. I w tym tomie poważny ton wypowiedzi jest tylko kostiumem, elementem gry z czytelnikiem. Tytuł zbioru trzydziestu dwóch wierszy, choć odsyła do formy służbowej i bezosobowej notatki, w rzeczywistości odsłania wrażliwość na świat, wyczulony słuch i umiejętność oryginalnego myślenia autorki”... [opr. A. Złota]



Szkice i recenzje. Wokół „Dojrzewania” Barbary Strzelbickiej, pod red. Agnieszki Złotej, Wydawnictwo Literackie „Li-TWA”, wydanie I, seria: Częstochowskie Zeszyty Biobibliograficzne Literackiego Towarzystwa Wzajemnej Adoracji „Li-TWA”, zeszyt: 5, Częstochowa 2013, ss. 76.

Książkę przygotował do druku Władysław E. Piekarski, autor „Słowa wstępnego albo kontrpunktu”, w którym ujął w kilku słowach cenne przemyślenie: „Na dziś wydaje mi się, że nici prowadzące do zakątków poezji Barbary Strzelbickiej zostały powiązane, ale jeszcze nie węzłem żeglarskim... Dlatego to jeszcze nie lina, którą można rzucić na nabrzeże i wierzyć, że stateczek „Dojrzewanie” zacumuje w porcie i nic go nie ruszy. Ale chwała tym, którzy próbowali ją powiązać i nadzieja, że być może znajdą się tacy, którzy to zrobią”. W niniejszej książce znalazło się dwanaście recenzji i szkiców autorstwa: Kazimierza „Stolorza” Kowalczyka, Moniki Buli, Anny Wesołowskiej, Anny Pikuli, Martyny Lenart, Anety Podsiadlik-Frączek, Agnieszki Złotej, Pauliny Surmy, Darii Jekiel, Katarzyny Piotrowskiej, Artura Gielezy i Jarosława Cieślaka. Książka wzbogacona została o wypowiedź samej Barbary Strzelbickiej – autorki komentowanego zbioru poetyckiego, która w błyskotliwy sposób napisała o tym, „Co poetka na

myśli miała”. [opr. A. Złota]

Agnieszka Złota: *Częstochowskie szkice krytycznoliterackie 2011-2013*, Wydawnictwo Literackie „Li-TWA”, wydanie I, seria: Częstochowskie Zeszyty Biobibliograficzne Literackiego Towarzystwa Wzajemnej Adoracji „Li-TWA”, zeszyt: 6, Częstochowa 2013, ss. 82.

Czwarta książka wspomnianej autorki tym razem krytycznoliteracka. Jej zawartość stanowi dziewięć recenzji, pomyślanych jako interdyscyplinarny komentarz do twórczości autorów bardziej i mniej znanych (debiutantów rekomendowanych na łamach „częstochowskiego magazynu literackiego GALERII”). W zbiorze tym znalazły się m. in.: „(...) bo tak naprawdę mamy siebie i przestrzeń” – kosmiczne dylematy Magistra Witalisa”, „będę wycinał noc z życiorysu (...)” – Macieja Skalika dążenie do światłości (słowo odredakcyjne)”, „W zakurzonych archiwach pamięci (...)” – O debiucie prasowym Katarzyny Piotrowskiej”, „Ostrożnie miejscami głębia (...)” – Henryka Bardijewskiego *Rysunki na piasku*”, „Częstochowski splin – o debiucie prasowym Pauliny Surmy”, „Poetycka atrofia – o *Dojrzwaniu* Barbary Strzelbickiej”, „Soma i sema (ciało i tekst) – ekspresje posthumanistyczne Moniki Buli (słowo odredakcyjne)”, „Poetyckie studium nałogu – różne konstelacje miłości w tomiku Roberta Jabłońskiego *Serce*”, „Realizacje modelu antropologii transgresyjnej w dramatach Juliusza Słowackiego na podstawie książki Grzegorza Kowalskiego *Duch w osobie*. Bohater w dramatach Juliusza Słowackiego”. Książka wydana została jako szósty zeszyt „Częstochowskich zeszytów biobibliograficznych”. [opr. A. Złota]

Aleksandra Keller, Aleksandra Modlińska, Lucja Cymkiewicz,
Agnieszka Złota, Agnieszka Reszka, Martyna Lenart,
Katarzyna Piotrowska, Anna Wesołowska, Michał Wilk,
Monika Kusek, Anna Pikula, Jarosław Cieślak

WOKÓŁ TWÓRCZOŚCI ANDRZEJA KALININA

SZKICE I RECENZJE

ZESZYT JUBILEUSZOWY

Częstochowska Biblioteczka
Poetów i Prozaików

AGNIESZKA ZŁOTA

CZĘSTOCHOWSKIE SZKICE KRYTYCZNOLITERACKIE 2011-2013

Częstochowska Biblioteczka
Poetów i Prozaików

Wokół twórczości Andrzeja Kalinina. Szkice i recenzje, pod red. A. Złotej, A. Keller, Wydawnictwo Literackie „Li-TWA”, wydanie I, seria: Częstochowskie Zeszyty Biobibliograficzne Literackiego Towarzystwa Wzajemnej Adoracji „Li-TWA”, zeszyt: 7, Częstochowa 2013, ss. 78.

[Z przedmowy Bogdana Knopa]: Kilko młodych ludzi, studentów, doktorantów, polonistów ze chciało podzielić się z nami swymi wrażeniami po lekturze dzieł Andrzeja Kalinina. To interesujące doświadczenie również dlatego, że komentatorów i autora dzieła dwa pokolenia. Warto przeczytać jak twórczość Andrzeja Kalinina, prozę najwyższej próby, widzą młodzi entuzjaści, stojący na progu poważnych zajęć literackich. Spośród 12 recenzji i szkiców trzy poświęcone są powieści „Ze sztambucha starego komucha”, cztery zbiorowi opowiadań „Las wokół”, dwa powieści „W cieniu złych drzew”, również dwa najbardziej znanej powieści Kalinina – „...i Bóg o nas zapomniał”, wreszcie jeden zbiorowi opowiadań „...a życie jak

rzeka”. [opr. A. Keller]

Anna Grzanka: *Tobie*, wyd. ze środków własnych, ss. 144+2.

Książkowy debiut poetycki, swoiste *opus magnum* zebrane z życia Anny Grzanki – nauczycielki w Zespole Szkół Rolniczych w Złotym Potoku, wieloletniej opiekunki Szkolnego Klubu Teatralnego „Bratek”. Jak napisał w słowie wstępnym Ryszard „Sidor” Sidorkiewicz: „Opowieść przepiękna serdecznym ciepłem i ciepłym liryzmem. Od *warkoczy dzieciństwa* zaplatanych czułą dłonią matki w cieniu beskidzkich smreków, przez *śpiewane sercem* ikarowe strofy o codziennych wzlotach i upadkach, do *listków szkolnych* zbieranych w zielniku belferskiej pamięci, wdzięczny pokłon przyjaciółom i refleksje porządkujące system wartości snute *pod złotym baldachimem buka*, by skończyć sylficzny trenem, poświęconym zmarłemu mężowi Autorki”. [opr. A. Keller]



Ihor Pawluk
Męskie wróżby



Ihor Pawluk: *Męskie wróżby*, tłum. Tadeusz Karabowicz, Wydawnictwo Episteme, Lublin 2013, ss. 64+2.

[Ze wstępu Tadeusza Karabowicza]: Tom wierszy „Męskie wróżby” to próba ukazania polskiemu czytelnikowi interesującej poezji współczesnego ukraińskiego poety, pisarza i redaktora, która pozostaje mocno osadzona w rzeczywistości, z piętnem postmodernistycznego *pożegnania z imperium*. W prezentowanej twórczości – dzięki wołyńskiemu kontekstowi – zarysowuje się dość wyraźnie wątek społecznikowski, wyrażający się w przekonaniu o obowiązku dźwignia narodowego ciężaru, a także wiwisekcja własnej egzystencji, gdzie codzienność miesza się z liryzmem, a chłodna ocena otoczenia z przeżywaniem w świecie marzeń. [opr. A. Keller]

Copyright © **LITERACKIE TOWARZYSTWO WZAJEMNEJ ADORACJI**
„Li-TWA” w Częstochowie

Redakcja:

Barbara Strzelbicka (sekretarz redakcji), Agnieszka Złota, Olga Wiewióra (redaktor naczelna), Władysław E. Piekarski, Jan Łączewski, Rafał Socha (zastępca redaktora naczelnego, e-redaktor), Ireneusz K. Korpyś.

Stali współpracownicy:

Małgorzata Franc, Izabela Kołdej – Ptak, Małgorzata Nowakowska – Karczewska, Olga Bąkowska, Alicja Nowak, Elżbieta Gola, Wojciech Grabałowski, Bogdan Knop, Kazimierz Kowalczyk, Wojciech Kajtoch, Jacek Gierasieński, Michał Wilk, Marian Panek, Piotr Głowacki, Tadeusz Chabrowski, Andrzej Kalinin.

Projekt graficzny okładki:

Marta Konieczny

Skład:

Jarosław Leszczuk (redaktor techniczny)

Druk:

Drukarnia Usługowa „Gryf”
ul. Garibaldiiego 14 a
42 – 200 Częstochowa
www.gryf.czyst.pl



Printed in Poland.

Wydawca:

Literackie Towarzystwo Wzajemnej Adoracji „Li - TWA” w Częstochowie
ul. Wilsona 8
42-200 Częstochowa

Adres dla korespondencji:

ul. Mireckiego 22 m. 43
42-206 Częstochowa

Adresy e-mail do przesyłania materiałów w formie elektronicznej:

alekeller@interia.pl
galeria.piekarski@gmail.com
galeria.litwa@gmail.com

www.litwa.czyst.pl

Krajowy Rejestr Sądowy nr: 0000308140 Regon: 240938341 NIP: 9492090225

Konto: BANK MILLENNIUM 19 1160 2202 0000 0001 1690 1952

Materiałów niezamówionych redakcja nie zwraca i nie przechowuje.

W tekstach przeznaczonych do druku zastrzega sobie prawo do skrótów i zmian tytułów.

ISBN 978-83-63052-62-1



„Gotowa”, Bukareszt (Rumunia, 2012), foto: Jacek Konieczny



„Światoprzenikanie”, Bukareszt (Rumunia, 2012), foto: Jacek Konieczny

FOTOgaleria



Odejście ze świata lalek (foto: Janusz Mielczarek)

ISBN 978-83-63052-62-1